



To będzie długi dzień.  
Może najdłuższy w jego życiu.

Aldona  
**REICH**

**DWUNASTY**

ALDONA REICH

**DWUNASTY**



WYDAWNICTWO  
VECTRA

Redakcja i korekta

Monika Tomys

Współpraca

Robert Ratajczak

Projekt okładki, skład, łamanie

Natalia Jargieło

© Copyright by Aldona Reich

© Copyright by Wydawnictwo Vectra

Druk i oprawa

WZDZ Drukarnia Lega, Opole

ISBN 978-83-67334-64-8

Wydawca

Wydawnictwo Vectra

Czerwionka-Leszczyny 2023

[www.arw-vectra.pl](http://www.arw-vectra.pl)

Społeczności Tik Toka,  
bez której ta powieść by nie powstała.

”

**Człowiek nie może bezkarnie zabrać innym drugiego  
człowieka.**

Sándor Márai

## PROLOG

Oszołomienie powoli mijało i dał radę unieść ołowiane powieki. Stopniowo przyzwyczajając oczy do panującego wokół mroku, odkrył, że znajduje się w pomieszczeniu przypominającym na wpół rozwalony budynek. Oprócz ciemności panowało tam potworne zimno. Chyba właśnie to zimno go ocuciło. Pozbawiony był płaszcza, szalika i rękawiczek, zabrano mu nawet marynarkę. Wciąż miał na sobie koszulę i spodnie, a po chwili bardziej wyczuł, niż zobaczył, że stopy nadal są w butach. Bolał go dziwnie zdrtwiałą kark i gdy spróbował unieść rękę, żeby go rozmasować, zorientował się, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Wystraszył się, że miał wypadek i jest sparaliżowany, ale szybko zrozumiał, że jego ręce i nogi są czymś mocno skrepowane i dodatkowo przytwierdzone do podłokietników krzesła, a przynajmniej do tego, na czym siedział.

Otworzył szerzej powieki i wtedy zobaczył przed sobą mężczyznę. W ciemności trudno było ocenić jego wiek, ale wyraźnie zmęczony wyraz twarzy i połyskująca co jakiś czas siwizna wskazywały, że młodość już od jakiegoś czasu ma za sobą.

- Żyjesz - powiedział mężczyzna ze spokojem, choć nie padło żadne pytanie. - Jesteś trochę oszołomiony, ale zaraz dojdiesz do siebie. Poczekam - dodał, uśmiechając się nieznacznie. - Musisz być świadomy.

Teraz go poznał. Raczej po głosie, bo rysy twarzy wciąż skrywał mrok. Spotkali się dziś rano, rozmawiali, potem on sam wrócił do samochodu, chyba chciał coś zrobić, ale... Ciąg dalszy tego wspomnienia się rozmył i zniknął.

- Gdzie... - Dziwna suchość w gardle utrudniała mówienie. Odchrząknął i spróbował ponownie: - Gdzie ja jestem?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Jak to gdzie? W Zielonej Górze - odparł. - Można powiedzieć, że nawet w miarę blisko domu. Nie na tyle jednak, aby tam jeszcze dziś dotrzeć.

- Moja głowa... - Ból dosłownie rozsadał mu czaszkę. Nie wiedział tylko, z jakiego powodu. Nie pamiętał uderzenia, upadku, w zasadzie to nie pamiętał niczego poza tamtą rozmową przy samochodzie.

- Spokojnie, nic ci nie będzie... - usłyszał. - Straciłeś tylko przytomność, bo najpierw nawdychałeś się chloroformu, a potem dostałeś zastrzyk na lepszy sen. Bałem się, że przesadziłem, ale... witamy, panie Dobiecki.

Spojrzał na mężczyznę z uwagą i narastającym strachem. Ten ktoś znał jego nazwisko, choć mógłby przysiąc, że - wliczając poranną sytuację - teraz widzieli się zaledwie drugi raz w życiu, a żadne z tych spotkań nie było okazją do wzajemnej prezentacji.

- My... My się skądś znamy? - zapytał niepewnie. - Bo zdaje się, że zaszło jakieś koszarne nieporozumienie. Pan na pewno mnie z kimś pomylił, nie jestem osobą, której pan szuka...

- Czyżby? – Mężczyzna wciąż miał na ustach ten ledwie zauważalny uśmiech. – Mam na ten temat inne zdanie. Nie pomyliłem się, dobrze cię znam. A jesteś tu, bo otworzyłeś drzwi, które ja teraz muszę zamknąć.

- Jakie drzwi? – Dobiecki powoli przytomniał i zaczął do niego docierać sens rozmowy. Spróbował się oswobodzić mocnym szarpnięciem, ale ciasno zaciągnięte trytytki tylko głębiej wbiły się w jego ciało. Jęknął z bólu. – O czym ty, człowieku, mówisz?! I kim w ogóle jesteś?!

- No fakt, nie przedstawiłem się. – Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego własnym spostrzeżeniem. – Ale nie wydaje mi się, aby to, jak się nazywam i kim jestem, miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Dziś rano spotkaliśmy się pierwszy raz, a teraz z pewnością ostatni, ale... – zawahał się – ostatecznie możesz mówić do mnie Jerry. – Uśmiechnął się szerzej, jakby właśnie przyplęnęło do niego jakieś miłe wspomnienie. Bez wątpienia Jerry w tej sytuacji brzmiało doskonale.

- Je... Jerry? – W głosie Dobieckiego było wyraźne powątpiewanie. Ponieważ mężczyzna potaknął przyzwalająco, ciągnął: – Posłuchaj, yyy... Jerry... ja naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego przetrzymujesz mnie w tym miejscu. Sam twierdzisz, że spotykamy się po raz pierwszy w życiu, więc nie było okazji, żebyśmy weszli sobie w drogę, prawda? – Starał się mówić spokojnie, ale głos dosłownie zamierał mu w gardle. Wzrok Jerry'ego nie wyrażał żadnych emocji, co zaczynało go przerażać. – Dlaczego więc tu jestem?

- Można powiedzieć, że między innymi dzięki tobie znalazłem się w sytuacji bez wyjścia... – Jerry pokręcił z niedowierzaniem głową. – Muszę zakończyć coś, czego przecież nie zacząłem. – Podeszedł do Dobieckiego i chwycił go za włosy, a potem mocnym szarpnięciem odchylił jego głowę do tyłu. – Ciebie zostawiłem sobie na koniec – powiedział, patrząc Dobieckiemu w oczy.

- Na jaki... koniec? – Dobiecki poczuł, że w tym koszmarnym zimnie robi mu się nienaturalnie gorąco. Jakby w ułamku sekundy znalazł się w wannie z wrzątkiem. – Ja nic nie rozumiem...

Jerry cofnął dłoń i odszedł kilka kroków. Usiadł na fragmencie na wpół rozwalonej ściany. Sięgnął do stojącej obok swojej nogi torby i wyjął z niej butelkę i szklanke. Charakterystyczna etykieta nawet w tym marnym świetle wskazywała, że w butelce jest whisky.

- Nie musisz. – Jerry nalał alkoholu do szklanki i odstawił butelkę. – Najważniejsze, żebyś wiedział, że jesteś swego rodzaju ozdobą mojej kolekcji. Nie sądzisz, że to doskonała okazja do świętowania sukcesu?

- Ozdobą? Jaką ozdobą?!

- No, a jakże! Nie tylko dla ciebie Wigilię spędzam w taki sposób. – Mężczyzna roześmiał się i upił łyk alkoholu. – Wspaniała... – pochwalił trunek. – Ma dwanaście lat. Znamienna data, prawda?

- Boże, to jakieś potworne nieporozumienie... – Dobiecki naiwnie znów zaczął się nerwowo kręcić na krześle, jakby te niezborne ruchy miały mu umożliwić ucieczkę. – Jerry, ja naprawdę jestem nikim, nie mam pieniędzy, nie mam nic! Wypuść mnie, no!

- Niestety, nie mogę. – Jerry wzruszył ramionami z udawaną bezradnością. – Za dużo włożyłem w to wszystko wysiłku. Nie sądzisz przecież, że to jedynie kwestia impulsu. Poza tym

uważam, że jednak coś masz. Coś, co stanowi dla mnie i dla ciebie kolosalną wartość. A mówiąc wprost: twoje życie.

Dobiecki szarpnął się ponownie, co wywołało wyraz politowania na twarzy Jerry'ego.

– Powiedz, o co ci chodzi, wyjaśnimy sytuację i przekonasz się, że popełniłeś koszmarny błąd. – Przez głowę Dobieckiego przelatowały tysiące myśli, ale żadna w tym momencie nie dawała rozwiązania. – Jestem pewien, że szukasz zupełnie innej osoby, nie wiem, może to tylko jakaś zbieżność nazwisk...

– Doprawdy? – Jerry znów upił łyk. Przymknął z lubością oczy i głęboko odetchnął. – Uważasz, że szykując się do tego przez ostatnich dwanaście, tak, właśnie dwanaście lat, nie sprawdziłem każdego detalu, najdrobniejszego szczegółu, daty, miejsca? Masz w ogóle pojęcie, jaka to benedyktyńska robota? Ile wymagała cierpliwości, dokładności? Ile musiałem uruchomić znajomości, ile wykorzystać źródeł informacji? Ile razy złamałem prawo? – wymieniał. – I te tony papierów, ślęczenie przy ekranie... Mówię ci, męka. Prawdziwa męka. I właśnie dlatego nie może być mowy o błędzie.

Jerry odstawił szklanekę i wyjął z kieszeni przedmiot przypominający krótkofalówkę. Gdy go włączył, dobiegł ich odgłos jakichś rozmów. Sprzęt mocno charczał, przerywało dźwięk, ale i tak dało się zrozumieć, że aparat odbiera kanał policji. Urządzenie spoczęło na sporym odłamie muru leżącym na ziemi, dokładnie pomiędzy nimi.

Dobiecki krzyknął głośno w nadziei, że tam, po drugiej stronie, ktoś go usłyszy. Jerry z zaskakującą sprawnością znalazł się tuż przy nim. Szybkie i mocne uderzenie otwartą dłońią w twarz uspokoiło go natychmiast.

– Zamknij mordę – powiedział Jerry. – Oni cię nie słyszą. Nikt cię nie słyszy w promieniu kilku kilometrów. A mnie takie wrzaski tylko niepotrzebnie irytują. – Wrócił na swoje miejsce, sięgnął po szklanekę i tym razem pociągnął spory łyk, który na moment odebrał mu oddech. – Wiesz, ile dziś, w ten piękny i magiczny wieczór – mówił po chwili takim tonem, jakby snuł jakąś opowieść – znaleziono w tym mieście ciał? – Ponieważ Dobiecki milczał posłusznie, odpowiedział sam sobie: – Dziesięć. I musisz wiedzieć, że łączy cię z nimi więcej, niż przypuszczasz. Bo mimowolnie tworzyliście swego rodzaju wspólnotę, jak tacy... partners in crime. A skoro jest zbrodnia, musi być kara, prawda?

– Pomiędzy nimi jest jeszcze proces... – Dobiecki usilnie starał się dostrzec jakąkolwiek analogię pomiędzy swoim życiem a ewidentną zemstą, na dodatek zemstą, która dosięga dziesięć innych osób.

– Proces? No właśnie trwa. I raz wreszcie jestem prokuratorem i sędzią w jednym. – Jerry się roześmiał. – Ty możesz być swoim adwokatem, ale takim... z urzędu, wiecznie spóźnionym i niedoinformowanym – zakpił. – Słaba to będzie obrona, skoro sam twierdzisz, że nadal nie wiesz, dlaczego tu siedzisz i czekasz, żeby dołączyć do tamtych, prawda?

Dobiecki skinął głową, nie odrywając wzroku od tego – co było więcej niż pewne – szaleńca.

– Dlaczego właśnie ja jestem ozdobą w tej kolekcji? – zapytał cicho.

– Cóż... Chyba z uwagi na zaangażowanie w sprawę. Pomyśl tylko: tyle osób, ale jedynie ty odgrywasz kluczową rolę.



– Jerry, posłuchaj mnie... Jeśli powiesz mi, dlaczego mnie tu ściągnąłeś, naprawdę bardzo szybko się okaże, że na moim miejscu powinien siedzieć ktoś inny. – Dobiecki podjął kolejną rozpaczliwą próbę dogadania się. – Przywiozłeś tu kogoś, kto jest tak naprawdę nikim, nic nie znaczy, nie ma wpływów, znajomości... Jak w tej sytuacji mógłbym się wplątać w coś, w co zaangażowanych było tyle osób? Pracuję u dewelopera, sprzedajemy główniane domki z dykty, więc jeżeli masz zastrzeżenia akurat do tego, twoim celem jest mój szef!

Mężczyzna znów podszedł do niego i pochylił się tuż nad jego głową. W niczym nie przypominał psycholi i zwyrodnialców znanych z oglądanych filmów. Był starannie ogolony, z krótko przyszczyżonymi włosami. Miał pewny, spokojny głos, który tylko wzmagał już i tak paraliżujące przerażenie. Dobiecki zaczął się trząść i już sam nie wiedział, czy to znów z zimna, czy ze strachu.

– Zmarnowałeś mi najlepsze lata życia – powiedział cicho Jerry takim tonem, jakim tłumaczy się coś dziecku. – Teraz tkwię tu z gównem, które nie zasługuje na miano człowieka, a miałam być gdzie indziej, z kimś innym, robić co innego. Pomyśl tylko, jakie życie byłoby piękne, gdybyśmy nie musieli zajmować się takimi sprawami.

– Jakimi?

– Szukaniem sprawiedliwości. – Odpowiedź okraszona była pełnym rezygnacji uśmiechem. – Wobec takich jak ty, którzy twierdzą, że są niewinni. I pewnie za takich się uważają... – Zdawać by się mogło, że w głosie Jerry'ego zabrzmiało coś na kształt współczucia, może nawet litości. – Ale się nie da. – Wzruszył ramionami. – Po prostu się nie da... – Każde słowo wypowiedział osobno, jakby musiał rozłożyć akcent równomiernie, bo tylko dzięki temu przekaz będzie czytelny. – Została nam tylko jedna mała formalność. Chcę być pewny, że jednak wiesz, dlaczego tu jesteś i o jaką sprawiedliwość mi chodzi. Tylko wtedy mogę cię ukarać. Bo to naprawdę nie jest żadna zemsta, Brunonie. Nie. To kara. Zresztą, co daje nam zemsta? – zapytał i od razu sam sobie odpowiedział: – Nic. Jest dowodem słabości, niepoctyalności, buty... Ale kara? O, to coś zupełnie innego. Jest, a przynajmniej powinna być, wychowawcza. I o to chyba chodzi: żeby kogoś czegoś nauczyć. A ja ukarałem dziś dziesięć osób, masz pojęcie? Dziesięć! – Roześmiał się z triumfem. – Twoja kara właśnie się zaczyna. I potrwa najdłużej – dodał. – Ale, jak mówiłem, ty wymagasz specjalnego traktowania.

Dobiecki zyskał już teraz pewność: ten mężczyzna był zdolny do wszystkiego.

– Ale ja naprawdę nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Nie wiem, o kim mówisz. Kim byli ci wszyscy ludzie, ci twoi winni? Przecież ich nie znam! Wypuść mnie, ja już o wszystkim zapomniałem... – powiedział błagalnie. – Przysięgam, że o niczym nikomu nie powiem...

– Mówię o tych, którzy mogli pomóc, a przynajmniej nie dopuścić do tego, co się stało. Ty najbardziej. – Wzrok Jerry'ego wyrażał chłód i pustkę. I chyba to było najgorsze: jakby wiedział, jaki będzie finał, żadnych nerwów, niepewności, tylko świadomość, że sprawa zaraz zostanie zakończona. – Dwanaście lat temu... To jak? Pamiętasz już?

Dobiecki spuścił głowę niemal na piersi i powoli pokręcił nią przecząco. Słysząc było, że płacze.

– Ej, no... Psujesz mi zabawę. – Jerry zrobił grymas jak zawiedzione dziecko. – Taki wielki, mocny chłop, a maże się jak mała dziewczynka – dodał z dezaprobatą. – A wiesz, co jest w tym

wszystkim najzabawniejsze? Że tamci czuli się bezkarni. I głupi. Nie zrobili nic, żeby się od tej sprawy odciąć, zniknąć. Nie to, co ty. Ty się naprawdę napracowałeś, ale... niepotrzebnie. Nie masz pojęcia, do jak wielu szczegółów można dotrzeć, gdy dysponujesz czasem i możliwościami. A przede wszystkim: umiesz szukać. Musiałem, wiesz, tak dla samego siebie, zdążyć przed przedawnieniem. Na szczęście każdy rok przynosił mi nowe informacje, które właśnie dziś wykorzystałem. No... Bruno... – Brzmiało to niemal jak prośba. – Odrobina wysiłku i zamykamy temat.

Dwanaście lat... Wigilia, która sprawiła, że znienawidził święta. Ale ten mężczyzna nie mógł o tym wiedzieć, to niemożliwe! Przez dwanaście lat nic się nie działo, nikt go nie szukał, nie wzywał, nie kazał się z niczego tłumaczyć. Zdążył zmienić kilka razy pracę, samochód, nawet przeprowadził się do innej części miasta. To nie może dotyczyć tamtej sprawy, teraz tylko nastąpił fatalny, koszmarowy zbieg okoliczności. Strzał adrenaliny wyeliminował strach i dotkliwie zimno. Dobiecki zrobił ruch, jakby próbował wstać.

– Wypuść mnie! Wypuść mnie! – Przy każdym wykrzyczanym słowie usiłował rozbijać krzesło, licząc, że to pomoże mu się jakoś oswobodzić. Gdyby upadł, któryś element mógłby się złamać, a on dałby radę uwolnić choć jedną rękę. Niestety, mebel był zadziwiająco stabilny. Zerknął na ziemię i w nikłym świetle dostrzegł, że dół obrotowego krzesła został zanurzony w pojemniku z cementem. I chyba wtedy tak naprawdę do niego dotarło, że jest bezbronny i skazany na łaskę i niełaskę stojącego przed nim mężczyzny. – Wypuść mnie, ty skurwysynu! – Krzyk przeszedł w skowyt.

– O, i teraz dużo lepiej! – Mężczyzna się roześmiał. – Właśnie na to liczyłem, bravo! – pochwalili. – No dobrze. – Spowaźniał. – Nie przedłużajmy, bo w domu wszyscy czekają na mnie w wieczór wigilijny. – Wyjął zza poły kurtki pistolet. Odbezpieczył go i skierował lufą w górę. – Zapytam cię ostatni raz i radzę, żebyś naprawdę dobrze zastanowił się nad odpowiedzią. Rozumiesz?

Dobiecki kiwnął potakująco głową.

– Nie słyszę... – upomniał go Jerry.

– Tak! Rozumiem!

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Dobiecki wbił w Jerry'ego błagalne spojrzenie i zaskamlał:

– Przecież ja tego nie chciałem... Nie chciałem... To nie była moja wina! To on, to tamten jest za to odpowiedzialny! Wypuść mnie, błagam... – Zaczął płakać.

– Wiesz czy nie?! – ryknął Jerry.

– Wiem... – niemal niesłyszalnie odparł Dobiecki.

Mężczyzna chwycił go za gardło i zmusił do odchylenia głowy, jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć. Drugą ręką przystawił mu do skroni pistolet. Wystraszony Dobiecki przymknął powieki i mocno je zacisnął.

– Głośniej! – warknął mężczyzna, już mocno zniecierpliwiony.

– Wiem! Wiem!!! – krzyknął Dobiecki i zaczął szlochać.

Dwukrotne jowialne uderzenie w policzek miało być chyba potwierdzeniem, że dobrze się spisał. Jerry odszedł kilka kroków i znów na niego spojrział.

– Widzisz, tak kończą tchórze. – Z niechęcią wskazał na powiększającą się na spodniach więźnia parującą, ciepłą plamę moczu. – Szczają ze strachu w gacie. Wtedy też się poszczałeś? – zapytał z kpina. – Pewnie tak... – odpowiedział sam sobie. – Teraz już, mam nadzieję, rozumiesz, czemu cię tu ściągnąłem, zamiast zastrzelić jeszcze w samochodzie? – Ponieważ Dobiecki milczał, wyjaśnił: – Bo tak trzeba: skazany na karę śmierci musi mieć pełną świadomość tego, co zrobił, i dlaczego będzie mu właśnie taka kara wymierzona. Tu obyło się bez psychologa albo przewodnika duchowego, a nawet zwykłego klechy. Ty swoją karę właśnie zaczynasz.

Dobiecki pomyślał, że Jerry się jednak mylił: on swoją karę rozpoczął dokładnie dwanaście lat temu. Może dobrze się stało, że ten człowiek wreszcie go dopadł? Bo teraz, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, przestał się bać. A gdy uleciał strach, było mu już wszystko jedno.

### ***Szesnaście godzin wcześniej***

Zerknął na swoje odbicie w lustrze. Dobrze się prezentował: ubrany w ciemne spodnie i buty idealne do poruszania się piechotą po mieście przy dzisiejszej pogodzie. Mocne, na grubej podeszwie. Takie, w których wygodnie się chodzi i biega. Nie wyglądał nazbyt elegancko, ale z pewnością schludnie... Nawet uśmiech został wreszcie dopracowany do perfekcji. Nie za szeroki, ale i nie zdawkowy, dokładnie taki, który mówi o człowieku: „miły gość”. A „miły” znaczy „wzbudzający zaufanie”. I o to chodziło: już na wstępie rozwiązać wszelkie wątpliwości i obawy.

Poprawił przylegający do ciała czarny golf i upewnił się, że szelki z kaburą na broń leżą bez zarzutu. Sięgnął po ulubione parabellum – prezent od przyjaciół z Birmingham – i wprawnym ruchem zwolnił magazynek, sprawdził, czy jest pełen, wsunął go i spodem dłoni wbił na swoje miejsce. Użycie broni będzie ostatecznością, hałas nie należał do sprzymierzeńców jego planu, jednak lepiej przewidzieć wszystkie możliwe scenariusze. Wczoraj zrobił to chyba ze trzy razy, ale już wtedy wiedział, że nie wystarczy, i rano przeanalizuje wszystko ponownie. Taki nawyk, wypracowany w nim przez ojca, którego uwielbiał i podziwiał. Z czasem zauważył, że lubi sprawdzać nawet siebie. To dawało mu poczucie władzy nad samym sobą, ale i odpowiedzialności, jakby był dwiema różnymi osobami i kontrolował kogoś, kto mu ufa bezgranicznie, dawał mu wręcz namacalną pewność, że wszystko jest, jak należy. Wieczorem zatankował samochód pod korek, a nawet uzupełnił płyn w spryskiwaczach: zima, co prawda, w tym roku nie była szczególnie dotkliwa, ale wołał niczego nie pozostawiać przypadkowi.

Podszedł do biurka, na którym leżała nieduża torba. Ostatni raz zinwentaryzował jej zawartość: wszystko było na swoim miejscu, ułożone w odpowiedniej kolejności, według planu, na który poświęcił ponad dekadę swojego życia, wyłącznie w ten sposób nadając mu jakikolwiek sens. W osobnej kieszonce schował opakowania z tabletkami, dla bezbłędnego rozpoznania ich zawartości nawet w kompletnej ciemności umieszczone we fiolkach różniących się wielkością i kształtem. Odłączony przed chwilą od ładowania taser wskazywał na pełną moc urządzenia. Jeszcze raz przyjrzał się dokładnie wielkiemu arkuszowi papieru przyklejonego do ściany w gabinecie, pokrytemu zdjęciami i notatkami, nieustannie weryfikowanymi i aktualizowanymi. Aplikacja w telefonie przyjaźnie zamrugnęła, pokazując kilka miejsc w odległych częściach miasta.

Przymknął powieki i, oddychając głęboko, ostatni raz odtworzył w myślach kolejność działań. Był gotowy, i to co najmniej kwadrans przed wyznaczoną godziną. Zegarek na lewym przegubie wskazywał piątą dziesięć.

To będzie długi dzień. Może najdłuższy w jego życiu.

# CZĘŚĆ I

*24 grudnia, Wigilia*

*teraz*

## Ulica Grunwaldzka, wcześniej rano

– Przemek, a ty dokąd? – Monika zatrzymała go niemal w pół kroku. – Tak bez śniadania? Wiesz, że musisz najpierw coś zjeść... A poza tym wolałabym, żebyś dziś już nigdzie nie wychodził. Do warsztatu zwłaszcza.

Sawicki cofnął się w drzwiach i odwrócił niechętnie. Kurwa, jak mu jeszcze na dziś coś wymyśli, to chyba wyjdzie z siebie.

– Bo co? – odparł, tłumiąc zniecierpliwienie.

– Przecież wiesz. – Żona zerknęła niepewnie na zawaaloną produktami i naczyniami kuchnię. – Rodzice przyjadą tym po szesnastej. – Miała na myśli pociąg z Nowej Soli. – To pierwsza taka duża wigilia, będzie w sumie prawie osiem osób. Twój brat... – zaczęła wymieniać, ale przerwał jej z irytacją.

– Wiem, kto ma być!

– Tym bardziej. – Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. – Nie wiem, czy się ze wszystkim wyrobie, a nie chcę przy nich nakrywać do stołu. Mógłbyś mi pomóc...

– W lepieniu pierogów? – warknął. – Wczoraj załatwiliśmy zakupy, wyszorowałem kibel, pozakładałem te debilne lampki, ale teraz już niech każdy pilnuje swojej roboty. Chyba że wolisz ujebana smarem grzebać w skrzyni biegów? – zakpił. – Ale oboje dobrze wiemy, że to dzięki mojej robocie stać cię na te fanaberie. – Omiótł wzrokiem kipiące od świątecznych ozdób wnętrze. – Więc?

Monika zacisnęła usta i odwróciła głowę.

Był więcej niż pewny, że zaraz zacznie płakać. Tyle z niej pożytku. Od wyprowadzki syna coraz gorzej znosił ich wspólne życie. Bytowanie raczej. Oboje doskonale wiedzieli, że nic już z tego nie będzie, ale żadne z nich nie chciało zrobić kolejnego kroku. Na rozwód nie mieli ani czasu, ani ochoty. Poza tym wciąż jeszcze żyli rodzice, nie było sensu im tego wszystkiego tłumaczyć. Każde funkcjonowało we własnym świecie. Spotykali się przy posiłkach. Nigdy w sypialni. Jak sublokatorzy starali się nie wchodzić drugiej osobie w drogę. Na zewnątrz się uśmiechać, wymieniać uprzejmości, odgrywać co najmniej poprawne małżeństwo. I tak właśnie będzie dziś. Tylko po to, żeby przetrwać te cholerne święta. Potem wszystko wróci do normy.

– Muszę iść. Wrócę najdalej za dwie, no... – zawahał się – trzy godziny. – Spojrzał wymownie w stronę warsztatu. – Skończę to, bo klient chce po dziesiątej swoim samochodem jechać na wigilię do rodziny. Do Wrocławia – dodał, choć nie było to konieczne. Żona stała odwrócona do niego tyłem i powoli porządkowała blat, żeby zająć się ciastem na pierogi. – Śniadanie zjem później. – Uniósł w górę rękę, w której trzymał smartfon, i odruchowo nią pomachał. – Jakby co, to dzwoń.

Nie zareagowała. Zaczęła coś pospiesznie kroić, a każde kolejne uderzenie noża o deskę zdawało się głośniejsze.

*Pierdol się*, pomyślał z niechęcią i może nieco zbyt szybko wyszedł z domu.

Do warsztatu miał dosłownie kilka kroków w poprzek podwórka, nawet nie założył kurtki. Zdziwiła go niedosunięta brama. Kontrolnie zerknął w kierunku furtki w ogrodzeniu posesji: zamknięta. Zresztą najmniejsza próba jej sforsowania bez wiedzy domowników skończyłaby się wyciem alarmu. Pewnie sam wczoraj nie dociągnął ciężkich metalowych drzwi do końca. Otworzył je szerzej, ale nie wszedł od razu do środka. Jakieś dziwne przecucie kazało mu stanąć w progu i spokojnie zlustrować warsztat. Nic nadzwyczajnego: na kanale stało audi do zrobienia na dziś, obok – nissan na rozrząd, ale to dopiero na styczeń.

Wkroczył głębiej i zasunął za sobą bramę, a potem zapalił światło. Skierował się do niedużej kanciapy z zamiarem przygotowania sobie porządnej kawy, zanim zabierze się do roboty. Nie chciał pić jej w kuchni, z Moniką na karku. Zaraz zaczęłaby stękać, że za mocna, że po co tyle cukru, a pomiędzy tymi rewelacjami pewnie zaprzęglaby go do roboty. Tak jest lepiej. Cisza. Spokój.

Uniósł koszmarne brudny czajnik bezprzewodowy w górę, oceniając ilość znajdującej się w nim wody. Wystarczy. Cholera, musi go wreszcie umyć, bo jeszcze jakiejś choroby się nabawi. Nie zdążył jednak wcisnąć klawisza na urządzeniu, bo w tym momencie w warsztacie zrobiło się zupełnie ciemno.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ryszard Kmita odłożył telefon na biurko i, marszcząc brwi, zerknął za okno. No nie tak to miało wyglądać. Wychodząc rano z domu, zapewnił żonę, że nic nie stanie na przeszkodzie, żeby tuż po świętach mogli całą czwórką pojechać do Karpacza. Chłopcy tak się cieszyli, że choć przez te kilka dni będą mieli ojca na wyłączność. Nic z tego. Aspirant Jerzy Chotowski, kolega z wydziału kryminalnego, niespodziewanie poszedł na zwolnienie, automatycznie wciskając Kmitę w obowiązki ich obu na czas bliżej nieokreślony.

Kmita, trzydziestosześcioletni świeżo upieczony komisarz, westchnął ciężko i wbił wzrok w krajobraz za oknem. W sąsiadującym z komendą parku spacerowali psiarze, kilka osób przemierzało skwer z torbami, które w przedsięwziętej gorączce wypełnili ostatnimi niezbędnymi produktami w pobliskim Lewiatanie. Z autentycznym żalem i poczuciem winy pomyślał o swojej żonie, kobiecie o anielskiej cierpliwości, bez słowa skargi wybaczącej kolejne odwołane urlopy. Powinien do niej zadzwonić, ale nie bardzo wiedział, co ma jej powiedzieć, a przede wszystkim: jak wyjaśnić całą tę sytuację synom.

Wiadomość o Chotowskim Kmita dostał z kadr, gdy tylko w systemie odczytano jego zwolnienie. Komisarz z miejsca do niego zadzwonił, żeby uzyskać nieco więcej informacji. Czym innym będzie zapalenie gardła czy oskrzeli, a czym innym otwarte złamanie z przemieszczeniem kości piszczelowej, bo to bezpośrednio przekłada się na czas rekonwalescencji i ewentualnej rehabilitacji. Jakkolwiek jednak nie licząc, Kmitę czekało co najmniej kilka dni samotnego trwania na posterunku. Niestety telefon Chotowskiego milczał jak zakłety, pewnie został przezornie wyłączony. Kmita zmełł w ustach przekleństwo i ciężko siadł na fotelu.

- I co, panie komisarzu? Odebrał? - zapytał siedzący przy drugim biurku sierżant Andrzej Eliasz, któremu akurat nagle zwolnienie Chotowskiego w niczym nie przeszkadzało. Jego partnerka pojechała na święta do rodziny w Skwierzynie, miała wrócić dopiero na sylwestra, a sam sierżant nie był szczególnie uszczęśliwiony wizją wyjazdu do, jak wielokrotnie zaznaczał, „ewentualnych” teściów i bez problemów już dużo wcześniej zadeklarował swoją obecność w opustoszałej w najbliższych dniach komendzie.

- Nie. Może oddzwoni - westchnął Kmita i z niedowierzaniem pokręcił głową. - Tak czy inaczej jestem udupiony.

- Przykro mi...

- Daj spokój, to nie wyrok śmierci - obruszył się. - Nie wiem tylko, jak mam o tym powiedzieć żonie... - Wciągnął mocno powietrze i po chwili wypuścił je ze świstem. - Dobra, melduj, co tam mamy.

- Nic - odparł sierżant. - Można powiedzieć: kryminalna flauta! - Roześmiał się, ale pod wpływem wzroku Kmity szybko spowaźniał. - Od dyżurnego wiem, że komisariat przy osiedlu Pomorskim miał tylko nad ranem jakieś zgłoszenie o próbie wybicia szyby w witrynie Żabki,



ale włamania nie było. Poza tym to spokój. – Wzruszył ramionami. – Chyba rzeczywiście w święta każdy chce zasłużyć na prezencik i co najwyżej kilku postara się jutro o mandat po „dmuchanku”. Panie komisarzu, przecież wie pan doskonale, że ruch w święta to domena pogotowia albo drogówki, u nas się może ruszy w sylwestra, jak się zaczną ludziom ze łbów nadmiernie dymić. Przykra sprawa z tym urlopem – dodał współczująco. – Może niech pan zaryzykuje „na żądanie”? Tu się przecież nic nie wydarzy...

# Ulica Chopina

Bruno Dobiecki zaparkował pod biurowcem. Nie spieszył się, nie było do czego, zresztą dziś miał być w pracy jako jedyny. Westchnął kilka razy głęboko, jakby to mogło mu pomóc w przewyciężeniu oporu przed wyjściem z samochodu. Bo już nie będzie odwrotu. Trzeba wjechać na swoje piętro, a potem wejść do ciasnego biura, w którym mieszały się zapachy kurzu, resztek kawy w nieumytych kubkach, śmieci, które ktoś powinien był wynieść już kilka dni temu, i nikotynowej mgły, bo wciąż tam palił, mimo iż szef wyraźnie mu tego zabraniał. Co z tego, skoro robota jest tak gówniana, że bez papierosa trudno by mu było wytrzymać.

Pomyślał z niechęcią, że chyba w styczniu znów będzie musiał rozejrzeć się za inną pracą, bliższą jego wykształceniu, choć ta biurowa banicja nadal dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Siedział jak w latarni, żadnych gości i wszystkie sprawy na telefon, bo spotkania w terenie brali na siebie agenci. W zasadzie o to właśnie chodziło: nie włączyć nikomu w oczy.

Postanowił, że zanim wejdzie do opustoszałego tego dnia biurowca, jeszcze zapali papierosa i wciągnie do płuc kilka nerwowych wdechów. Potem przygotuje to, co powinno pójść z końcem miesiąca do księgowych, a po wszystkim najwyżej wejdzie na neta i trochę się odstresuje.

Musi wytrzymać do czternastej, ustalił to z szefem, tłumacząc się chęcią pomocy żonie przy przygotowaniach do wigilii. Ale tak naprawdę Asia wolała, żeby on trzymał się w tym czasie z dala od kuchni. Dziś rano dała mu jeszcze listę ostatnich zakupów, takich „na świeżo”, które miał zrobić, wracając do domu. Uśmiechnął się i zapewnił, że wszystko załatwi, choć czekało go krążenie po mieście, żeby dotrzeć do wskazanych przez nią sklepów. Nigdy jej nie powiedział, że od dwunastu lat nienawidzi Wigilii i tego akurat dnia wolałby w ogóle nie wychodzić z domu.

Na dworze było już jasno, zapowiadała się całkiem przyjemna – przynajmniej jak na tę porę roku – pogoda, ale widok niemal pustego parkingu wywarł na Dobieckim przygnębiające wrażenie. Jakby był on jedynym skazanym na tę niepotrzebną szopkę z pracą. Wysiadł, zamknął samochód i powoli zmierzał do wejścia, gdy usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił w tamtym kierunku głowę.

– Przepraszam! – Dostrzegł, że jakiś mężczyzna kiwa na niego ręką. – Może mi pan pomóc?

Dobiecki wzruszył ramionami i podszedł bliżej.

– Dobry – mruknął. – Coś z samochodem? – Zauważył, że na bokach auta, przy którym stoi tamten, jest logo wypożyczalni.

– Dzień dobry! – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i jakby z ulgą. Pewnie się obawiał, że jeszcze długo tu poczeka, zanim na parkingu pojawi się ktokolwiek. – Takie mi, za przeproszeniem, padło dali. Już wczoraj zaczęło się dziać z nim coś dziwnego, ale teraz w ogóle nie mogę go odpalić – wyjaśnił z tłumioną irytacją. – Nie wiem, cholera, może to

akumulator? Mógłbym się podpiąć i trochę podładować? Sam pan wie, Wigilia, jeszcze kupa spraw do załatwienia przed świętami, a ja tkwię na parkingu...

Dobiecki zerknął na zegarek: była prawie ósma, ale przecież nie musi odbijać karty, a w razie czego telefon ma przy sobie.

- Ma pan przewody? - zapytał krótko. Gdy mężczyzna energicznie pokręcił przecząco głową, zdecydował: - Niech pan poczeka, ja coś chyba znajdę. Pokombinujemy.

Wrócił do swojego samochodu i otworzył drzwi. Wsiadł, odpalił silnik z zamiarem podjechania bliżej tamtego auta i w tym momencie na siedzeniu pasażera ktoś usiadł. To był ten mężczyzna, musiał przybiec za nim niemal w ostatniej chwili, bo gdy on sam szedł, nie słyszał za plecami żadnych kroków.

Dobiecki spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Co je... - Nie zdążył zapytać, bo intruz przytknął mu do twarzy jakąś szmatę nasączoną płynem o dziwnym zapachu. Szarpnął się, ale ramię mężczyzny dociśnięte do jego szyi niemal wbiło go w oparcie fotela. Zaczął się dusić, więc, chcąc nie chcąc, desperacko wciągnął spory haust powietrza, a potem długo spadał, lecąc głową w dół i nawet nie próbując się czegokolwiek złapać.

Nie czuł, jak mężczyzna rozłożył fotel i przerzucił jego bezwładne ciało na tylne siedzenie, a potem samochód ruszył.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Podczas gdy Kmita bezmyślnie przekładał teczki z dokumentami, usiłując zaplanować pracę na następne dni, Eliazsz skupiony był na rzetelnym sprawdzaniu najnowszych postów na Facebooku. Niestety, przerzucanie akt z lewej strony biurka na prawą i z powrotem nie tylko nie dawało konkretnych rezultatów, ale też dodatkowo podnosiło ciśnienie. Chotowski milczał, nie odbierał telefonów ani nie odpisywał na wiadomości, a w związku z tym sam Kmita nie bardzo wiedział, jak powinien poprowadzić rozmowę z żoną i synami, żeby przynajmniej spróbować przedstawić porażkę z urlopem w miarę korzystnym świetle. Z irytacją trzasnęła kolejną teczką o blat biurka i wstał.

– Eliazsz, na chwilę wychodzę, a gdy wrócę, wracamy do sprawy z Kisielina.

Sierzant westchnął ciężko, ale nie skomentował polecenia. Grzebali się z tym kolejny miesiąc, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, żeby temat zamknąć wnioskiem o umorzenie z tytułu niewykrycia winnego. Sprawa śmiertelnego potrącenia rowerzysty z początku września, którą dostali w niechcianym spadku po Jurku Chotowskim, nie ruszyła się ani o centymetr.

Chłopak jechał w stronę Zielonej Góry. Rower był wyposażony w światła i odblaski, a chłopak miał odpowiednią odzież, zapewniającą, że potencjalny kierowca zauważy rowerzystę od razu, gdy tylko dosięgną go światła reflektorów. Ale tym razem z jakiegoś powodu to nie zadziało i siła uderzenia przez samochód wyrzuciła go kilka metrów w głąb rzadkiego lasku, który zaczynał się jeszcze przed tablicą informującą o zakończeniu strefy terenu zabudowanego. Chłopaka znaleziono dopiero następnego dnia, nie miał praktycznie żadnych widocznych obrażeń, dopiero sekcja wykazała rozległy wylew wewnętrzny. Analiza techników potwierdziła, że w zdarzeniu nie było przypadkowości: ktoś w niego wjechał celowo. Co najgorsze, gdyby ewentualni świadkowie w porę wezwali pogotowie, ofiarę by uratowano. Niestety, świadków nie było i kilkanaście godzin w temperaturze niespełna dziesięć stopni spowodowało wychłodzenie ciała, przyspieszając zgon.

Naczelnik wydziału kryminalnego, podinspektor Olgierd Burszta, pieklił się o to każdego dnia, a ostatecznie odebrał sprawę Chotowskiemu i przekazał Kmicie, zapowiadając, że oczekuje szybkich i wymiernych wyników śledztwa. Kmita akta sprawy znał niemal na pamięć: przyswoił nazwiska, imiona i twarze przesłuchiowanych osób, z perfekcyjną dokładnością potrafił odtworzyć położenie ciała ofiary i zgniecionego roweru, pamiętał łacińskie nazwy, które patolog Klemens Cichocki wpisał w protokół sekcji. Ale nie to przecież interesowało Bursztę, a komisarz nie był w stanie sprostać jego wymaganiom. Nie miał świadków zdarzenia ani nagrań z monitoringu, a poszukiwania pojazdów z charakterystycznymi uszkodzeniami też spełzły na niczym.

Zrezygnowany Kmita wszedł do toalety i otworzył jedno z okien. Zapalił papierosa i łapczywie zaciągnął się dymem. Obiecał żonie, że z tym skończy, ale na szczęście nie podał

żadnego konkretnego terminu. Poza tym w biurku wciąż miał otwartą paczkę, więc co niby miał z nią zrobić? Wywalić? Szkoda... Z uwagą patrzył na kłąb ciepłego dymu, który powoli, w płasach mieszał się z zimnym powietrzem grudniowego poranka. Kmita przymknął powieki i pomyślał, że chyba powinien ponowić próbę swojego przeniesienia do wydziału przestępstw gospodarczych. Owszem, wcześniejsza robota w dochodzeniówce też miała swoje obciążenia, ale kryminalny to jednak nie dla niego... Za każdym razem, gdy wracał z pracy, patrzył na synów z narastającym niepokojem, że ich nie upilnuje, nie zapewni dostatecznej opieki i bezpieczeństwa, że...

– Kurwa! – powiedział półgłosem, zły na samego siebie.

Naprawdę, optykę codzienności miał już dostatecznie mocno skrzywioną, więc na cholere jeszcze sobie sam do tego dokłada?! Ostatni raz zaciągnął się papierosowym dymem, a potem zgasił niedopałek pod strumieniem wody i wyrzucił go do kosza. Umył ręce, odetchnął kilka razy i wyszedł z łazienki. Koniec bezproduktywnego biadolenia, czas zająć się czymś konkretnym i po raz setny przyjrzeć się aktom tego rowerzysty. Może wreszcie zobaczy coś, co popchnie sprawę choć o krok do przodu.

Gdy kilka minut później wrócił do biura, zastał sierżanta trzymającego przy uchu telefon. Podchwycił jego dziwny wzrok i domyślił się, że czuć od niego nikotyną.

– Oj, daj spokój – sapnął półgłosem. – Jedna fajka, raptem kilka machów... – Wzruszył ramionami i usiadł za swoim biurkiem.

Eliasz nie skomentował wymówki Kmita, za to ściągnął w skupieniu brwi.

– Że co?! – dopytał po chwili rozmówcę, jakby się upewniał. – No rozumiem, prokurator... Ale akurat dziś? – Słowom towarzyszyło pełne niedowierzania kręcenie głową. – Dobra, zaraz będziemy – zapewnił i po chwili zakończył połączenie.

Kmita spojrzał na niego pytająco.

– Niech to szlag, chyba powiedziałem coś w złą godzinę... – mruknął sierżant. – Dzwonił dyżurny. Mamy trupa przy Grunwaldzkiej. Pogotowie wezwało patrol do mężczyzny, którego zgon lekarz stwierdził nawet bez badania pulsu. Żona nie potrafiła wyjaśnić im okoliczności powstania wielkiej rany na głowie, więc od razu wezwali policję.

– Trup w Wigilię? Lepiej być nie mogło. – Kmita z niechęcią wstał. – Prokurator, jak rozumiem, już tam jest?

– Jest. Wściekły, bo podobno Cichocki – miał na myśli patologa – uparł się, że to sprawa dla nas.

– No i w czym problem? Skoro to sprawa dla nas...

– Nie o to chodzi. – Mówiąc to, Eliasz miał tak dziwną minę, że komisarz dopytał:

– A o co?

– Pojechał ten cyborg, Gerard Śliwiński... Byłem pewny, że on też na urlopie, bo już dwa dni temu wszystko spychał na zastępców.

– Sam jaśnie nam panujący Gerard Śliwiński przejął stery? Dziś, w ten szczególnie dzień? – Kmita gwizdnął z udawanym podziwem. – Świat się kończy. A dlaczego nie jeden z jego wicków?

- Nie wiem. - Eliasz wzruszył bezradnie ramionami. - I chyba się nie dowiem. Śliwiński jest nieprzenikniony jak, nie przymierzając, sfinks. - Zachichotał, rozbawiony własnym żartem.

Kmita nie podzielał dobrego humoru kolegi: jego nastrój i tak zaliczył solidny niż, gdy tylko padło nazwisko prokuratora.

- To cholerny nadgorliwiec - sapnął komisarz. - Dobra, zbieramy się.

# Ulica Grunwaldzka

Na miejscu, przede wszystkim ze względu na niewielką odległość od budynku komendy, byli po niespełna kilku minutach. Wymienili z obecnym już prokuratorem Śliwińskim uściski dłoni, darując sobie dalszą kurtuazję przywitania.

– Pan, panie komisarzu? – skrzywił się Śliwiński.

– Bo? – odparł Kmita z niesmakiem. Domyślił się, że prokurator chyba wolałby zobaczyć tu kogoś innego.

– Dlaczego nie Chotowski?

– No, tak wyszło. – Kmita odwrócił się ostentacyjnie i zapytał obecnego przy oględzinach mundurowego z patrolu: – Jakież małżeńskie rozgrywki? Przemoc domowa? I kto to w ogóle jest?

– Przemysław Sawicki, lat pięćdziesiąt sześć, właściciel warsztatu. Wezwali nas, bo denat ma rozbitą głowę – odparł tamten. – Wygląda to jak mocne uderzenie o posadzkę na skutek upadku, ale czekamy na ich ustalenia. – Ruchem głowy wskazał na kręcących się po warsztacie techników.

– I upadek, znaczy... ta rana na głowie prawdopodobnie przyczyniła się do śmierci? – Kmita zerknął na Cichockiego pochylonego nad ciałem, chyba już kończącego wstępne oględziny zwłok. – Patolog jest już w stanie coś w ogóle stwierdzić?

Śliwiński również popatrzył w kierunku lekarza.

– Cichocki uznał, że musi to sprawdzić u siebie, na stole – odparł pełnym powątpiewania tonem. – Według niego przyczyny śmierci są niejasne, a co najmniej nieoczywiste. Zabierają denata do zetemesu.

– Jak on się tu znalazł? – Kmita rozejrzał się po warsztacie. – Nawet dziś pracował? – zdziwił się. – No tak, prywaciarz... – odpowiedział sam sobie.

– Żona, Monika Sawicka, twierdzi, że miał rano jeszcze jakieś auto do pilnej naprawy. Tak przynajmniej powiedział jej mąż: że klient chce tym autem jechać na wigilię do Wrocławia, dlatego to takie „zapalenie płuc”. Sawicki wyszedł z domu krótko przed siódmą, a gdy ona zerknęła po jakimś czasie w stronę warsztatu, zorientowała się, że jest w nim ciemno. Twierdzi, że zwykle, nawet w lecie, pali się tam światło, więc...

– Po jakim czasie?

Śliwiński zerknął na zegarek.

– Wychodzi na to, że czterdzieści minut temu.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Dziwne pytanie. – Prokurator popatrzył na niego z politowaniem. – A w jakim innym celu pan tu przyjechał? Zresztą to i tak strata czasu...

Niezrażony tym Kmita rzucił Eliaszowi znaczące spojrzenie. Sierżant podszedł do niego i razem skierowali się do tej części warsztatu, gdzie na zniszczonym taborecie siedziała jedyna w tym gronie kobieta. Patrzyła przed siebie otepiałym wzrokiem, jakby wciąż nie dowierzała temu, czego była przecież świadkiem.

– Dzień dobry, komisarz Ryszard Kmita, Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze – przedstawił się. – To sierżant Andrzej Eliasz. – Wskazał na partnera. – Możemy chwilę z panią porozmawiać?

Kobieta podniosła na niego zdziwione spojrzenie.

– Słucham...

– Pani Sawicka, tak? – Kiwnęła potakująco głową. – Może pani opowiedzieć jeszcze raz, co tu się właściwie wydarzyło?

– Ja... – zaczęła z trudem. – Ja się zdziwiłam, że jest ciemno... Tu się zawsze światło świeci, nawet w lecie, bo wie pan, te okna są takie małe... – dodała wyjaśniająco. – Przemek, znaczy mąż, wyszedł rano, mówił, że ma jeszcze coś do zrobienia, tak na chwilę. Ale minęła jakaś godzina, a on jest cukrzykiem... był... znaczy cukrzykę miał – zaczęła się płatać. – Nie jadł śniadania i przyszedł, żeby go na to śniadanie zawołać, a on... – Zaniosła się płaczem. – On tak tu leżał!

– Ruszała go pani w ogóle czy od razu wezwała pogotowie?

– Myślałam, że to przez spadek cukru zasłabł, chciałam go podnieść jakoś... Ale potem ta krew... Zadzwoniłam po pogotowie, bo Przemek nie otwierał oczu. Wystraszyłam się... A pogotowie zawiadomiło policję... Dlaczego? – Spojrzała na nich pytająco.

– Musimy zbadać okoliczności śmierci pani męża – wyjaśnił Kmita. – Na przykład wykluczyć udział osób trzecich...

– Okoliczności? Jakie... okoliczności? – Wyraźnie się pogubiła. – Co to znaczy „osoby trzecie”? Tu przecież nikogo nie było. Boże, ja nic nie rozumiem...

– No i do tego właśnie zmierzamy. – Ponieważ kobieta wciąż wbijała w niego zdziwiony wzrok, dodał: – Musimy sprawdzić, czy ktoś pani męża czymś nie uderzył.

– Uderzył? Przemka? – zdziwiła się. – Ale po co ktoś miałby to robić?

– A to są właśnie te okoliczności – odparł łagodnie komisarz. – Może to była próba rabunku. – Mówiąc to, rozejrzał się po warsztacie. – Nie orientuje się pani, czy coś zginęło?

– Nie wiem, ja tu prawie nie zaglądałam. Mąż nie lubi... Nie lubił – poprawiła się. – Mówił, że warsztat to wyłącznie jego sprawa.

– A gdzie pani była w tym czasie, gdy mąż przebywał w warsztacie?

– Ja? – zdziwiła się. – W kuchni, przecież dziś Wigilia, mamy zapowiedzianych gości...

Kmita popatrzył na dom.

– Okna kuchni wychodzą na którą stronę?

– Na ogród.

– A ulicę też widać?

– Też... – Była coraz bardziej zdumiona zadawanymi pytaniami. – Trochę...

– To może widziała pani jakiegoś dziwnego przechodnia albo ktoś kręcił się przy bramie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.



– Nikogo. W sumie nawet nie patrzyłam, tyle pracy, to i kiedy przez okno miałam wyglądać...

Zerknęła w kierunku ciała męża i aż ją zmroziło. Kmita powędrował wzrokiem w tę samą stronę: technicy pakowali już Sawickiego do worka.

– Co wy robicie?! – Kobieta zerwała się z miejsca i podbiegła do jednego z nich. – Gdzie go zabieracie?! Ja muszę zawiadomić zakład pogrzebowy!

Kmita podszedł do Sawickiej i delikatnie chwycił ją za ramię.

– Przykro mi, ale w zaistniałej sytuacji ciało pani męża musi zostać poddane bardziej szczegółowemu oględzinom. Tutaj jest to niemożliwe, dlatego zabierają go do zakładu medycyny sądowej.

– Przecież on zasnął, mówiłam panu i tym... tam! – Sawicka wskazała ręką na Cichockiego i Śliwińskiego. – To cukrzyk! Nie zjadł śniadania, pewnie cukier mu spadł... – Chyba zakręciło jej się w głowie, bo w popłochu rozejrzała się dookoła i wtedy Eliaz przytomnie podsunął jej stojący nieopodal podniszczony taboret. Usiadła na nim ciężko i znów zaczęła szlochać.

Kmita podszedł do patologa.

– Podobno strasznie się na nas uparłeś? – zapytał Cichockiego. – Cukrzycy chyba liczą się z tego rodzaju zagrożeniem? No wiesz, spadek poziomu cukru, zaślabnięcie czy nawet śpiączka.

– Po pierwsze, nasz denat ma podpiętą pompę insulinową. A to znaczy, że był cukrzycowym weteranem i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co dla niego oznacza obniżenie poziomu cukru. Oczywiście jest możliwe, że mimo to zasnął, upadł i uderzył się paskudnie w głowę. Ale jest coś jeszcze... – Gdy Kmita spojrzał na niego pytająco, dodał: – Facet ma na szyi dwa świeże ślady po oparzeniu.

– Oparzeniu? – zdziwił się Kmita. – Papierosem?

– Nie. To mi raczej wygląda na taser.

Kmita uśmiechnął się z powątpiewaniem.

– Załatwiła go taserem, żeby tu poleżał, i spokojnie czekała, aż niski poziom cukru wprowadzi go w śpiączkę? Przecież to jakaś bzdura!

– Śliwiński też tak twierdzi. Że to bzdura. – Patolog zerknął w stronę wsiadającego już do samochodu prokuratora. – A ona nawet nie wiedziała, że Sawicki chodzi z pompą.

– Jak mogła nie wiedzieć? Przecież mieszkali razem...

– A co to ma do rzeczy? Była przekonana, że mąż robi sobie zastrzyki penem, ale on najwyraźniej wołał lub musiał mieć bardziej precyzyjne dozowanie, ale nie widział zasadności poinformowania o tym małżonki. I dlatego tym bardziej uparłem się na kwalifikację jako zabójstwo i mam zamiar przyjrzeć się temu bliżej. Poza tym... – zawahał się. – No znasz przecież Śliwińskiego.

– Ale w jakim sensie?

– Kmita, ja rozumiem, że jest Wigilia i nawet zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, ale żeby Śliwiński dążył do szybkiego zamknięcia postępowania, to dla mnie kompletna nowość.

Kmita przeleciał w pamięci wszystkie sprawy, gdzie na rzeczywistym albo domniemanym miejscu zbrodni pojawiał się prokurator Gerard Śliwiński. Był wyniosły, opryskliwy, swoimi uwagami odnośnie posiadanych przez ludzi Kmity kompetencji balansował na granicy

mobbingu. Czepiał się każdego szczegółu i wszystko podawał w wątpliwość. Cichocki miał rację: prokurator zaskakująco szybko chciał odpuścić.

- Pogadamy u mnie, na spokojnie. Panowie, zbieramy się! - krzyknął Cichocki w stronę ekipy techników kryminalistyki i po chwili w warsztacie zostali już tylko Kmita, Eliasz i dwóch mundurowych.

- Chodź, trzeba spisać jej zeznania - zdecydował Kmita, ruchem głowy wskazując na Sawicką.

- Nie weźmiemy jej do nas? - zdziwił się Eliasz.

- Nie. Załatwimy sprawę szybko i wracamy na komendę, trzeba nieco o tym Sawickim wiedzieć. I chyba powinienem zadzwonić do naczelnika...

## Ulica Zyty, szpital

Jerry wszedł na oddział urazowy śmiałym krokiem. Idealnie wmieszał się w dość liczny tłum gości, którzy w tym szczególnym dniu przyszli odwiedzić swoich bliskich, złożyć życzenia i podzielić się opłatkiem. Dobrze pamiętał, jak jednego roku – miał wtedy chyba czternaście, może piętnaście lat – odwiedzili tak całą rodziną jakiegoś wujka. Oddział torakochirurgii śmierdział wtedy odrażająco, powodując silny odruch wymiotny, ale prawdziwe apogeum fetoru było w pokoju, do którego po chwili weszli on, rodzice, ciotka... Leżało w nim czterech pacjentów, wśród nich wujek. Najpierw go w ogóle nie poznał. Patrzyły na niego wielkie, jakby szklane i puste oczy, wciśnięte w niewyobrażalnie chudą twarz. Teraz już wiedział, że śmierdziało tam mieszaniną strachu i śmierci. Wujek zmarł przed Nowym Rokiem, a on wyleczył się z wizyt w tym miejscu na długie lata. Dopiero gdy Małgorzata...

Potrząsnął głową i wmaszerował do pierwszej mijanej sali, w której, jak zauważył przez otwarte na oścież drzwi, drzemali trzej mężczyźni. Podeszedł do najbliższego łóżka i ukradkiem przeczytał dane umieszczone na karcie: Franciszek Wójcik, lat sześćdziesiąt siedem. Szybki rzut oka na wykres temperatury i nabazgroloną niedbale listę podawanych leków pozwolił mu odpowiednio zidentyfikować przyczynę pobytu chorego w szpitalu podczas świąt. A w tej sytuacji wypada przecież „podziękować” ofiarnemu personelowi szpitala.

Wszedł z sali i udał się w głąb korytarza, szukając właściwej wywieszki przy drzwiach. Gdy znalazł pokój lekarski, energicznie zapukał, nacisnął klamkę i nie czekając na „proszę”, wszedł do środka.

Siedzącego przy biurku mężczyznę poznał od razu. Jacek Ulewicz. Doktor Ulewicz. Był tęższy niż na licznych zdjęciach na Facebooku, posiwiął, ale wciąż na twarzy miał ten irytujący wyraz wyższości, jak wtedy... On sam jednak został potraktowany jak każdy inny epizod w pracy lekarza, bo Ulewicz na widok nieproszonego gościa zmarszczył brwi i z niechęcią omiółł jego sylwetkę nieuważnym spojrzeniem. Bo teraz Jerry wyglądał jak wszyscy, którzy w te święta przyjeżdżają do szpitala w odwiedziny: kurtka, czapka, przewieszona przez ramię spora listonoszka. Kolejny z „uprzejmym zapytaniem”. Lekarz westchnął ostentacyjnie i burknął przez ramię:

– Słucham.

– Dzień dobry! – Jerry uśmiechnął się przeprasząco. – Pan wybaczy, panie doktorze, że przeszkadzam, ale chciałem porozmawiać o moim bracie. Leży w czwórce, Franciszek Wójcik.

– Porozmawiać... o czym? – Dopiero teraz na niego spojrzał.

– Ale nie tu, może w bardziej... – Jerry uniósł nieznacznie rękę z trzymaną ozdobną papierową torebką, której kształt i radosna świąteczna wzorzystość nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do jej zawartości. – No... w bardziej zacisznym miejscu? – dokończył i mrugnął porozumiewawczo. – Zaraz ktoś tu może wejść, a ja nie chciałbym, żeby zostało to jakoś źle zinterpretowane.

Lekarz chwilę patrzył na niego z namysłem, a potem wstał i podszedł bliżej.

– To niepotrzebne ceregiele, ale, jeśli pan woli, możemy pójść do zabiegowego. – Zerknął na zegarek. – Powinien być już o tej porze pusty, widziałem, że salowa kończyła go sprzątać.

Szedł za lekarzem z nisko opuszczoną głową, niemal nie rozglądając się na boki. Korytarz był dosłownie nabity, nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Gdy tylko znaleźli się w gabinecie zabiegowym, Jerry wyjął tkwiący w drzwiach klucz i przełożył go do otworu od wewnątrz pomieszczenia. Zamknął za sobą i przekręcił zamek.

Lekarz, zdziwiony i zaniepokojony tym dźwiękiem, odwrócił się gwałtownie i w tym samym momencie coś jakby wbiło mu się w szyję. Nie zdążył nawet dostrzec, co to było, gdy bez czucia dosłownie zwałił się na podłogę.

# Ulica Grunwaldzka

– Jedziemy do zetemesu? – upewnił się Eliaz.

Kmita pokręcił przecząco głową. Siedzieli już w samochodzie, odjeżdżając spod warsztatu jako ostatni. Sawicka ostatecznie miała się pojawić na komendzie po świętach, bo usilne próby uporządkowania przekazywanych przez nią informacji nie wniosły niczego, co mogłoby pomóc w jednoznacznym zaklasyfikowaniu sprawy śmierci jej męża. Kmita rozmyślał nad tym, co powiedział mu Cichocki: lekkie, by nie rzec niefrasobliwe, potraktowanie okoliczności śmierci mechanika rzeczywiście nie bardzo pasowało do sposobu zachowania Śliwińskiego w każdej innej sytuacji, w której mieli okazję się spotkać.

– Za wcześniej – odparł. – Dajmy mu jakąś godzinę, w tym czasie trochę pogrzebiemy w temacie działalności Sawickiego. – Wskazał na trzymane przez Eliasza odręczne rejestry napraw zabrane z warsztatu. – No i spróbuję skontaktować się z Jerzym. – Mówiąc to, Kmita nie wyglądał na pewnego sukcesu. – Niepojęte... – westchnął. – To przecież niemożliwe, żeby nie słyszeć dźwięku bębniącej od kilku godzin komórki. Chyba nie mieszka, do cholery, sam! – zirytował się.

– Spokojnie, panie komisarzu, tylko spokojnie – mitygował Eliaz, włączając się ostrożnie do ruchu i kierując w stronę komendy. – Może od kadrowej odbierze? – Mrugnął łobuzersko. Kmita popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. – Może jego zwolnienie to pic na wodę i trzeba będzie je sprawdzić.

– W sensie, że...?

– Chotowski to leser i kombinator. Już raz wpadł, gdy był na zwolnieniu i widziano go na mieście, choć miał wpisane, że pacjent musi leżeć – wyjaśnił Eliaz. – Tłumaczył się, że do apteki szedł. Do apteki, owszem, ale dlaczego na drugim końcu miasta? – Sierżant się roześmiał. – Kiedy indziej twierdził, że musi wziąć wolne w planowanym terminie, choćby nie wiem co, bo wyjeżdża na jakieś egzotyczne all inclusive, a potem chłopcy z narkotykowego trafili na niego przypadkowo podczas akcji. Robili nalot na jakąś rudere, nagle im Chotowski wyskakuje z odznaką. Wyjaśniał, że kogoś szukał. Podobno w sprawie dzieciaka, córki znaczy, że niby wcześniej było jakieś zaginięcie czy coś... – zastanowił się. – Ale temat szybko wyciszono, nic więcej nie wiem. Sprawa zresztą sprzed dobrych dziesięciu lat.

Kmita pokręcił głową z dezaprobatą.

– Eliaz, ty masz jeszcze czas na normalną pracę czy tylko po maglach biegasz?

– Oj tam, panie komisarzu... Ludzie gadają, słyszy się to i owo. To co, dzwonić do kadr, żeby Chotowskiemu trochę ciśnienie podnieśli?

– Zajmij się swoją robotą – nakazał Kmita. – I skończ z tym „panem komisarzem”!

– A jak mam mówić? – Eliaz wbił w Kmitę zdziwione spojrzenie.

– Tak jak ja do ciebie. Na „ty”.

- No co też pan, panie komisarzu! Przez gardło by mi takie coś nie przeszło - przyznał sierżant z rozbijającą szczerością. - Kwestia szacunku, co nie?

## Ulica Zyty, szpital

Doktor Ulewicz się ocknął, gdy poczuł potworny ból: miał wrażenie, że przed chwilą ktoś wylał mu na plecy coś gorącego. Siedział na podłodze, na środku gabinetu, z szeroko rozłożonymi nogami. Chciał krzyknąć, ale wepchnięty mu niemal w gardło knebel utrudniał oddychanie. Dopiero gdy otworzył oczy, zorientował się, że ma na głowie plastikowy worek. Na skrępowane czymś ręce, ciasno przylegające do pleców, sączyło się coś lepkiego i ciepłego. Z przerażeniem zrozumiał, że to krew. Jego krew, prawdopodobnie powoli wypływająca z miejsca, które pierwotnie uznał za oparzone.

– Cześć, doktorku – wycedził stojący nad nim mężczyzna. Ten sam, który wyciągnął go z dyżurki. – Jakbyś mnie nie pamiętał, co nie jest wcale takie oczywiste, w końcu nie pierwszy raz się spotykamy, to jestem Jerry – przedstawił się i z galanterią ukłonił. – Nie ma to jednak specjalnego znaczenia, bo i tak nikomu o tym spotkaniu nie opowiesz, ale... No powiedzmy, że kultura tego wymaga. – Choć jego głos tłumił worek, to i tak Ulewicz słyszał go wyraźnie. Za to obraz rozmazywał się we mgle jego własnego oddechu, ponieważ wewnątrz folii powoli pokrywało się parą. – Ale nie o mnie tu chodzi – wyjaśnił. – Tylko o Małgorzatę. Ją akurat pamiętać powinienesz bardzo dobrze.

Ulewicz z przerażeniem pokręcił przecząco głową.

– A może rana na plecach przywróci ci pamięć? Dwanaście lat to nie tak długo, na pewno ją sobie przypomnisz. – Mężczyzna ukucnął przed nim. – Będziesz miał dość czasu. Czasu na umieranie, tak jak ona. Rana nie krwawi mocno, pewnie chwilę to zajmie, ale nie przejmuj się, skutek będzie gwarantowany – dodał i sięgnął do przewieszzonej przez ramię torby. Wyjął z niej coś, co przez zamglony filtr zroszonej folii wyglądało jak strzykawka. – Oddychaj powoli i nie tak głęboko, bo zaraz stracisz przytomność – pouczył Ulewicza. – A mnie nie o to chodzi. Masz być tylko osłabiony, bo chcę, żebyś jak najdłużej zachował świadomość, rozumiesz? – Jego głos nie wyrażał żadnych emocji. Nie było w nim wściekłości, agresji, niczego, co mogłoby wskazywać na jego stan. Były od niego chłód i opanowanie, jakby wykonywał zadanie. Za to oddech lekarza był coraz szybszy i płytszy. – Worek zresztą zaraz zdejmę, bo mam tu coś specjalnego. Nie muszę tłumaczyć ci działania heparyny, prawda? – Ulewicz gwałtownie pokręcił przecząco głową i próbował wydobyć z zakneblowanych ust krzyk. Bezskutecznie. – Lekarz ze skazą krwotoczną... Paskudny zbieg okoliczności – dodał Jerry współczująco i wbił w lewe udo lekarza igłę, a potem powoli wpuścił zawartość strzykawki. – Mam ogromną nadzieję, że ostatnią rzeczą, o której pomyślisz, będzie to, co jej zrobiłeś.

Gdy osłabione i wykrwawiające się ciało lekarza zwiotczało i całkiem osunęło się na podłogę, Jerry wstał. Wiedział, że Ulewicz próbuje na niego patrzeć, ale coraz bardziej zaparowany worek rozmywał wyraz jego twarzy. Może nawet starał się coś powiedzieć, wykonać jakiś ruch, jednak brak tlenu odebrał mu resztkę sił. Teraz dumny pan ordynator wyglądał jak groteskowa, niema kukła, którą ktoś niedbale rzucił, bo w kolejnej scenie nie

będzie już potrzebna. Po chwili nie ruszał się już wcale, a jego oddech był tak słaby, że nie unosił nawet klatki piersiowej, jedynie kolejne słabe wydechy malowały się na wnętrzu folii powoli skraplającą się parą. Rana na plecach wciąż krwawiła, o czym świadczyła powiększająca się na podłodze ciemnoczerwona kałuża, wyraźnie odcinająca się od szarych płytek. Uspokojony tym widokiem Jerry najpierw ostrożnie zdjął z głowy lekarza worek, starannie go rozprostował i położył obok, a następnie przekreślił termoregulator kaloryfera na pozycję „zero”. Dla pewności uchylił okno, zakładając, że niska temperatura dodatkowo nie dopuści do przedwczesnego krzepnięcia krwi. Schował strzykawkę z powrotem do swojej listonoszki i podszedł do drzwi. Chwilę nasłuchiwał, a potem wyjął z papierowej torby starannie zwinięty biały fartuch i sporą plastikową reklamówkę. Zdjął kurtkę i wpakował ją do reklamówki razem z czapką i rękawiczkami, nałożył fartuch i powoli wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi i włożył do zamka klucz.

Dobrze znał układ szpitala: poszczególne oddziały, wiodące do nich schody, windy, a nawet długie piwniczne korytarze. Bez problemu mógłby przemieszczać się nimi nawet w zupełnej ciemności. Tak jak powiedział Dobieckiemu, inaczej wszystko wygląda, gdy ma się dostęp do potrzebnych informacji. Plan budynku, wielokrotnie analizowany i odpowiednio oznaczony, wręcz wyrył mu się w pamięci.

Niezauważony, dostał się do wejścia od strony ulicy Wazów. W jednej z mijanych tuż przy wyjściu toalet zdjął fartuch i nałożył kurtkę. Przechodząc obok portierni przez niewielki wiatrołap, znów miał mocno naciśniętą na głowę czapkę i wysoko podniesiony kołnierz.

Gdy dotarł do zaparkowanego pod szpitalem samochodu, wrzucił do bagażnika torbę i wyjął niewielki pakunek. Zerknął na zegarek, odpalił w telefonie jedną z aplikacji i odetchnął ze spokojem. Zamknął auto, a potem skierował się w stronę ulicy Podgórznej. Miał bezpieczny zapas czasu, nie musiał się spieszyć. Po drodze wstąpił do jakiejś Żabki i kupi sobie kawę. Zaczynał odczuwać zmęczenie, a przecież nie był jeszcze nawet w połowie tego, co zaplanował z najdrobniejszymi szczegółami.



## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita i Eliasz nieco zziębnięci weszli do biura. Sierżant domyślnie wstawił wodę na kawę, a komisarz uruchomił swojego laptopa.

– Plan jest taki – zaczął Kmita. – Ustalisz na podstawie dokumentów tego mechanika listę jego aktualnych i byłych klientów. Najlepiej z okresu ostatniego półroczka. Ktoś, kto wszedł do warsztatu, dokładnie wiedział, jaki jest układ pomieszczeń, więc musiał być lub bywać tam wcześniej. Sawicki został, jeśli wierzyć wątpliwościom Cichockiego, zaatakowany. I zrobiono to nie w samym warsztacie, ale w tej niewielkiej pakamerce wciśniętej w kąt za podnośnikami, z progu warsztatu ledwie widocznej. Szczególnie interesuje mnie ten, którego auto miało być robione jeszcze dziś.

– Dlaczego? – Eliasz starannie nasypywał do kubków kawę. – Pan, jak zwykle, z dwóch łyżeczek? – upewnił się.

– Tak, tak, z dwóch – nieuważnie odparł Kmita. – Ważne jest, komu tak bardzo zależało na usłudze zrobionej jeszcze dziś, przed wyjazdem w trasę. To gwarantowało, że Sawicki będzie w tym czasie w warsztacie. Pomyślałbyś, że w normalnej sytuacji facet doginałby w Wigilię?

– No niby nie, ale sam pan wie, że pieniądze nie śmierdzą, zwłaszcza prywaciarzom. Tylko my, ideowcy, nie robimy tego dla forsy... – Sierżant uśmiechnął się gorzko. – A pan?

– Zadzwoń do Burszty i spróbuj kolejny raz dobić się do Chotowskiego – zdecydował Kmita. – I mam nadzieję, że to będzie ostatnie nieprzyjemne zadanie na ten dzień. Znaczący Burszta, a nie Jerzy – uściślił. – Bo chyba kolejnego ciała dziś już nie trafimy...

– Chyba że jakiś bezdomny nachleje się i zaśnie na wieki wieków amen. – Eliasza nie opuszczał dobry humor. Ponieważ woda w czajniku się zagotowała, zalał kawę i przestawił pełne po brzegi kubki na biurka. – Dobra, walniemy po kawce, ja się zabieram za papierologię, pan zda relację Burszcie, a potem konkretnie zjebie Chotowskiego, ode mnie też. Facet ewidentnie przegina.

Zanim komisarz zdążył wybić numer do Burszty, na ekranie jego smartfona pokazał się numer oficera dyżurnego.

– Kmita, słucham – odezwał się nieco zdziwionym tonem.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Paskudna sprawa... – zaczął tamten. – Mamy kolejnego denata. Znaczący w szpitalu mają, przy Zyty.

– Co macie?! – Kmita wstał zza biurka tak gwałtownie, że omal nie wylał postawionej na nim kawy. – W szpitalu macie denata?! To jakiś idiotyczny żart?

Eliasz wpatrywał się w niego pytającym wzrokiem, ale milczał.

– Nie, panie komisarzu – odparł dyżurny. – Mamy denata – powtórzył. – I pewny udział trzecich.

Kmita wypuścił ze świstem powietrze i już spokojniej zapytał:

- Coś bliżej?

- Zamordowany, i to ze szczególnym okrucieństwem. To lekarz ze szpitala. Jacek Ulewicz, ordynator urazówki.

- Co z nim?

- Nie wiem dokładnie, ale zgodnie z meldunkiem patrolu paskudnie to wygląda. Znalaziono go w gabinecie zabiegowym dosłownie w kałuży krwi. Miał skrępowane ręce, knebel w ustach i chyba wcześniej na głowie plastikową torbę. W każdym razie taka leżała obok niego, jeszcze mokra w środku. Prokurator od razu kazał wezwać kryminalnych. Czekają tam z ekipą techników i patologiem. Za ile pan będzie?

- Za kilkanaście minut. Gdzie dokładnie jest ten oddział?

## Ulica Braniborska

Ireneusz Błaszczak, emeryt z kilkuletnim stażem, wyszedł przed dom od strony podwórka. Obiecał żonie, że nałoży na rosnącą w kącie ogrodu niedużą jodłę kaukaską kilka sznurów lampek. Co prawda, oni nie będą jej widzieli, siedząc w domu po zapadnięciu zmroku, ale skoro wszyscy sąsiedzi tak się starali, to dlaczego u nich nie miałyby być równie ładnie?

Mocniej chwycił nieduże pudło z „ozdobami ogrodowymi”, w którym oprócz lampek znalazł sfatygowanego krasnala w stroju Mikołaja, renifera z ułamanym jednym rogami i kilka gigantycznych plastikowych bombek. Tyle fatygi tylko dla nich dwojga...

Jeszcze parę dni temu liczyli z żoną na przyjazd córki z rodziną, ale... Wyszło, jak wyszło, nie ma co roztrząsać. Znów pogadają przez Skypę'a, nacieszą oczy widokiem wnuka, a potem przez kilka dni każde z nich będzie udawało, że wcale nie płacze, nie tęskni, ot, tak widocznie być musiało. Może oni wreszcie odłożą trochę grosza i pojedą do tej Anglii, bo za chwilę może się okazać, że już za późno... Charakterystyczny ból w centralnej części brzucha, tuż pod mostkiem, nie pozostawiał zbyt wielu złudzeń.

Błaszczak z rezygnacją postawił pudło pod drzewkiem i rozejrział się bezradnie. Cholera, to było oczywiste, że jodła urośnie od zeszłego roku i nałożenie tych nieszczęsnych ozdób będzie wymagało większej ekwilibrystyki, a przede wszystkim drabiny.

Zmierzał do niedużej komórki po drugiej stronie ogrodu, gdy usłyszał, że ktoś go woła. Spojrzał w tamtym kierunku i uśmiechnął się niepewnie do mężczyzny stojącego przy furtce.

– Halo! To pan, panie Irku? No nie wierzę... – przywitał się niespodziewany gość.

– O matko kochana! Dzień dobry! – zawołał wreszcie kompletnie zaskoczony Błaszczak. – A co pan tutaj robi? – zapytał i z zaciekawieniem podszedł do furtki. – Zapraszam, zapraszam! – Chciał nacisnąć klamkę, ale mężczyzna powstrzymał go nieznacznym ruchem ręki.

– Nie, nie! – Cofnął się o krok. – Proszę sobie nie robić kłopotu. Idę do znajomego, tam, wyżej. – Podbródkiem wskazał kierunek w górę ulicy. – Nie miałem pojęcia, że pan tu mieszka, a w sumie dość często go odwiedzam. No tak... – Uśmiechnął się lekko. – Pewnie dlatego, że zawsze w pośpiechu, samochodem... Jak tam na emeryturze?

– Ano mieszkam tu, i to od ponad sześćdziesięciu lat – Błaszczak się roześmiał. – To dom po moich rodzicach – wyjaśnił. – Takie miejsce najlepsze na emeryturę, bo i w ogródku człowiek pokopie, i na leżaczku odpocznie. Miło mi, że pan mnie pamięta. Boże kochany, ile to już lat? – powiedział z radością. – Ale powiem panu, że w życiu bym się tu pana nie spodziewał – dodał, wyraźnie ucieszony ze spotkania, i zerknął na trzymaną przez gościa papierową torbę w charakterystyczne świąteczne wzory. – A to pewnie z prezentem pan idzie? – zainteresował się.

– Tak, znajomy ma dwóch chłopców, chyba będą w wieku pana wnuka... – Mężczyzna powiedział to jakby do siebie. – Do licha... – Podniósł na Błaszczaka wystraszone spojrzenie. –

Teraz nie wiem, czy dobrze trafiłem. A może pan zerknie? – dodał prosząco. – No, żebym się nie wygłupił. – Mrugnął porozumiewawczo i podszedł znów bliżej furtki.

– To pan nawet wie, że wnuka mam?! – Błaszczak był tym faktem wyraźnie uszczęśliwiony.

– A jakże, panie Irku, naprawdę sporo o panu wiem – odparł mężczyzna. – To jak, doradzi mi pan?

– Pan pokaże, sprawdzimy.

Przybysz uniósł w górę torbę, ale trzymał ją pod takim kątem, że Błaszczak musiał się mocno wychylić nad dość niskim ogrodzeniem, żeby dostrzec jej zawartość. Gdy jego głowa i tors znalazły się niemal po drugiej stronie płotu, stojący już bardzo blisko mężczyzna zrobił taki ruch, jakby chciał pięścią uderzyć Błaszczaka w pierś.

Ból był dziwnie ostry, wręcz przeszywający, przypominał kopnięcie prądem. Błaszczak spojrział zdziwiony w oczy mężczyzny i chciał krzyknąć, ale zabrakło mu tchu i dał radę jedynie wyszeptać:

– Coś ty zrobił...

– O, a więc już jesteśmy na „ty”? – zakpił mężczyzna. – Zatem kurtuazję możemy sobie w tej sytuacji darować... Jakby co, mów do mnie Jerry – przedstawił się. Uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, że to go wręcz bawi.

Przezornie tak przytrzymał osuwającego się Błaszczaka, że niemal uwiesił go na płocie. Pewnie z okien domu wyglądało to, jakby ten po coś sięgał. Nie mógł tu tak po prostu upaść, było na to za wcześnie.

– Masz teraz okazję poczuć to samo, co osoba, która czeka na pomoc. Zawsze tak strasznie długo czeka się na przyjazd pogotowia, bo każda minuta, ba, sekunda trwa wieczność – wyjaśnił. – W twoich piersiach trwa już krwotok, serce pracuje coraz wolniej, coraz słabiej... Za chwilę stracisz przytomność, a zanim ktokolwiek się zorientuje, co tak naprawdę się stało, będziesz... umierający – dokończył lekko.

– Ale... dlaczego? – jęknął Błaszczak. Błyskawicznie zrobił się błydy, nie był w stanie nabrać oddechu. – Ja przecież nic ci nie zrobiłem...

– Dwanaście lat temu, wiadukt na Zjednoczenia – przypomniał Jerry. – Gdybyś tylko nie zlekceważył słów tego chłopaka...

– Ja... – Błaszczak miał już mętny wzrok. – Ja nie chciałem... Nie wiedziałem... – Głos był ledwie słyszalny i to akurat ucieszyło gościa: wszystko przebiegnie bez krzyków, szarpaniny, będzie wyglądało jak przyjacielska rozmowa przez płot, jakby składali sobie świąteczne życzenia.

Jerry uśmiechnął się na myśl, że powszechna znieczulica była teraz jego sprzymierzeńcem, bo przez ten czas minęło ich co najmniej pięć osób, żadna nawet na nich nie spojrzała, a przejeżdżające ulicą w górę i w dół samochody były zaledwie mignięciem.

– Ja też tego nie chciałem – wycedził. – Zmusiliście mnie. Każdy z was...

Upewniwszy się, że Błaszczak jest już nieprzytomny, mężczyzna zerknął na okna domu, a potem, uspokojony, odszedł na pobliską stację paliw. Tam wsiadł do zaparkowanego poza zasięgiem kamer samochodu i spokojnie odjechał w kierunku centrum.

## Ulica Zyty, szpital

Gdy Kmita i Eliazsz dotarli na oddział, zaskoczył ich wciąż przemieszczający się korytarzem w obu kierunkach tłumek odwiedzających.

– Jeszcze tego brakowało... – jęknął Kmita. – Dlaczego nikt ich stąd nie przegonił? Naprawdę tak trudno zrozumieć, co to znaczy „zabezpieczyć miejsce zbrodni”?

– Zaraz się tym zajmę – odparł Eliazsz. – No i gdzie ten zabiegowy? – Bezradnie rozglądali się w poszukiwaniu odpowiedniego oznaczenia na drzwiach. Gdy weszli głębiej, w tłumie dostrzegli stojącego przed jednym z pomieszczeń mundurowego. – Dobra, już widzę. – Rozpiął kurtkę, wyjął swoją legitymację i machnął nią przed oczami policjanta. Tamten odsunął się od drzwi, ułatwiając Kmicie i Eliazszowi wejście do gabinetu.

– Dzień... – rzucił ogólnie Kmita, jakby obawiał się, że przymiotnik „dobry” może być akurat w tej sytuacji złym omenem. – Gdzie prokurator? – zapytał.

Wzrok mundurowego znacząco powędrował w głąb korytarza.

– A niby gdzie? Na miejscu. Robi zamęt w dyżurce lekarskiej.

– Rozumiem – westchnął komisarz. – Jacyś niepożądani świadkowie tu zaglądali, nie daj Boże? – Ruchem głowy wskazał na stojący niemal w przejściu biały parawan, w miarę skutecznie przesłaniający widok z wnętrza gabinetu zabiegowego.

– Nie, oddziałowa przytomnie zamknęła drzwi na klucz i otworzyła dopiero nam.

– I bardzo dobrze. Wywalić odwiedzających, oddział zablokować dla kolejnych, chcę tu wiedzieć tylko personel. Sierżant ci pomoże w razie czego, a zaraz potem zaczniemy przesłuchania – zarządził Kmita.

Mundurowy skierował się na korytarz i po chwili słyhać było jego polecenia natychmiastowego zakończenia wizyt i opuszczenia oddziału.

Komisarz wszedł do gabinetu i rozejrzał się, starając się ustalić najlepsze dla siebie i Eliasza miejsce podczas czynności techników z Cichockim na czele.

– Cześć, Klemens – rzucił w stronę patologa. – Możemy się już pokręcić?

Cichocki podniósł na niego wzrok i kiwnął na powitanie głową.

– Już w zasadzie można – odparł, nie przerywając swojej pracy. Kolejny raz okrążył leżące niemal na środku pokoju ciało i kucnął przy głowie denata.

Kmita podszedł bliżej zwłok. Nie zdążył im się jednak nawet przyjrzeć, gdy przy drzwiach zrobił się nieznaczny ruch. Eliazsz pospiesznie wyszedł na korytarz, a wtedy do gabinetu wkroczył prokurator. Rzucił w kierunku Kmity:

– Ponowne dzień dobry – i od razu stwierdził, wskazując na parawan: – Nadal ta fatalna prowizorka? Zróbcie to wreszcie, jak należy. I po co was tu tyłu?

– Znowu on? – półgłosem zdziwił się Kmita. – Myślałem, że tylko rano był taki gorliwy, a potem raczej zacznie się wysługiwać zastępcami...

- Też się zdziwiłem. Podobno ustawił alert, żeby wszystkie sprawy z końca roku kierować do niego. Wicków posłał na urlopy - również półgłosem poinformował go Cichocki. - Mierzyński, dyżurny - uściślił - mi mówił.

- Taki szlachetny czy nie do końca wierzy w ich predyspozycje i umiejętności? - zakpił Kmita, ale patolog nie zareagował, znów skupiając się na swojej pracy.

Komisarz po chwili namysłu podszedł do Śliwińskiego.

- Podły początek dnia - stwierdził.

- Dla niego szczególnie. - Prokurator wskazał leżące na posadzce zwłoki mężczyzny w lekarskim uniformie. - Czekamy, panie doktorze, na wstępne wnioski z oględzin - zwrócił się do patologa.

Cichocki nie zareagował i pracował dalej, jakby celowo przedłużając każdą czynność. Komisarz, wykorzystując ten moment, ponownie się rozejrzał.

Miejsce zbrodni - bo w tym wypadku nie można już było niczego domniemywać ani zakładać - wyglądało jak scena z taniego slashera. Ofiara leżała w kałuży własnej zastygniętej krwi z rękami skrępowanymi na plecach. Niespełna pół metra od ciała znajdował się plastikowy worek, sklejonny od wewnątrz wilgocią. Ulewicz wciąż miał otwarte oczy, jakby w milczeniu, uważnie przyglądał się poczynaniom zespołu techników i mundurowych.

Cichocki się upewnił, że jeden z techników wykonał zdjęcia w każdym możliwym ujęciu, i delikatnie wysunął z ust ofiary mokry kłęb tkaniny. Nie znalazł w jamie ustnej żadnych widocznych ciał obcych. Wstał, zdjął rękawiczki i podszedł do komisarza i prokuratora.

- Ze wstępnych oględzin - zaakcentował - można wywnioskować, że śmierć nastąpiła na skutek wykrwawienia. Możliwe, że najpierw była jakaś walka, bo ofiara ma na plecach sporą ranę po cięciu ostrym narzędziem i to z niej tak krwawiła. Można przyjąć, że mężczyzna został zaatakowany od tyłu, potem go skrępowano, zakneblowano i założono mu na głowę ten nieszczęsny worek. W każdym razie cięcie było przez ubranie. Postaram się to precyzyjniej odtworzyć, gdy denat znajdzie się u mnie na stole.

- Zawołajcie mi tu jeszcze tego mundurowego - nakazał komisarz. Gdy policjant z patrolu wrócił do gabinetu, zapytał go: - Kto znalazł denata?

- Ktoś z personelu, dokładnie salowa. Pewnie leżałby tam dłużej, może nawet i do jutra, ale ta salowa, to znaczy... - zajął do notatek - Jolanta Krawczyk, cofnęła się już praktycznie z przystanku, bo w zabiegowym, jak przynajmniej twierdziła, zostawiła telefon. Pielęgniarka potwierdziła jej słowa. Rano mieli jeszcze jakiś nieplanowany zabieg, nieźle napaskudzili, więc ta Krawczyk była ostatnią osobą, która tam dziś zaglądała. No, przynajmniej do momentu, aż ktoś się zajął doktorem Ulewiczem.

- A dlaczego dopiero po takim czasie salowa się zorientowała, że nie ma telefonu? - zapytał prokurator.

- Miała wypisany urlop na pół dniówki. Wyszła wcześniej, ale mimo to spóźniła się na autobus i chciała zadzwonić do córki, żeby ta po nią przyjechała.

- Która to była godzina? - Komisarz uznał, że to nie jest dobry moment, żeby prokurator wyręczał go w prowadzeniu śledztwa, i niemal wszedł mu w słowo, uniemożliwiając zadanie kolejnego pytania.

- O której znalazła doktora? - upewnił się policjant. Kmita skinął potakująco głową, więc tamten znów zerknął do swoich notatek. - Było po dwunastej. Tak mniej więcej. Ta Krawczyk mówi, że autobus miała o jedenastej czterdzieści pięć z przystanku na Chrobrego, tego bliżej szpitala. Założyłem jakieś piętnaście minut na dojsście, wie pan, kobieta jest tęga, pod sześćdziesiątkę, raczej nie biegła...

Śliwiński wbił w komisarza niechętnie spojrzenie.

- Gdy technicy skończą, proszę mnie zawołać - polecił. - Muszę zadzwonić - dodał tonem wyjaśnienia i skierował się do wyjścia.

Kmita potaknął mu ruchem głowy i, nie czekając, aż prokurator wyjdzie na korytarz, zwrócił się do patologa:

- Co z tą torbą? - Podbródkiem wskazał na zabezpieczony przez jednego z techników worek. - Rzeczywiście miał to na głowie?

- Zakładam, że tak, choć nie za bardzo wiem, po co - odparł Cichocki. - Knebel w zupełności wystarczył.

- Może chciał go dodatkowo przestraszyć? Przerażony człowiek oddycha szybciej, pewnie zabójca liczył na osłabienie z braku tlenu. Ulewicz przestał wierzcąć, więc zakończył temat. - Kmita starał się odtworzyć przebieg zdarzeń.

- Powtarzam: jaka była prawdziwa kolejność, powiem po autopsji - wyhamował go Cichocki. - Wpadnij do mnie za jakieś dwie godziny, powinienem się wyrobić.

- A co z mechanikiem z Grunwaldzkiej?

- Udało mi się jedynie ustalić, że przyczyną śmierci było przedawkowanie insuliny. Trzeba jeszcze się dowiedzieć, w jaki sposób zwiększona dawka dostała się do jego organizmu. Ale w porównaniu z tym - wskazał na ciało Ulewicza - chyba nie ma potrzeby aż tak się spieszyć.

- Okay, ty tam rządzisz. - Kmita uniósł w górę przedramiona w obronnym geście. - Kończycie?

- Ja swoje zrobiłem, teraz tylko prokurator musi zamknąć temat i dać sygnał do odjazdu. My za chwilę będziemy się zbierać. Rozejrzyj się, póki teren czysty. - Cichocki mrugnął szelmowsko i zaczął pakować swoje narzędzia do walizki. - Ktoś mi zorganizuje kawę? - zapytał stojącą niemal w drzwiach pielęgniarkę, która niezbyt dyskretnie usiłowała zajrzeć do środka.

Drgnęła, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku, i posłusznie kiwnęła głową.

- Zaraz przyniosę - powiedziała i zniknęła w głębi korytarza.

Kmita przywołał Eliasza i razem obejrzelі ciało, krążąc wokół niego jak satelity. Wyraz twarzy Ulewicza sprawiał wrażenie, jakby śmierć nie była dla niego bolesna - bez jakiegokolwiek grymasu, wytrzeszczonych oczu, mięśni zastygłych w niekontrolowanym spazmie.

- Nie ma rozbryzgów, krew płynęła po plecach wprost na podłogę. Brak śladów na meblach i sprzętach, ściany też są czyste... - wymieniał półgłosem komisarz. Odwrócił się w stronę drzwi. - Kłamka zrobiona?

- Wchodziły tu salowa i pielęgniarka, nie wiem, czy coś uda mi się wyodrębnić - odparł technik stojący najbliżej. - Wziąłem od nich odciski, bo dotykały też klucza. Kłamkę przy

oknie starannie wytarto. Kaloryfery są skręcone, ale termostat też bez śladów. Tu nie ma nic, panie komisarzu.

Kmita popatrzył na niego z namysłem.

- Trytytki też czyste? A ten worek?

- Może coś będzie na trytytkach, ale nie zakładam. - Technik się skrzywił. - Ciekawe, ile będziemy czekać na jaśnie pana prokuratora... - sapnął niecierpliwie.

Do pomieszczenia weszła pielęgniarka z gorącą kawą, którą z należytą atencją podała patologowi, a chwilę później w drzwiach stanął Śliwiński.

- Jak widzę, atmosfera sprzyja. - Spojrzał z przyganą na trzymaną przez Cichockiego filiżankę.

- Trzeba było nie wychodzić, też by się pan załapał - odciął się patolog. - Zimno tu jak w psiarni, palce mi zgrabiwały. Tak czy inaczej, robota skończona, czekamy tylko na pana.

- Pośpiech nie jest tu wskazany - odparł prokurator. - Wstępne spostrzeżenia, panie komisarzu? - zwrócił się do Kmity.

- Dziękuję, że pan pyta - powiedział z kpiącym uśmiechem komisarz. - Zaraz przesłuchamy tę Krawczyk, niech jak najszybciej jedzie do domu i cieszy się Wigilią - westchnął. - Przynajmniej ona...

Prokurator nieznacznie zmrużył powieki.

- Niech jedzie od razu. Widziałem ją na korytarzu, jest tak rozdygotana, że niewielki z niej będzie teraz pożytek. Zgłosi się na komendę po świętach - zdecydował. - Zbierajcie się - rzucił w kierunku Cichockiego. - Ja zaraz też jadę do siebie.

- Już? Tak po prostu? - zdziwił się Kmita. - Żadnych pytań po oględzinach miejsca zbrodni?

- A pana zdaniem dlaczego zdecydowałem, że sprawę przejmuje wydział kryminalny? - zapytał Śliwiński. - Uważa pan, że powinienem mieć jakieś wątpliwości? Denat jest przyklejony własną krwią do podłoża, z otwartą raną na plecach, kneblem w ustach, a obok leży torba, którą prawdopodobnie miał na głowie. Chce pan już teraz silić się na przypominanie mi o moich obowiązkach czy raczej zabierze się za przesłuchania personelu oddziału i poszukiwanie ewentualnych świadków?

- Jak pan uważa... - Komisarz wzruszył ramionami. - W takim razie nie zatrzymuję.

- Jeszcze jedno... - Śliwiński miał już wyjść z gabinetu, gdy nagle zatrzymał się niemal w pół kroku i spojrzał w stronę Kmity. - Komendant już został poinformowany o tym, co tu się wydarzyło. Dobrze by było, gdyby powiadomił pan również podinspektora Bursztę o aktualnej sytuacji. Wiem, że jest na urlopie, ale...

- Wiem doskonale, co mam robić - burknął komisarz.

- Zasugerowałem tylko.

- Zaraz zadzwonię, do ciężkiej cholery! - Kmita się zniecierpliwił i chyba niepotrzebnie podniósł głos. - Da mi pan pracować?!

Śliwiński bez słowa wyszedł na korytarz, a potem skierował się do schodów. Kmita mógłby przysiąc, że prokurator uśmiechał się kpiąco.



Godzinę później skończyło się przesłuchanie ostatniej pielęgniarki, która miała tego dnia dyżur. Kmita stwierdził, że w zasadzie zmarnował czas: nikt nie widział niczego szczególnego, na oddziale kręciło się mnóstwo odwiedzających, zarówno w pokojach, jak i na korytarzu. Ze względu na charakter dnia i związane z nim urlopy nie planowano żadnych zabiegów, przeprowadzono tylko ten, który wpadł niejako przypadkiem. Pozostały personel powoli szykował się do nieformalnej wigilii... Ulewicz po prostu w którymś momencie zniknął im z oczu, ale nie było w tym nic dziwnego czy zaskakującego: nigdy nikomu się nie opowiadał, dokąd idzie i na jak długo, ale zawsze można było ściągnąć go na oddział przez komórkę. A że takiej potrzeby akurat nie było, to...

Komisarz nerwowym ruchem zamknął swój notes i wyjrzał z pokoju lekarskiego na korytarz w poszukiwaniu Eliasza. Chwilę później sierżant zmierzał już w jego stronę.

- Na monitoringu nie widać nikogo, kto jakoś by się wyróżniał czy zwracał szczególną uwagę - zameldował. - Zwłaszcza dziś, kiedy przez szpital przetaczają się tłumy. Zresztą te kamery służą chyba tylko temu, żeby stwierdzić, po jakim czasie od naduszenia dzwonnka w poszczególnych salach pojawia się personel.

- Okay, ale wejście Ulewicza do pokoju zabiegowego zostało chyba uwiecznione? Byłoby zasadne wiedzieć, kto wchodzi, bo tam jest zwykle witryna z lekami.

- No właśnie nie... Drzwi do zabiegowego to martwy punkt - wyjaśnił Eliasz. - Widać uznali, że wystarczy dobry zamek w drzwiach.

Kmita westchnął z rezygnacją.

- No i wystarczył, jak widać na załączonym obrazku. Teraz to już naprawdę muszę zadzwonić do Burszty.

- To szanowny pan Śliwiński jeszcze mu uprzejmie nie doniósł?

- Z dwojga złego lepiej będzie, gdy ten pierdziel dowie się wszystkiego ode mnie, a nie z prokuratury. Jedziemy na komendę - zdecydował komisarz.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że Burszta nie odbiera. Odczekał kurtuazyjnie pięć wolnych sygnałów i potem szybko, już chyba po raz dziesiąty, wybił numer do Chotowskiego. Bez zmian: odgłos nieodbieranego połączenia zdawał się wwiercać w jego uszy, dodatkowo podnosząc już i tak wysokie ciśnienie.

- Chotowski, no odbierz wreszcie, do ciężkiej cholery! – wrzasnął.

Eliasz drgnął, ale nawet nie podniósł na przełożonego wzroku, wystukując coś mozolnie na klawiaturze i wpatrując się w monitor.

Zrezygowany Kmita wysłał do Chotowskiego wiadomość: „Jurek, mamy tu pożar w burdelu, oddzwoni jak najszybciej” i z irytacją rzucił telefon na biurko.

- Milczy? – zapytał cicho sierżant i natychmiast tego pożałował.

- A słyszałeś, żebyśmy zamienili choć słowo?! – warknął Kmita i przeszedł się nerwowo po pokoju, uderzając pięścią napotkane na swojej drodze sprzęty. – Juruś pieprzony!

- Ale co to panu da? Przecież i tak wiadomo, że Chotowski będzie na zwolnieniu...

- Eliasz, no pomyśl choć przez chwilę samodzielnie. – Kmita spojrzał na niego z przyganą.

- Aktualnie mamy drugiego trupa. I chyba nie trzeba być geniuszem, żeby wywnioskować, że to było morderstwo z premedytacją. Nie wydaje ci się, że przydałoby się nam jakieś wsparcie? Chcę wiedzieć, czy Chotowski posiedzi na zwolnieniu tylko kilka najbliższych dni, czy jego nieobecność przeciągnie się na tygodnie albo miesiące.

- A pytał pan w kadrach, na co w ogóle to zwolnienie?

- Eliasz, błagam, no...

- No tak, tak, jasne, RODO – szybko wycofał się sierżant. – Ale skoro jest chory, to przecież i tak teraz nie pomoże. Chyba... – dodał niepewnie.

- Nie oczekuję od Jurka, że będzie dogiwał po mieście z kropłówką, ale, do kurwy nędzy, chciałbym wiedzieć, czy to coś poważnego, bo może kilka godzin przy komputerze, żeby nas w kilku rzeczach odciążyć, nie byłoby najgorszym pomysłem?

- Ma pan rację... – przyznał Eliasz. – To... – zawahał się – ...co teraz?

Kmita popatrzył na niego z namysłem. Nabrał powietrza, żeby znów przypuścić atak, ale nagle wypuścił je ze świstem, a potem stwierdził z rezygnacją:

- Nie mam pojęcia... Na pewno muszę powiadomić Bursztę, który podobnie jak Jurek beztrąsko nie odbiera – mruknął, unikając wtajemniczenia Eliasza, że jest mu to nawet na rękę. – Zajęty taki...

- A Burszta nie jest przypadkiem na wyjeździe?

- Jest – potwierdził komisarz. – I to całe nasze szczęście, bo mamy go z głowy co najmniej do jutra. – Widząc zdziwioną minę Eliasza, wyjaśnił: – Od sekretarki wiem, że Burszta przysnął sobie na Wybrzeże i ma tam zostać do sylwestra. A pewnie wyjechał z rodziną, więc będzie

przecież musiał spędzić z nią Wigilię. Ewentualnie pozwolą mu wrócić do Zielonej najwcześniej jutro, a może nawet dopiero po świętach. Ja do tego czasu zdążę się przygotować – dodał Kmita, ale bez jakiegoś specjalnego przekonania.

– Przetrywamy – pocieszył go sierżant. – Swoją drogą to ciekawe, że facetowi jeszcze się chce do roboty łączyć. Ma swoje lata, mógłby już w domu wnuki bawić.

– Nie zwierzał mi się, więc nie wiem, czy ma w ogóle jakieś i czy chce je bawić – prychnął Kmita. – Zamiast Bursztą i jego wiekiem emerytalnym zajmij się teraz sprawdzaniem, co sprawiło, że pana doktora ktoś z wprawą rzeźnika wykrawawił.

# Ulica Moniuszki

Bezradnie przyglądał się wciąż chybotałej choince. Trzy razy przycinał pień, aby ten w rezultacie dosłownie utonął w uchwycie, którego średnica była już znacząco większa niż obwód jego najszerszego odcinka. Zmełł w ustach przekleństwo przede wszystkim ze względu na usadowionego w specjalnym foteliku półtorarocznego synka, pilnie i z niekłamanym zachwytem śledzącego dużymi niebieskimi oczami każdy ruch taty. Jeden plus, że malec niewiele jeszcze rozumiał, a starsze dzieci – siedmioletni Tymek i młodsza o dwa lata Kasia – byli u babci, czyli teściowej.

– No i jak? Stoi? – Do pokoju weszła żona. – Żeby chociaż przypiąć lampki... – Widząc postęp prac, jęknęła: – Jezu, ile będziesz się z tym mordował?

Popatrzył na nią ciężko i wrócił do obiektu swoich zmagania.

– Sam już nie wiem... Nie mogę tego ustabilizować. Może to ten stojak jest krzywy?

– Chyba ty! – Parsknęła śmiechem i wyszła. – Po czternastej mama przywiezie dzieciaki, więc lepiej, żeby choinka nie leżała! – krzyknęła już z kuchni.

Słysząc było, że coś jeszcze mamrocze pod nosem, z pewnością narzekając, że wszystko jest na jej głowie, ale on wiedział doskonale, że to tylko takie nic nieznaczące przekomarzania.

Westchnął ciężko i zerknął do swojej skrzynki z narzędziami. Na jej dnie dostrzegł kawałek jutowego płótna i gruby sznurek. Zrobił coś w rodzaju opaski, która pozwoliła mu dopasować pień i stojak na tyle, żeby choinka dała się choćby ubrać i nie upadła dopóty, dopóki nie zniknie spod niej ostatni upominek.

Gdy usłyszał dzwonek do drzwi, z przerażenia niemal stęzał. Boże, to chyba nie teściowa?! Z paniką zerknął na zegarek: o co najmniej godzinę za wcześnie! Wściekły podszedł do drzwi i nerwowym ruchem otworzył je na oścież. Zanim jednak zdołał wyrzucić z siebie uzasadnioną pretensję, zorientował się, że na korytarzu stoi jakiś obcy mężczyzna. Miał wysoko podniesiony kołnierz kurtki i nasuniętą głęboko na oczy czapkę.

– Dzień dobry – przywitał się niespodziewany gość i skinął głową. – Pan Piotr Gliwa? – zapytał.

– Tak, dzień dobry – odparł odruchowo, bo nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Widział tego człowieka z pewnością pierwszy raz w życiu. – Słucham?

– Mam coś dla pana... – odparł mężczyzna. Gliwie się zdawało, że wzrok mężczyzny powędrował do wnętrza mieszkania, jakby ten chciał się zorientować, czy gospodarz jest w domu aktualnie sam.

– Dla mnie?

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita z napięciem wpatrywał się w swój smartfon. Po dwóch ponownych próbach nawiązania połączenia z podinspektorem i dwukrotnym ich odrzuceniu dostał wiadomość, że rozmówca do niego oddzwoni. Teraz przynajmniej było wiadomo, że telefon Burszty jest włączony, a sam podinspektor ma go pod ręką.

- Co? - Eliasz uśmiechnął się domyślnie. - Z wielkim trudem znajdzie dla pana minutkę?

- Nie wiem, czy z trudem. Jakby co, będzie ślad, że usiłowałem się z nim skontaktować.

Kmita ponownie przemilczał fakt, że nie będzie naciskał, bo rozmowa z Bursztą nadal nie jest na pierwszym miejscu jego długiej listy świątecznych życzeń. Niestety, kilka minut później smartfon wybrzmiał melodyjką przychodzącego połączenia, a na ekranie pojawiło się nazwisko przełożonego. Odebrał z widocznym ociąganiem.

- Burszta - sucho przedstawił się podinspektor.

*Wiem przecież, pomyślał Kmita z irytacją.*

- Dzień dobry, panie podinspektorze. Dziękuję, że pan oddzwania - powiedział. W słuchawce rozbrzmiewały dźwięki jakiejś muzyki, która w sposób oczywisty kojarzyła się ze świętami, a przez którą przebijały się dalekie rozmowy. - Nie przeszkadzam? - zapytał komisarz na wszelki wypadek, nie chcąc zostać zbesztanym za zakłócanie domowego miru przełożonego. - Jest pan chyba w towarzystwie?

- Moment - usłyszał w odpowiedzi. Pochwili dźwięki ucichły, jakby Burszta wszedł do innego pomieszczenia. - Do rzeczy - sapnął podinspektor.

- Tak... - Komisarz nabrał powietrza i powoli je wypuścił. - Chciałem tylko poinformować, że mamy w Zielonej Górze dwa zgony z udziałem osób trzecich. Jeden z nich to z pewnością morderstwo z premedytacją, co do drugiego musi jeszcze się wypowiedzieć Cichocki. Tą pewną ofiarą zabójstwa jest lekarz z tutejszego szpitala, Jacek Ulewicz. Ktoś obszedł się z nim wyjątkowo paskudnie. Druga to mechanik z Grunwaldzkiej. Jeżeli to konieczne, prześlę panu mailem bieżącą dokumentację.

- Dlaczego w ogóle akurat pan do mnie z tym dzwoni, komisarzu? - W głosie Burszty było słychać zdziwienie, a już na pewno niezadowolenie. - Po co się pan za to zabiera, skoro miał pan przecież zaplanowany urlop po świętach? A co z Chotowskim? Dlaczego on nie prowadzi sprawy?

Komisarz przewrócił oczami: następny, który wolałby, żeby to nie Kmita angażował się w temat.

- Z Jurkiem? - upewnił się. Ponieważ w odpowiedzi usłyszał tylko nerwowe westchnienie, wyjaśnił szybko: - Jerzy jest na zwolnieniu lekarskim.

- Dlaczego nic mi o tym nie wiadomo?

Kmita dostrzegł, że Eliazs odebrał swój telefon i zasłaniając dłonią słuchawkę, wyszedł dokończyć rozmowę na korytarzu.

- Zwolnienie odczytano w systemie dopiero dziś rano. Z kadr dowiedziałem się tylko, że na pewno nie będzie go przez najbliższe dwa tygodnie, a co dalej, to nie bardzo wiem, bo Jurek nie odb...

- I pan go zastępuje? - Burszta bezceremonialnie mu przerwał. Niezadowolony w jego głosie ustąpiło miejsca wyraźnemu powątpiewaniu.

Kmita zagryzł usta. To było więcej niż pewne: naczelnik z jakiegoś, znanego tylko sobie, powodu ewidentnie go nie znosił. I ta niechęć była wręcz namacalna. Tylko on miał problemy z uzyskaniem urlopu. Jego notatki i sprawozdania były niemal każdorazowo odsyłane z kpiącymi adnotacjami, podającymi w wątpliwość kompetencje komisarza. Był sztorcowany jak gówniarz tuż po szkółce, nawet w obecności kolegów. Znosił to cierpliwie, bo naczelnik już kilka razy wspominał o emeryturze i zasłużonym odpoczynku, choć przeczyło temu jego zachowanie: Kmita kilkakrotnie został zaskoczony przez przełożonego w godzinach, kiedy komenda była już praktycznie pusta. Momentami miał nawet wrażenie, że tamten go kontroluje pod przykrywką rzekomo własnych, wymagających nadgodzin spraw. Pracus zaszary! Może gdyby częściej siedział w biurze, zamiast tłuc się między urzędem miasta, zetemesem i komendą wojewódzką w Gorzowie, też kończyłby pracę jak normalni ludzie, szedł do domu i nie zwracał innym dupy. Nierealne...

- A ma pan inną propozycję? - odpalił.

- Niech się pan nie ciska, komisarzu - wycedził Burszta. - To nie czas i miejsce na prywatne przepychanki - upomniął go. Kmicie przeszło przez głowę, żeby powiedzieć: „Też tak sądzę”, ale instynkt samozachowawczy skutecznie go od tego odwiódł. - Chciałem się tylko upewnić. Więc o co chodzi z tymi denatami?

Gdy komisarz zreferował mu ustalenia z obu zdarzeń, przełożony zapytał krótko:

- Kto pojechał na oględziny miejsc?

- No... ja, Eliazs, Cichocki z zespołem... - zaczął wymieniać zdziwiony tym pytaniem Kmita, ale Burszta szybko mu przerwał:

- Pytam o prokuratora.

- Gerard Śliwiński - odparł komisarz. - Nawet się zdziwiłem, że...

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Burszta znów nie dał mu skończyć, jednak tym razem w jego głosie wybrzmiała delikatna nutka zadowolenia. Kmita odetchnął, że w końcu coś naczelnika usatysfakcjonowało, ale po chwili usłyszał: - Przypilnuje was.

- Jeszcze coś, panie podinspektorze? - Komisarz stłumił sapnięcie.

- W jakim sensie?

- Pytam, czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania, bo chciałbym już zająć się tymi sprawami.

W odpowiedzi usłyszał jedynie, że Burszta się wyłączył.

Kmita nerwowo zacisnął powieki i odetchnął głęboko. Stary pierdziel... Wyjął z kieszeni papierosy i zapalniczkę, po czym skierował się do wyjścia z pokoju. W przejściu niemal zderzył się z wchodzącym do biura sierżantem.

- Zapali pan po drodze - rzucił Eliasz i sięgnął po swoją kurtkę. - Jedziemy.

- Ale co jest? - zdziwił się Kmita.

- Wracamy do szpitala. Miałem meldunek - wyjaśniał sierżant - że pogotowie przywiozło na SOR mężczyznę, lat siedemdziesiąt dwa, z uszkodzoną prawą komorą serca. Z miejsca odesłali go na chirurgię, właśnie trwa operacja.

- Z wypadku jakiś? - Kmita również odruchowo zaczął się ubierać. - Dlaczego to poszło do nas?

- Bo okazało się, że facetowi ktoś wbił w klatkę piersiową wielkiego gwoźdźca, ale takiego bez główki. Pręt przebił ubranie i wszedł mu idealnie między żebra. Prawie nie krwawił, więc żona myślała, że to zawał. Dopiero jak mu ratownicy rozpięli ubranie, zorientowali się, co tak naprawdę się stało.

- Skąd pewność, że sam na coś nie upadł?

- Nie, na nic nie upadł, zresztą żona twierdzi, że nie robił wtedy niczego, co wymagałoby takich gwoździ. Dziesięć centymetrów! Uznano to za próbę zabójstwa.

Wyszli z biura i zbiegli po schodach.

- Wiemy coś więcej? - zapytał Kmita, z rozmachem otwierając drzwi na zewnątrz.

- Póki co nic, ale posłałem do niej młodego Dworczyka z dzielnicy. Pewnie chwilę to zajmie, bo ci z pogotowia na miejscu trochę ją nafaszerowali lekami uspokajającymi. Dworczyk ma dzwonić do mnie zaraz, jak tylko czegoś się dowie o okolicznościach.

- Trzecia ofiara - sapnął komisarz. - W jeden dzień!

- Zakłada pan zbieg okoliczności czy celowe działanie, no, taki fragment większej całości?

- Skąd mam to wiedzieć?! - zirytował się Kmita. - Czekamy na informacje od techników, ponad połowa ludzi jest już od kilku dni na urlopie, a druga szykuje się do wigilii, nie mam żadnego wsparcia, Burszta tylko szuka okazji, żeby mnie uwalić, a ty zadajesz idiotyczne pytania! - Komisarz odetchnął kilka razy i dodał już spokojniejszym tonem: - Ale powiem ci jedno, Eliasz. Jeżeli to zbieg okoliczności, to wyjątkowo upiorny...

# Ulica Moniuszki

- Kto to był?

- Jakiś facet... - Żona dostrzegła, że Gliwa jest koszmarne błądy. Jego wystraszony wzrok wskazywał, że wizyta była nie tylko zaskakująca, ale i niepokojąca.

- Co się stało? - Podbiegła i objęła męża w pasie, bo wyglądał, jakby miał upaść. Podprowadziła go kilka kroków i pomogła mu usiąść. Szybkim krokiem udała się do kuchni, wróciła ze szklanką wody i podsunęła mu ją pod usta.

- Pij, bo mi tu zaraz zemdlejesz - nakazała. Gdy uspokoił oddech, zapytała: - No więc? Co cię tak przeraziło?

- Ten facet powiedział, że ma dla mnie przesyłkę.

- Przesyłkę? Dzisiaj? - zdziwiła się. - To jakiś kurier? - Rozejrzała się kontrolnie, ale w pobliżu nie dostrzegła niczego, co pojawiłoby się wraz z tą dziwną wizytą.

- To była wiadomość. Do przekazania... Powiedział, że ma nadzieję, że... okazałem się wart. - Mówiąc to, patrzył jej w oczy z autentycznym strachem.

- Piotr, o czym ty mówisz? Czego niby „wart”?

Nic nie odpowiedział, tylko wciąż patrzył, niemal nie mrugając. Zrozumiała.

- Co takiego?! To jakieś bzdury! Wydawało ci się - dodała, ale z mniejszym przekonaniem.

- Znasz go w ogóle?

- Nie. Mówiłem, widziałem go pierwszy raz w życiu, ale... myślę, że on... wiedział - upierał się Gliwa.

- Skąd? Skąd miałby to wiedzieć?! - Poczowała, że jej głos zawibrował niebezpiecznie wysoko. Wzięła kilka głębokich oddechów i powtórzyła, siłąc się na spokój i uśmiechając błado: - Wydawało ci się...

- Nie. Nie wydawało mi się. On wiedział, rozumiesz? Wiedział!

- Niemożliwe. Ojciec o wszystko zadbał, nikt nie wiedział, zresztą skąd?! Tutejsze prawo tam nie obowiązuje, nie ma cię w żadnym rejestrze. Kartotekę zakładali na mojego ojca...

- Ktoś się jednak dowiedział. - Nie ustępował. - Wiesz, że w Polsce to jest zabronione. Jeśli ta informacja się rozniesie...

- Nie martw się! - Chwyciła jego twarz w obie dłonie. - Słyszysz? - zapytała, patrząc mu w oczy. - O nic się nie martw. Ojciec nie żyje, on to wszystko organizował i na nim ślad się urywa.

- To była kradzież. - Nerwowo cofnął głowę. - Wiemy o tym oboje.

- Niczego nikomu nie ukradłeś... - zaprotestowała słabo.

- Mówię o tym, że mnie się udało, bo miałem wysoko postawionego teścia.

- To już nie ma znaczenia, naprawdę. Minęło tyle lat, jesteś bezpieczny. Wszystko będzie dobrze - powiedziała drżącym głosem i pocałowała go w czoło. - Wszystko będzie dobrze... -



dodała ciszej, jakby sama przestawała w to wierzyć.

## Ulica Zyty, szpital

Do siedzących na korytarzu pod blokiem operacyjnym Kmita i Eliasza podszedł chirurg. Zrezygnowany wyraz jego twarzy świadczył o tym, że walka o pacjenta była zażarta, ale bezskuteczna. Obaj policjanci energicznie wstali i przedstawili się lekarzowi, pokazując swoje dokumenty.

– Panowie, darujmy sobie. – Chirurg skwitował ich zapędy zmęczonym głosem. – Niestety, straciliśmy go. Z uwagi na uszkodzony mięsień sercowy dodatkowe obciążenie narkozą zawsze jest ryzykowne. Wiek i spore wyeksploatowanie organizmu też nie działały na korzyść. Przy okazji znaleźliśmy u niego solidnie otorbione węzły chłonne i na wpół zeżartą przez nowotwór trzustkę. Ktoś się niepotrzebnie spieszył. – Lekarz cmoknął z dezaprobatą. – Mężczyzna umarłby najpóźniej za kilka, może kilkanaście miesięcy. Tak czy inaczej, ten... nazwijmy go... pręt był wsunięty w jego klatkę piersiową z zadziwiającą precyzją.

– To chyba oczywiste. Przecież byli oddaleni od siebie może o pół metra, ciężko nie trafić. – W głosie Kmita słychać było zirykowanie. – Powie mi pan coś, czego nie wiem?

Lekarz spojrzął na komisarza z przyganą.

– To może spodoba się panu moja opinia, jako chirurga, że miejsce, w którym metal przebił serce, nie było przypadkowe. Myślę, że w innych okolicznościach, powiedzmy przy szybciej udzielonej pomocy, ten człowiek miałby szansę jeszcze żyć. No, oczywiście do momentu, aż nowotwór wszedłby w ostatnie stadium.

– A dokładniej?

– Ten, kto mu to zrobił, dokładnie wiedział, gdzie powinien wbić pręt: ani wyżej, ani niżej, bardziej w prawo czy w lewo... Uraz nie był śmiertelny w tym sensie, że nie zabił tego człowieka natychmiast. To miało trwać, a nie stać się od razu.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Kmita zdębiał. – Miał... czuć, że umiera? – zapytał z niedowierzaniem.

– Niewykluczone, ale sposób myślenia sprawcy to już zagadka dla pana. Ja mogę jedynie stwierdzić, że stan, w jakim przywieziono mężczyznę do szpitala, był krytyczny, ale nie agonalny. Wciąż żył, choć, jak się okazało, było to tylko kwestią czasu. Próbowaliśmy go ratować, ale nie jesteśmy cudotwórcami – oznajmił sucho. – Jak mówiłem, szansa była, ale wątpla. Może gdyby od razu trafił na stół...? – zastanowił się. – Coś jeszcze? – Spojrzął na nich zmęczonym wzrokiem.

– Dziękujemy, z naszej strony to wszystko. – Kmita skinął lekarzowi głową na pożegnanie, odwrócił się na pięcie i skierował w stronę wyjścia.

Sierżant po chwili zrównał z nim krok.

– Myśli pan, że to może mieć jakiś związek z Ulewiczem? – zapytał. – To już ewidentnie dwa morderstwa – dodał odrobinę za głośno i mijająca ich na schodach pielęgniarka spojrziała z zaciekawieniem.

- Zamknij się, do kurwy nędzy – syknął komisarz.

Wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę, ale zorientował się, że to nie najlepsze miejsce, żeby swobodnie zapalić. W milczeniu wyszli z budynku i dopiero wtedy Kmita dosłownie napompował się nikotynowymi spalinami. Odetchnął kilka razy głęboko i spojrzał na sierżanta.

- Przepraszam – powiedział, wypuszczając z ust kolejny kłęb dymu.

- Nie ma sprawy, panie komisarzu – odparł sierżant. – Przecież widzę, że jest nerwowo. Co teraz?

- Idziemy do zetemesu – zdecydował Kmita. – Może dowiemy się już czegoś więcej o poprzednich ofiarach.

## Ulica Zyty, Zakład Medycyny Sądowej

Budynek Zakładu Medycyny Sądowej znajdował się po drugiej stronie wąskiej, jednokierunkowej uliczki, w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala. Zanim przestąpili próg świątyni doktora Cichockiego, Eliasz powiedział cicho:

- Tak się teraz zastanawiam, czy nie mógł być to ktoś związany z medycyną?

- Dlaczego?

- Skoro wiedział, gdzie ten pręt wepchnąć...

- No nie do końca... Obaj doskonale wiemy, że są miejsca, gdzie uczy się ludzi zabijać profesjonalnie. Mierząc się z przeciwnikiem, dokładnie wiedzą, pomiędzy które żebra wbić nóż, żeby z całą pewnością nie trafić ostrzem na kość, po której może się ześliznąć albo od niej odbić. To samo mamy tutaj. Nie stawiam na człowieka biegłego w anatomii z punktu widzenia medycyny, tylko na specjalistę szkolonego w wyszukanim i skutecznym odbieraniu życia. Jeżeli to przypadek, zabójca miał sporo szczęścia, ale na taki traf bym nie liczył. Wyłączy telefon - przypomniał sierżantowi. - Bo Cichocki na dźwięk dzwonka wywali nas stąd na zбитy pysk.

Eliasz posłusznie wyjął telefon i go wyciszył, przezornie włączając wibracje. Kmita swój przełączył na tryb samolotowy. Tak przygotowani, pchnęli drzwi do pomieszczenia sekcyjnego i weszli do środka.

Cichocki zerknął w ich stronę znad jakichś zwłok i przerwał pracę.

- Wchodźcie, wchodźcie - zachęcił ich. - Załatwimy to szybko, bo z tego, co wiem, zaraz mi tu przywiozą kolejnego klienta...

Gdy już we trzech stanęli przy stole, na którym spoczywało ciało Ulewicza, Cichocki przeszedł do rzeczy:

- Nasz pan doktor, mężczyzna słusznej postury, na dodatek w miarę wysportowany. - Patolog odwinął przykrywające ciało prześcieradło. - Z takim normalnie nie poszłoby lekko. Dlatego ktoś sobie sprawę ułatwił. - Odchylił głowę denata i dzięki temu oczom zebranych ukazały się dwie nieduże, ale wyraźne plamki na karku, ukryte we włosach.

- Tutaj też ktoś użył tasera? - Kmita podniósł na patologa zdziwione spojrzenie. - Jak u mechanika?

- Tak. Niewykluczone, że tego samego, ale to już ustalą technicy. To na początek, chyba żeby pan doktor nie stawiał oporu. Na lewym udzie - Cichocki uniósł wyżej prześcieradło i wskazał niemal mikroskopijną plamkę jakieś piętnaście centymetrów powyżej kolana - jest ślad po wkłuciu. Badania toksykologiczne wykazały obecność heparyny. Poza sporym cięciem na lewym boku brak innych uszkodzeń czy urazów. Możemy założyć, że zasadniczą robotę zabójca wykonał, gdy jego ofiara była przytomna, w każdym razie na pewno nasz denat jeszcze żył, gdy zrobiono mu tę dużą ranę na plecach. Świadczy o tym mocne krwawienie, choć według mnie normalnie skutki tego cięcia nie byłyby śmiertelne. Pomogło jednak kilka czynników, jak na przykład wstrzyknięta heparyna. Ale i ona nie miałaby takiej mocy, tyle że

pechowy pan doktor miał skazę krwotoczną, o czym świadczą te drobne plamki wokół śladów po trytykach.

- Ja pierdołę... - Kmita nerwowym ruchem potarł czoło. - Ale się na niego zawziął... Czyli co, jednak się wykrwawił?

- Tak. Ale mam jeszcze jedną ciekawostkę...

Kmita westchnął ciężko.

- Dlaczego nie jestem zdziwiony?

Patolog odchylił ciało Ulewicza na prawy bok i zaprezentował zaszytą już ranę na plecach po lewej stronie. Komisarz i sierżant spojrzeli na niego pytająco, bo zrobił efektowną pauzę.

- To cięcie też nie jest przypadkowe - oznajmił wreszcie, nieco zniecierpliwiony niedomyślnością policjantów. - Stawiam na nefrektomię z dostępu lędźwiowego.

- Boże, Klemens, no naprawdę... - zniecierpliwził się Kmita.

- Operacja usunięcia nerki. Już na pierwszy rzut oka to - Cichocki wskazał ranę na plecach Ulewicza - idealnie pokrywa się z kształtem i wielkością przeciętnego cięcia podczas wspomnianej nefrektomii, czyli na przykład wyjęcia nerki z pacjenta leżącego na przeciwnym boku.

- To jakiś łowca organów?! - niemal krzyknął Elias, a Kmita zgromił go wzrokiem.

- Ostatecznie coś wycięto? - zapytał.

- Nie, właśnie niczego mu nie wycięto - uspokoił ich Cichocki. - Z medycznego punktu widzenia nawet samo cięcie nie ma żadnego uzasadnienia. Na pewno nie było na tyle głębokie, żeby dostać się do nerek, bo na dobrą sprawę w tych warunkach wyjęcie organu w kontekście ewentualnego przeszczepu, zwłaszcza od żyjącego dawcy, skończyłoby się absolutnym fiaskiem. To zajmuje więcej niż kilka minut, pacjent musi być w głębokiej narkozie, potrzebny jest spokój i skupienie, a nie nerwowe machanie skalpelem z obawą, że zaraz ktoś zacznie się dobijać do drzwi. To chyba coś w rodzaju... - Zawahał się. - Nie wiem... Symbolu? Napiętnowania? Może nad tym warto się zastanowić?

- Ja raczej się zastanawiam, jak ten ktoś, tuż po zabójstwie, wyszedł niezauważony przez oddział pełen ludzi?! - jęknął komisarz.

# Ulica Kupiecka

Siedząca na fotelu fryzjerskim Alina Niemczycka nerwowo spojrzała na zegarek. Jeśli pani Wiola się nie pośpieszy, ona na wigilię poda na wpuł surowego karpia, a o pierogach i sałatce śledziowej to już w ogóle może zapomnieć. Oczywiście miała świadomość, że fryzjer w takim dniu to niemal fanaberia, ale wiedziała również doskonale, że nie dało się inaczej. Przecież musiała, nie... chciała wyglądać dobrze. Poprzednie małżeństwo, a dokładniej rozwód, nauczyło ją jednego: pewność siebie może i pochodzi sobie z wnętrza, ale to wnętrze należy starannie opakować. Z drugim mężem już się pilnowała. Chodziła do fryzjera, kosmetyczki, a nawet zapisała się na zumbę, żeby ciało było wciąż kusząco jędrne. I na szczęście było, ale jakim kosztem i wysiłkiem wiedziała tylko ona. Zyskiwała jednak więcej: od kilku lat stała zawsze na pierwszym miejscu, jej potrzeby były najważniejsze, a zdanie ostateczne. Przeszłość stanowiła bolesną lekcję, z której szybko wyciągnęła wnioski.

- Kończymy? - zapytała ze słodkim uśmiechem, umiejętnie tłumiąc narastające zniecierpliwienie. - Pani pewnie też ma dziś grafik napięty?

- Ja? - upewniła się fryzjerka. - Pani Alinko, mnie się akurat nigdzie nie spieszy. Na wigilię idziemy do teściowej, a ja nie znoszę tego babsztyla, więc się specjalnie nie napinam. Jedyne, co potrafi, to krytykować i...

- Współczuję. - Niemczycka niezbyt elegancko przerwała jej wynurzenia. - Ja, niestety, mam całą wigilię na swojej głowie. Przyjedzie szwagrostwo z dziećmi, no i nas czwórka. Dlatego... - Znacząco zawiesiła głos.

- Jasne, jasne, rozumiem. - Wiola zgasiła uśmiech i może nieco energiczniej, niż powinna, odłożyła na ladę suszarkę i szczotkę. - Jeszcze tylko podczesemy... - poprawiła kilka razy grzebieniem niesforne kosmyki - lakier i może pani startować do kuchni - zakomunikowała, sztucznie się uśmiechając. - Chociaż szkoda. W tych kuchennych oparach uczesanie straci na wyglądzie. - Mówiąc to, chwyciła za pojemnik i obficie spryskała świeżą fryzurę obłokiem gryzącego w nozdrza lakieru.

Niemczycka wstała, ostatni raz zerknęła do lustra i wyjęła z torebki portfel. Zapłaciła należność kartą, a potem wsunęła do kieszeni fartucha fryzjerki dwadzieścia złotych.

- Wesołych świąt - powiedziała z uśmiechem i sięgnęła po swój płaszcz.

- Nie umawia się pani na następną wizytę? - Wiola zerknęła w kierunku leżącego na niedużej ladzie terminarza. - Bo ja mam już prawie komplet na sylwestra i...

- Zadzwoń, pani Wiolu, zadzwonię po świętach, bo ja naprawdę już... - wyhamowała ją Niemczycka i dosłownie wyprysnęła na ulicę, nawet nie zapiąwszy guzików płaszcza. Odkasznęła kilka razy, jakby chciała się pozbyć osiadłych w płucach cząsteczek lakieru, i mocno wciągnęła nosem zimne powietrze.

Samochód stał zaparkowany kilkanaście metrów dalej. Gdy tam podeszła, kolejny raz spojrzała na niego z nieskrywaną dumą. Mąż był co prawda drobnym, ale za to piekielnie

obrotnym przedsiębiorcą. Stać go było na prezent w postaci nowiutkiego, wprost z salonu, smoliście czarnego mitsubishi eclipse. Och, gdyby tylko zobaczył ją teraz ten, który dwanaście lat temu popełnił największy błąd w swoim życiu...

Niemczycka niedbale wrzuciła na tylne siedzenie ostatnią torbę z zakupami poczynionymi jeszcze w drodze do salonu pani Wioletki, a potem zatrzasnęła drzwi. Wsiadła do samochodu i zdjęła z kokpitu bilet parkingowy. Zmięta papierek i z zamiarem wsunięcia go do schowka pod klamkę wyciągnęła rękę w stronę wciąż otwartych drzwi.

Niespodziewanie pojawiła się w nich głowa jakiegoś mężczyzny.

– Jezu! – Aż podskoczyła. – Ale mnie pan wystraszył... – Mówiąc to, pokręciła z dezaprobatą głową. Chciała od razu zastrzec, że nie ma drobnych, ale wygląd mężczyzny nie wskazywał, że jest on w jakiegokolwiek potrzebie. Przystojny i dobrze ubrany, oceniła po babsku. – Słucham? – Złagodziła ton, a pytanie okraśliła uroczym uśmiechem.

– Przepraszam. – Nieznajomy również się uśmiechnął. – Nie chciałem. Ale zobaczyłem, że coś pani wypadło z kieszeni płaszcza w momencie wyjmowania kluczyków. Krzyknąłem, ale pani już wsiadła. Bałem się, że nie zdążę przed zatrzaśnięciem drzwi. Ale się udało – dodał z triumfem. – Proszę! – Wyciągnął w jej stronę zacisniętą w pięść dłoń w rękawicze.

– Upadło? – zdziwiła się. – Mnie coś upadło? – Odruchowo wyciągnęła przed siebie rękę i wtedy poczuła, że w jej zagłębienie wpadł jakiś przedmiot o dziwnym, lekko obłym kształcie. Zanim jednak dostrzegła, co to jest, nieznajomy mocno zacisnął jej dłoń, jakby obawiał się, że przez nieuwagę ona upuści cenną rzecz. Uśmiechnęła się niepewnie i próbowała rozprostować palce. Uścisk mężczyzny był jednak zbyt silny.

– Co pan... – Chciała dokończyć: „wyprawia”, ale w tym momencie zabrakło jej tchu.

Miała wrażenie, że świat dziwnie się zakołysał, a ona zanurza się w czarną maź. Płuca spowolniły, sprawiając, że jej oddech stawał się coraz płytszy i krótszy. Bezradnie otworzyła usta, ale wydobyło się z nich tylko chrapliwe westchnienie. Nieznajomy patrzył na nią beznamiętnie, jakby czekał na finał, którego ona nie była w stanie nawet przewidzieć. Gdy jego uścisk zelżał, zdołała nieznacznie rozprostować palce i wtedy zobaczyła, że trzyma w ręce... szary kamień.

– Wesołych świąt życzy Jerry – powiedział mężczyzna i ponownie zacisnął jej dłoń. – Przykre, że będą na ciebie czekali w domu, a ty utkniesz tu, aż ktoś cię zobaczy przez szybę. Może nawet dopiero jutro, bo teraz wszyscy są zajęci swoimi sprawami... – dodał z zaciekawieniem. – Wigilia, prawda? Czas miłości bliźniego... Szkoda, że zabrakło tej miłości dwanaście lat temu.

Po chwili oczy Niemczyckiej zaszyły mgłą, a gdy umęczone płuca nabierały ostatni wdech, mężczyzna ze spokojem zatrzasnął drzwi samochodu i skierował się w stronę deptaka.

## Ulica Zyty, Zakład Medycyny Sądowej

Ekran smartfona Eliasza się rozjaśnił, a sam aparat zawibrował, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. No tak, wyłączył go, gdy wchodzili do świątyni Cichockiego, który wręcz chronicznie nie znoślił, gdy podczas referowania wyników autopsji rozpraszał go dzwonek. Ku zdziwieniu sierżanta na ekranie kolejny raz tego dnia wyświetlił się numer oficera dyżurnego. Eliasz z narastającym napięciem pospiesznie wyszedł na zewnątrz budynku i dopiero tam odebrał połączenie. Zanim jednak zdążył się odezwać, załala go fala pełnych pretensji słów.

- Eliasz! No nareszcie! - Rozmówca tak krzyczał, że sierżant musiał wręcz odsunąć telefon od ucha. - Dlaczego komisarz Kmita nie odbiera?! Dzwonię bez przerwy od kilku minut! No co z wami?!

- Nie drzyj się - uspokoił go sierżant. - Komisarz rozmawia jeszcze z patologiem. Co jest?

- Ja pierdołę, Eliasz, mamy kolejnego trupa!

Pod sierżantem ugięły się kolana.

- Melduj!

\* \* \*

Kmita poczekał, aż Eliasz wyjdzie z budynku, i zakończył rozmowę z Cichockim. Potem sięgnął do kieszeni kurtki po prywatną komórkę, odszukał numer żony i po chwili namysłu nacisnął zieloną słuchawkę. Odebrała niemal natychmiast.

- To ja - powiedział, zanim ona zdążyła się odezwać. - Aniu, dwie sprawy - mówić z namysłem, starannie dobierając słowa. - Bardzo was przepraszam, ale jednak nie dotrę na wigilię.

- Aż tak źle? - Nie musiała zadawać żadnych pytań o szczegóły, bo sam fakt jego nieobecności w domu w tak wyjątkowym dniu wyrażał dostatecznie dużo. - Ale na noc... wrócisz?

- Postaram się. Najgorsze, że z planowanego wyjazdu jednak nic nie wyjdzie. Przeniesiemy go na ferie zimowe. Na razie nic chłopcom nie mów, sam z nimi pogadam.

- Przykro mi...

- Mnie tym bardziej - odparł z rezygnacją. - A druga sprawa: czy musisz jeszcze dziś wychodzić po coś z domu?

- Dlaczego pytasz? - zdziwiła się.

- Odpowiedz.

- Nie, nie muszę, mam już wszystko - odezwała się po chwili wahania. - Rysiek, co się dzieje?

- Powiem ci w domu. A do tej pory postarajcie się nie wychodzić i nikomu nie otwierać. Mam klucze, więc nawet nie będę pukał czy dzwonił. Rozumiesz? Obiecaj mi, że nie



wyściubicie nosów nawet na korytarz.

- Rysiek...

- Obiecuj mi! - krzyknął.

- Dobrze, obiecuję - odparła. - Uważaj na siebie - dodała cicho. A potem, zmieniając ton, zapewniła: - Największy kawałek karpia będzie dla ciebie. I postaram się uratować trochę uszek. - Domyślił się, że mówiąc to, żona próbuje się uśmiechnąć.

Kmita odwrócił się do ściany na wypadek, gdyby teraz ktoś pojawił się na korytarzu. Nie chciał być widziany z załzawionymi oczami, ciężko oddychający. Bezradnie uderzył kilka razy pięścią w mur.

- Kocham cię - powiedział niespodziewanie nawet dla samego siebie. - Bardzo chciałbym być już w domu.

- Wiem - szepnęła. - Za kilka godzin będziesz. Kocham cię - dodała z mocą. - Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Nieznacznie uspokojony, wyszedł na zewnątrz. W pierwszym odruchu chciał zapalić, ale w tym momencie jego wzrok padł na rozmawiającego przez telefon sierżanta. Eliasch chodził nerwowym krokiem w tę i z powrotem, przemierzając coraz mniejsze odcinki. Dostrzegłszy komisarza, wskazał na zaparkowany samochód i po chwili obaj szli w jego stronę.

- Co jest? - zapytał Kmita, gdy sierżant zakończył połączenie. - Jakieś nowe dane?

- Poniękad - enigmatycznie odparł Eliasch. - Jedziemy na Kupiecką, panie komisarzu. Tym razem to kobieta...

# Chynów

Seweryn Białek w poczuciu dobrze wykonanego zadania miał właśnie wjechać na podjazd przed domem. Z uśmiechem zadowolenia spokojnie czekał, aż brama się otworzy, a ponieważ trwało to zwykle chwilę, wrócił myślą do ostatnich godzin w pracy.

Linia produkcyjna będzie zamknięta do stycznia, ludzie na koniec zmiany dostali po kopercie z „karpowym”, a księgowia umiejętnie rozliczyła to w kosztach. Końcówka roku była, wbrew czarnym scenariuszom płynącym z mediów, przynajmniej dla jego branży całkiem przyzwoita. Tak samo albo przynajmniej podobnie przyzwoite były poprzednie lata, dzięki którym kupił większy dom, nabył lepszy samochód, zaliczał cykliczne wyjazdy w ukochane tropiki. Tak, los był dla niego łaskawy. Bardzo. Czasem się bał, że aż za bardzo. Że gdy to wszystko nagle się skończy, trudno będzie mu wrócić do czasów, gdy produkcję uruchamiał w wynajętej hali o powierzchni mniejszej niż jego obecny podjazd. Na szczęście zawsze miał łeb na karku i odpowiednich ludzi wokół, lojalnych jak psy. O to dbał najbardziej. Jak to kiedyś stwierdził jeden z wykładowców na zajęciach z zarządzania: jeżeli kiedykolwiek coś zawiedzie w pozornie doskonale funkcjonującym przedsiębiorstwie, zawsze to będzie czynnik ludzki. Mając to na uwadze, dopilnował, aby jego „czynniki ludzkie” nawet do głowy nie przyszło, żeby zawieść swojego pryncypała. Cena niesubordynacji byłaby zbyt wysoka...

Brama się otworzyła, więc wprawnie wjechał na wybrukowane podwórko i, nie oglądając się za siebie, wychylił do tyłu rękę z pilotem, żeby ją zamknąć. W lewym lusterku mignął mu jakiś cień, który bardzo szybko zniknął. Białek wyłączył silnik, ale zanim odpiął pas, usłyszał, że tylne drzwi auta się otwierają i ktoś siada na miejscu za jego fotelem. Nie zdążył się odwrócić, gdy stało się coś dziwnego. Miał wrażenie, że ten ktoś przyłożył mu do szyi coś gorącego, jakby przypalał go żarem papierosa.

Potem jego ciało dziwnie się wyprężyło i pochłonął go mrok.

# Ulica Kupiecka

Gdy Kmita i Eliasz dotarli na miejsce, ulica Kupiecka była już całkowicie zablokowana. Zjazdem z Podgórznej kierował policjant wyłącznie w stronę Wrocławskiej. Jeden z mundurowych, stojący na samym zakręcie i regulujący ruch pieszych, zerknął na rejestrację samochodu prowadzonego przez Eliasza i umożliwił im wjazd do strefy częściowo wyłączzonej poprzez oznaczenie charakterystyczną białą-czerwoną taśmą z napisem „POLICJA”. Sierżant zatrzymał auto niemal na środku jezdni, tuż za karetką pogotowia.

Wysiedli i trzymając przed sobą swoje legitymacje, od razu skierowali się do wydzielonej taśmą strefy.

– Kto ją znalazł? – zapytał Kmita, podchodząc do najbliższego stojącego policjanta.

– Właściciel zaparkowanego obok samochodu. Kobieta miała głowę opartą na oknie w bocznych drzwiach i otwarte oczy. Zaniepokoił się i zapukał w szybę. Ani drgnęła, więc pomyślał, że dostała zawału. Wezwał pogotowie, oni nas. Sądowy już jest, przyjechał razem z technikami.

– Dlaczego pogotowie uznało, że powinna o tym wiedzieć policja?

– Lekarz stwierdził zgon bez jednoznacznego wskazania przyczyny. Tak poza protokołem stawia na przedawkowanie jakiegoś narkotyku.

– Taak... – Kmita zerknął w stronę pracującego w skupieniu Cichockiego. – Są jakieś oznaki przemocy? A może to samobójczyni?

– Oznak przemocy brak, a w ogóle ta kobieta jakąś godzinę wcześniej wyszła od fryzjera. – Mundurowy głową wskazał na pobliski zakład fryzjerski. – Właścicielka salonu była w tłumie gapiów, gdy mężczyzna, który wezwał pogotowie, rozpytywał, czy ktoś zna ofiarę. Zajrzała do wozu i stwierdziła, że babka wcześniej siedziała u niej na fotelu. Więc...

– No tak... – westchnął Kmita. – Do trumny sobie raczej fryzury nie robiła, zatem cokolwiek zażyła, musiał jej to ktoś zaaplikować – mruknął. – Ruszaliście coś? – zapytał mundurowego.

– My nie, ale chyba lekarz z pogotowia narobił trochę bałaganu, usiłując ją zbadać.

– Dobra, wszystko jasne. Prokurator?

– Rozmawia z tą fryzjerką.

– Ale który to? – zniecierpliwził się komisarz.

– No ten... – Policjant zastanowił się przez moment. – Śliwiński?

– Czyli jednak...

– Nie rozumiem?

– Wszystko w porządku, dziękuję – uciał Kmita i skinął mu głową. – Rozpędźcie trochę tę gawiedź, bo za chwilę denatce do samochodu wsiądą – polecił. Gdy policjant odszedł, mruknął pod nosem: – Lekarz stawia na przedawkowanie... Panowie! – Kiwnął na techników. – Są jakieś

nietypowe dla tego miejsca ślady? No wiecie: resztki ampulek, może strzykawka z igłą? – wymieniał.

Pochylony nad ciałem technik wzruszył bezradnie ramionami i pokręcił przecząco głową. Podobny gest wykonali trzej inni, włącznie z fotografem.

– Kurwa, no... – jęknął Kmita i rozejrzał się za Eliaszem.

Sierżant stał po drugiej stronie ulicy z telefonem przy uchu. Podszedł do niego i odczekał, aż ten skończy rozmowę. Po chwili Eliaz się rozłączył i spojrział z obawą na komisarza.

– Zaczyna się robić nieprzyjemnie...

– A do tej pory było przyjemnie? – zapytał Kmita z rezygnacją. – No mów! – ponaglił wyraźnie ociągającego się sierżanta.

– Ten z przebitym sercem... No, ten, co zmarł na stole operacyjnym...

– Co z nim?

– To człowiek z firmy.

Kmita zmienił się na twarzy.

– Ktoś zamordował... policjanta?! – W ostatniej chwili ściszył głos. – Co ty pieprzysz, człowieku?! Rozumiesz, co to znaczy?

Eliasz pokiwał twierdząco głową.

– Bez emocji, panie komisarzu. Emerytowanego policjanta – uściślił. – Starszy sierżant Ireneusz Błaszczak. Pracował na drugim.

– Komisariat przy Szarych Szeregów?

Sierżant ponownie skinął potakująco.

– Ponad dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. I teraz ktoś go załatwił niemal na progu domu.

– Jak rozumiem, boleć wyjęty z jego klatki powędrował do laboratorium?

– Oczywiście.

– Zabili policjanta... – powiedział jakby do siebie Kmita, a potem zwrócił się do Eliasza: – Na kiedy będą wyniki badań?

– Czekam. Chłopaki wiedzą, że wszystko, co od nas, idzie na cito. Zgodnie z tym, co mówił Dworczyk, żona tego policjanta twierdzi, że to był ktoś, kogo jej mąż znał.

– Skąd ta pewność?

– Widziała, jak jakiś mężczyzna podszedł do furtki i zawołał Błaszczaka, który robił coś na podwórku przy domu. Ona też usłyszała, że ktoś męża woła, była wtedy w kuchni, a okna wychodzą na ulicę. Błaszczak stanął przy płocie, wyglądał na ucieszonego.

– Po plecach poznała? – prychnął Kmita.

– No nie... Ale wyraźnie przyspieszył kroku i wyciągnął rękę na powitanie. Pomyślała, że to jakiś sąsiad, więc wróciła do swoich zajęć. Gdy znowu spojrzała przez okno, mąż wyglądał, jakby próbował po coś sięgnąć za furtkę. Rozumie pan... Taki był, jakby... – Zastanowił się. – No, jakby przewieszony. Tkwił tak bez ruchu dość długo i wtedy się już wystraszyła. Otworzyła okno i go zawołała. Nie zareagował, zawołała jeszcze raz. A potem wybiegła z domu i... No, wezwała karetkę, oni nas.

– Monitoring?

- Kamery niby są na kilku pobliskich domach, ale to atrapy. Takie z mrugającą diodą można kupić w necie za grosze.

- Wiem - warknął Kmita. - A na domu Błaszczaków?

- U emerytów, na starym ponemieckim domku? Serio?

- Żona Błaszczaka jest w stanie zrobić portret pamięciowy?

- Nie. To było za daleko. Mówiła tylko, że ten ktoś był wysoki, ubrany w czarną kurtkę, miał podniesiony kołnierz, na głowie nisko nasuniętą czapkę, prawie na oczach.

- Jakies znaki szczególne? Okulary, broda, cokolwiek? - zapytał, ale sierżant tylko bezradnie pokręcił głową. - Czyli doskonały „pan nikt”... Okay, nie ma co bez sensu deliberować. - Otrząsnął się. - Zobaczmy, co powie nam jaśnie oświecony Śliwiński po oględzinach i ustaleniach Cichockiego. Potem jedziemy na komendę i szukamy powiązań. Cztery ofiary... To już na pewno nie jest kwestia przypadku.

# Chynów

- Dzień dobry - usłyszał Białek, po czym kilka razy zamrugał, przyzwyczajając wzrok do półmroku, przez który przebiegały się światła kokpitu. Wciąż był w samochodzie i zdziwił się, słysząc pracujący silnik: pamiętał przecież, że go wyłączył. Coś było nie tak, cholernie nie tak...

W popłochu chciał otworzyć drzwi, ale wtedy dotarło do niego, że obie dłonie ma przymocowane szerokimi czarnymi trytytkami do kierownicy. Co gorsza, chyba taka właśnie trytytka była opasana także wokół jego szyi i zagłówka. Z wysiłkiem zerknął w prawo, skąd dobiegło go to niespodziewane powitanie. Na fotelu obok siedział obcy mężczyzna. Patrzył na Białka z uwagą, jakby starał się przewidzieć każdy jego ruch. Białek wierzgnął i próbował coś powiedzieć, ale wepchnięta mu niemal w gardło nasączona czymś szmata była barierą nie do pokonania.

- Nie znamy się, prawda? - zapytał mężczyzna.

Białek, na tyle, na ile mógł, pokręcił przecząco głową.

- Tak ściślej, to... ty mnie nie znasz, choć ja trochę o tobie wiem - oznajmił mężczyzna. - Ale to niezbyt eleganckie, żeby się nie przedstawić, więc... przyjmijmy, że mam na imię Jerry. O, i teraz będzie nam się dużo przyjemniej rozmawiało - stwierdził, a potem rozsiadł się wygodniej i wbił wzrok w przednią szybę. - Dwanaście lat temu postawiłeś kogoś w dramatycznej sytuacji... Wiesz, o kim mowa?

Znów przeczący ruch głowy.

- Szkoda - powiedział Jerry i wyjął z kieszeni kurtki kilka monet. - Zobacz! - Podsunął Białkowi pod nos swoją dłoń, na której rozłożył bilon. - Żałośnie nieistotna kwota... Kto by pomyślał, że przez nią ktoś mógłby stracić życie? Na przykład ty. - Spojrzał Białkowi w oczy. - Wiesz, jak takie coś się nazywa? - zapytał. Białek wbił w niego przerażony wzrok. - Pozorna oszczędność. - Mówiąc to, mężczyzna się uśmiechnął.

Dopiero widok tego uśmiechu uświadomił Białkowi, że jest naprawdę źle. W jakiejś desperacji zaczął się kiwać na wszystkie strony i próbował wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

- Przeستاń... - Jerry dotknął jego ramienia uspokajającym gestem. - To nic nie da. Nikt ci nie pomoże... Obaj doskonale wiemy, że w pobliżu nikogo nie ma, bo od dwóch lat, a ściślej od rozwodu, mieszkasz w tym domu sam. Dwóch, prawda? - jakby się upewniał. - Odprawiłeś swoich „chłopców”, twoja najnowsza dupa ma się tu pojawić dopiero jutro, a potem razem planowaliście wylot na Dominikanę... - ciągnął. - Od sąsiadów się odseparowałeś wysokim płotem, brama wjazdowa to prawdziwe mury obronne, nawet zajrzeć tu trudno. Chcąc nie chcąc, ułatwiłeś mi robotę. To jak? - Wrócił do poprzedniego wątku. - Pamiętasz, kto dwanaście lat temu był zdany na twoją łaskę i niełaskę?

Białek poczuł, że z oczu płyną mu łzy. Jak ma sobie przypomnieć kogoś, z kim rozmawiał dwanaście lat temu?! Prowadzi biznes od ponad dwóch dekad, nie da rady nikomu nie zależeć za skórę. Zawsze jest takie ryzyko, na które starał się być przygotowany i dzięki temu wyprzedzał każdy krok swoich konkurentów. Boże, dlaczego odprawił „chłopców” już dzisiaj?! Ponieważ nie mógł krzyczeć, zaczął zawodzić. Przypominało to ciche murmurando, brzmiało w pewnym sensie wyciszająco, ale tak naprawdę Białek ze strachu był bliski obłędu.

– Trudno. – Jerry wzruszył ramionami. – Nie chciałbym jednak, żebyś umierał, nie wiedząc, za co zostałeś ukarany. Dwanaście lat temu zadzwoniła do ciebie pewna dziewczyna i powiedziała o zaistniałej pomyłce. Różnica na sztuce jakiegoś nieistotnego gówna była kroplą w morzu twoich zysków. Ale właśnie z jej powodu ta dziewczyna nigdy nie wróciła do domu. Jesteś współwinny jej śmierci, wiesz? Nie? – Zrobił zdziwioną minę na widok Białka rozpaczliwie kręcącego przecząco głową. – Groziłeś jej, straszylesz... – Jerry cmoknął z dezaprobatą. – Taki byłeś ważny, taki pewny, że bez problemu załatwisz krnąbrnego kontrahenta. Czy tak się prowadzi uczciwy biznes? No nie. Pewnie się zastanawiasz, skąd o tym wiem. Bo ta dziewczyna cię nagrała, każde słowo, gdy się darłeś do słuchawki, zamiast porozmawiać jak człowiek i znaleźć wyjście korzystne dla obu stron. No to jak, kojarzysz coś?

Białek gwałtownie pokiwał potakująco głową, naiwnie licząc, że mężczyzna go uwolni, jeżeli uda, że sobie przypomniał.

– Ach, czyli jednak? – Jerry pochylił się nad nim i powiedział cicho: – A może chcesz mnie oszukać? – Pokręcił głową z politowaniem. – Bo wydaje mi się, że to nie była jedyna taka sprawa w twojej... „karierze” – prychnął. – W takim razie porównajmy wersje: miała dwadzieścia sześć lat, a na imię Małgorzata. Nie chodziło o nic wielkiego, tylko o pieniądze... A teraz te pieniądze – znów podstawił Białkowi pod nos dłoń z monetami – będą twoją przepustką do piekła.

Jerry wysiadł z samochodu, coś chwilę robił z tyłu pojazdu. Białek mimo wysiłków nie mógł go dostrzec w żadnym z lusterek. Gdy tamten wrócił, trzymał w ręku końcówkę silikonowego węża, z którego wydobywały się spaliny. Białek wierzgnął i zaczął się niespokojnie kręcić na fotelu. Spróbował sięgnąć kciukiem do klaksonu, ale nie dał rady. Dłonie były umocowane na kierownicy w sposób uniemożliwiający dotknięcie jakiegokolwiek przycisku. Desperacko wyprężył całe ciało, ale trytytki przy nadgarstkach, zamiast się poluzować, tylko głębiej wbiły się w jego skórę. Spod gałgana wepchniętego do jego gardła wydobyło się coś, co można było uznać za bolesny, pełen przerażenia i desperacji ryk.

– A wiesz, że gdybyś kupił elektryka, musiałbym wszystko planować na nowo? – Jerry uśmiechnął się z pobażaniem. – Ale trzeba się z tobą zgodzić, że stary, dobry diesel ma jednak swoje niezaprzeczalne walory – dodał. – Na przykład takie... spaliny. Bo gdyby to był zwykły czad, wiesz, bezwonny, cichy zabójca, po prostu byś zasnął. Taki spokojny, bezbolesny odlot – tłumaczył jak dziecku. – Ale to byłoby zbyt proste. – Mocniej podciągnął węża i osadził go w taki sposób, żeby jego wylot był skierowany bezpośrednio na twarz Białka. – Trochę się pomęczysz, zanim zdechniesz. Bo jakoś nie zakładam, żeby pomoc przyszła w porę. Żeby przyszła w ogóle... – zakomunikował beznamiętnie, a potem wprawnym ciosem uderzył go w skroń, w ułamku sekundy pozbawiając przytomności. Gdy głowa Białka zwisła bezwładnie,

wyjął z jego ust knebel, włożył tam monety i na powrót wepchnął mokry gałgan. – Reszty nie trzeba, ty pazerny skurwysynu...



## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita z niechęcią spojrzął na stojący na jego biurku kubek z zimną kawą. Powinien wypić coś ciepłego, poza tym zaczynał odczuwać głód, ale to nie był dobry moment na rozczulanie się nad sobą.

Odtworzył w pamięci wszystkie uzyskane kilkadziesiąt minut temu informacje od techników i patologa, okraszone cierpkimi uwagami prokuratora. Jak zwykle: nikt nic nie wiedział, nie słyszał, a w ogóle to go tam nie było... Śliwiński zapowiedział wizytę w zetemesie, a to oznaczało, że Cichocki będzie musiał się sprężyć z wydaniem jednoznacznej i ostatecznej opinii o przyczynach śmierci znalezionej w samochodzie kobiety. Przy braku jakiegokolwiek substancji w ustach denatki i widocznych śladów po wkłuciu czy użyciu tasera można było z góry założyć, że przed patologiem stało konkretne wyzwanie. A oni w tej sytuacji mogli jedynie grzebać w danych, licząc na minimalny choćby trop, po którym dotrą do początku serii zbrodni i będą – być może – w stanie zapobiec kolejnym. Niestety, w to akurat Kmita wierzył najmniej.

– No dobra, dawaj – rzucił z rezygnacją w stronę wpatzonego w ekran Eliasza.

– Alina Niemczycka, lat czterdzieści sześć, mąż Andrzej Niemczycki. Mieszka z nimi dwójka jego dzieci z poprzedniego małżeństwa, matka dzieci jest obecnie za granicą – referował Elias, odczytując na przemian informacje ze swojego notatnika i ekranu komputera, na którym wyświetlona była wiadomość otrzymana od dzielnicowego. – Niemczycka była zameldowana w Zielonej Górze, na Rydza-Śmigłego. Nienotowana. Pracowała jako rejestratorka na jednym z oddziałów naszego szpitala, a wcześniej jako dyspozytorka w pogotowiu ratunkowym.

– Wcześniej? To znaczy ile lat temu?

Sierżant zerknął do swoich notatek.

– Jedenaście lat temu przegrała w sądzie pracy proces o bezpodstawne zwolnienie. Dostała dyscyplinarkę za niedopełnienie swoich obowiązków.

– Wiesz dokładnie, o co chodziło?

– W grudniu poprzedniego roku odmówiła przyjazdu karetki. Uznała, że wezwanie jest nieuzasadnione, bo do pijanego wystarczy radiowóz. Poszkodowana to dwudziestosześcioletnia Małgorzata Radecka, ofiara ciężkiego pobicia znaleziona na ulicy Dąbrowskiego, tuż pod wiaduktem alei Zjednoczenia. Przyjęta do szpitala, zmarła tego samego dnia. Pierwotnie Niemczyckiej, wcześniej Mazurek, postawiono zarzut nieudzielenia pomocy, ale skończyło się na utracie zaufania pracodawcy – ciągnął sierżant.

– A na jakim oddziale zmarła ta poszkodowana?

Znów zerknął.

– Na urazówce – przeczytał.

– A nie na OIOM-ie? – zdziwił się Kmita. – Po czymś takim powinna była wylądować pod aparaturą... Sprawdź mi jeszcze, na jakim oddziale pracował wtedy Ulewicz.

– Nasz pan doktor z autorskim wzorkiem na plecach? – upewnił się Elias. – Na urazówce – odparł po chwili. – Zresztą skoro teraz był ordynatorem tego oddziału, to chyba oczywiste. A pyta pan... bo?

– Jeszcze nie wiem... – Kmita w zamyśleniu odruchowo pocierał dłonią podbródek. – Dobra, dalej.

– Ireneusz Błaszczak, nasz emeryt. Jedenaście lat temu miał naganę z wpisem do akt. Ten z kolei odmówił wysłania radiowożu. Źle to wyglądało, bo dopiero przy powtórnym wezwaniu, już przez lekarza pogotowia, podjęli działania. To też sprawa z grudnia, dokładnie z Wigilii.

– Czekaj! – Kmita zawiesił się na moment, a po chwili wbił w sierżanta uważne spojrzenie. – Mamy powtarzający się czas: jedenaście lat temu dyspozytorka dostała dyscyplinarkę, a policjant naganę w związku z niedopełnieniem obowiązków służbowych... Ona zlekceważyła wezwanie pogotowia do ofiary pobicia, a policjant odmówił wysłania radiowożu... – zamilkł na moment, jakby najpierw chciał sobie te dwie sprawy połączyć w głowie i wyeliminować ewentualne nieścisłości – ...tam, gdzie znaleziono taką właśnie ofiarę? A zdarzenia miały miejsce kilka miesięcy wcześniej, w grudniu... Elias – wycelował palec w sierżanta – odgrzeb mi te dwie sprawy, ale ze szczegółami: co, kto, kiedy i dlaczego.

– Nie muszę. Sprawa Błaszczaka też dotyczyła Małgorzaty Radeckiej – odczytał Elias z triumfem.

Ponieważ Kmita przez jakiś czas milczał, sierżant zapytał:

– O co chodzi?

– Dwie osoby, ta sama sprawa... – Kmita w skupieniu przygryzał usta. – A jeżeli właśnie o nią tu chodzi?

– O jaką... „nią”? – zdziwił się Elias. – O tę Małgorzatę Radecką? – Gdy komisarz kiwnął potakująco głową, sierżant dodał: – Myśli pan, że pozostałe ofiary też miały związek z tym wypadkiem? Bo jeśli chodzi o Ulewicza, można założyć jakiś błąd w sztuce albo zwykłe niedopełnienie obowiązków. Ale co z Sawickim?

– Jego bierzemy pod uwagę jako ofiarę ewentualnie związaną ze sprawą Radeckiej – stwierdził Kmita. – Ale jeżeli będzie to dotyczyło tego samego zdarzenia, musimy wrzucić na bęben wszystko, co się stało tamtego dnia. Albo inaczej: ustalić, co dokładnie, godzina po godzinie, robił wtedy Sawicki i czy Ulewicz pełnił wówczas dyżur na oddziale. Należy też sprawdzić, czy Radecka miała jakąś rodzinę, a jeśli tak, zaraz tam pojedziesz porozmawiać!

– Rozumiem, że coś się panu zaczyna kleić?

– Mam nadzieję, że zaraz zacznie – odparł Kmita. – Bo w tym momencie mogę coś wreszcie założyć, choćby przyjmą hipotezę, że coś jednak tych ludzi łączy... Co jest? – Popatrzył na sierżanta wyczekująco. – Do roboty!

– Ale... teraz? – Sierżant się skrzywił. – Dziś się w tym grzebać? Słabo to widzę...

– Nie pamiętam – burknął Kmita.

– Czego?

– Żebyś pytał cię o opinię – odparł Kmita. Widząc zdziwione spojrzenie sierżanta, ponaglił go: – No?! Jazda!

– Ale panie komisarzu, no... – jęknął Eliaz. – Przecież Wigilia jest...

– Serio? Do tej pory jakoś niespecjalnie ci to przeszkadzało.

– O tej godzinie – Eliaz wskazał na zegarek – nie ma już z kim rozmawiać. Wszyscy, którzy mogliby nam w czymś pomóc, właśnie, jak Pan Bóg przykazał, prasują garnitury i szykują się do kolacji.

Kmita otworzył usta z zamiarem zrugania Eliasza, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, bo przyszedł mu do głowy inny pomysł.

– Dobrze – zgodził się. – W takim razie pošlesz ludzi z komisariatów pod adresy zameldowania odnalezionych ofiar. Mają natychmiast raportować, gdy tylko odkryją coś, co może mieć znaczenie dla śledztwa: zatargi, konflikty, awantury, długi i takie tam. Oczywiście chodzi o tematy sprzed dwunastu lat. Jak to załatwisz, dzwoń do Darka Zakrzewskiego. Chwila! – Kmita uniesieniem ręki uprzedził pytania Eliasza. – Zakrzewski jest samotny, mówił, że święta przecheleje albo prześpi. Dajmy chłopakowi szansę na lepsze spożytkowanie tego czasu. Niech wraca na komendę i odpala bębny, polecimy dwutorowo, bo tu już naprawdę nie ma czasu. Interesuje nas przede wszystkim Wigilia sprzed dwunastu lat, trzeba wyłuskać wszystko, ale dosłownie wszystko, co się tamtego dnia wydarzyło. Nawet jeśli było to włamanie do piwnicy albo przejście na czerwonym świetle. Rozumiesz? Jak mi znajdziesz adres tej Radeckiej, to jednak ja tam pojedę – postanowił. – Ty będziesz zbierał meldunki z terenu i ewentualnie wesprzesz Zakrzewskiego. Skoczę jeszcze tylko do kibla.

Gdy Eliaz posłusznie pokiwał twierdząco głową, Kmita sięgnął po papierosy i wyszedł z biura. Już po chwili, stojąc w otwartym oknie łazienki, zaciągał się dymem. Czuł dziwną ekscytację, jakby wreszcie, po długim błędzeniu w kompletnych ciemnościach, zobaczył niewielki, choć wciąż jeszcze niknący jasny punkt. Dwie ofiary połączyła ta sama sprawa. Jeśli uda im się dociec, co dokładnie działo się wówczas w życiu Ulewicza i Sawickiego, zyskają punkt zaczepienia. Kmita ostatni raz wciągnął do płuc haust papierosowego dymu i wypuścił go powoli, jakby z żalem. Zgaślił niedopałek i wyrzucił go do kosza. Pomyślał, że już raz to dziś zrobił, zaledwie kilka godzin temu. A wydawało się, jakby minęły wieki.

Wracając z toalety, dostrzegł stojącego na korytarzu Eliasza, jakby ten nie mógł doczekać się jego powrotu do biura. Sierżant podchwycił jego wzrok i w tym momencie przywołał go nerwowym gestem ręki. Wiedziony jakimś nieprzyjemnym przecuciem Kmita przyspieszył kroku.

– Zacznieś w końcu? – zapytał, gdy obaj znaleźli się z powrotem w biurze. – No?! – Kmita zirytował się milczeniem sierżanta. – Coś się w kwestii Radeckiej już wyjaśniło? Masz jej adres?

– Teren powiadomiony, z Darkiem gadałem i wysłałem mu maila. Tu mam adres Radeckiej. – Pokazał Kmicie skrawek papieru z wpisaną ulicą i numerem domu. – Tyle że... to musi poczekać.

– Bo?

– Mamy... – Eliaz się zawahał, ale szybko dokończył: – Mamy kolejnego denata.

Komisarz odetchnął głęboko, jakby w ten sposób usiłował nie poddać się emocjom.

- Kto teraz?

- Seweryn Białek, znaleziony martwy w swoim samochodzie zaparkowanym pod domem - powiedział Eliasz. - Jedziemy do Chynowa.

- A co tym razem? - zapytał Kmita. - Wyrwany język? A może skręcony kark? No bo tego jeszcze dziś nie było...

Eliasz patrzył na niego w milczeniu, gęsto mrugając.

- No mów!

- Samochód Białka miał cały czas włączony silnik i spaliny szły do wnętrza. Po niemal godzinie któryś z sąsiadów się wściekł na ten jednostajny, irytujący szum i poszedł z awanturą. Brama była otwarta, samochód stał przed garażem. Chłop się zorientował, w czym rzecz, bo chrysler wyglądał jak bańka wypełniona dymem. Próbował otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Straż już swoje zrobiła, teraz mundurowi czekają na nas i całą resztę.

- Samobójstwo?

- Z obiema rękami przypiętymi trytytkami do kierownicy i szyją unieruchomioną przy zagłówku? - Eliasz cmoknął z powątpiewaniem. - Niby możliwe, ale na to bym raczej nie stawiał... To co? Jedziemy?

Zrezygnowany Kmita kiwnął potakująco głową. Ten dzień zdawał się nie mieć końca.

- Jak rozumiem, Śliwiński powiadomiony?

- Śliwiński już tam jest.

- Jasne. Później zadzwonię do Burszty. Jestem więcej niż pewny, że dostanę konkretne zjeby, ale lepiej, żeby wiedział to ode mnie.

- To ja w takim razie dzwonię do Zakrzewskiego i podam mu kolejne nazwisko - stwierdził sierżant. - Ja pierdołę, no...

# Chynów

To był typowy, krzykliwy i ostentacyjny dom na osiedlu, o którym od kilku lat się mówiło, że to „strefa specjalna”. Taka zarezerwowana dla bogatych. Bardzo bogatych, do których należał właśnie Seweryn Białek.

Stojący na wybrukowanym granitową kostką podjeździe samochód miał otwarte wszystkie drzwi, a nad wciąż tkwiącymi w jego wnętrzu zwłokami pochylał się z jednej strony Cichocki, z drugiej – technik z aparatem fotograficznym.

– Można? – Kmita uniósł w górę dłoń, w których tkwił papieros i zapalnik, w taki sposób, aby technicy, do których kierował pytanie, wiedzieli, o co chodzi. Gdy jeden z nich kiwnął potakująco głową, komisarz od razu zapalił.

– Mamy coś? – zapytał z nadzieją komisarz. – Cokolwiek?

Stojący najbliżej technik pokręcił przecząco głową.

– Jak przy tych poprzednich: czysto. I w samochodzie, i na zewnątrz.

– Monitoring? – Kmita z nadzieją zerknął na wiszącą na elewacji budynku kamerę.

– Ktoś zrobił spięcie z tej pozycji. – Technik trzymany w rękę długopisem wskazał na skrzynkę z systemem alarmowym na bramie. – Kable ciągną się tam – jego ręka powędrowała wzdłuż ściany, w której była brama garażowa – a potem do centralki przy drzwiach wejściowych. Wszystko popalone. – Wzruszył ramionami.

– A w samochodzie?

– Panie komisarzu, mówiłem: nic tu nie ma!

– Ja coś mam! – krzyknął do Kmity patolog. – Podejź tu – nakazał. Gdy komisarz był już tuż obok niego, pomachał mu przed oczami woreczkiem strunowym. – Białek miał w ustach monety. – Lekarz zerknął w stronę denata, którego właśnie zabierali technicy. – Pewnie sam sobie ich tam nie włożył. Po sekcji stwierdzę, ile ich było łącznie, bo może część połknął. Niewykluczone, że kwota będzie miała jakieś znaczenie dla śledztwa.

– Monety? – Kmita wypuścił z płuc powietrze i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Powiem ci, Cichocki, że mnie już dziś chyba nic nie zdziwi...

– A to się dopiero okaże! – Patolog mrugnął porozumiewawczo. – Mamy tu złotówkę, pięćdziesiąt groszy, dwadzieścia i dziesięć. – Potrząsnął woreczkiem z monetami. – W sumie złoty osiemdziesiąt. Uwaga, nadciąga Gerard Wspaniały... – szepnął Cichocki i zerknął znacząco w kierunku zbliżającego się od strony ulicy prokuratora.

– I jak, panowie? Zabawa trwa? – zapytał Śliwiński z przyganą. – Weźmie się pan wreszcie do roboty czy mamy czekać na paraliż całego miasta? – Wycelował w Kmitę palec w oskarżycielskim geście.

– Byłoby dobrze uzyskać jakieś wsparcie, bo w obecnej sytuacji mogą liczyć co najwyżej na szklaną kulę... – odparł komisarz.

– Ale dobry humor, jak widzę, pana nie opuszcza, komisarzu. – Śliwiński nieprzyjemnie zwięził powieki. – Burszta jest pewnie zachwycony pana swobodnym podejściem do dzisiejszej rzezi?

– Zaraz tam „rzezi”... – słabo zaoponował sierżant, ale prokurator posłał mu takie spojrzenie, że szybko zamilkł.

– I co ma pan na myśli, mówiąc „wsparcie”? – zwrócił się Śliwiński do Kmita.

– Wydział dochodzeniowo-śledczy. Jak jeszcze kilka razy będę tak jeździł od trupa do trupa, nie pozostanie wiele czasu na inne działania – wyjaśnił komisarz.

– A z nimi już pan sobie poradzi? – Kpina w głosie prokuratora nie pozostawiała złudzeń: uważał Kmitę za idiotę i dyletanta. – Może jeszcze jakieś... życzenia?

– Wesołych świąt – odpalił komisarz, bezczelnie się uśmiechając. – Może być?

Śliwiński pokręcił z niedowierzaniem głową i odszedł w stronę samochodu Białka, a potem przywołał do siebie patologa.

Kmita z pewnego oddalenia przyglądał się sylwetce Śliwińskiego, a gdy powędrował wzrokiem na jego buty, coś do niego dotarło. Coś, co od rana nie pasowało mu w wyglądzie prokuratora, ale nie bardzo potrafił to sprecyzować. Kojarzył go jako człowieka nad wyraz starannie dbającego o wygląd, zawsze sprawiającego wrażenie, jakby dopiero co wyjęli go z pudełka. Wszyscy po cichu podśmiewywali się z jego garniturów i koszul chyba szytych na miarę, a do rangi legendy urosły komentarze na temat doskonale wypastowanych oryginalnych włoskich butów, w które zaopatrywał się podczas wakacyjnych wyjazdów. Dziś jednak nie miał na sobie płaszcza z wielbłądziej wełny i oślepiającego blaskiem obuwia, tylko był ubrany w czarną sportową kurtkę, czarne dżinsy i trapersy na grubej podeszwie, w sumie też zaskakująco czyste, chyba zupełnie nowe. Kmita popatrzył na swoje buty i skrzywił się nieznacznie. Jego wysłużone jowany wyglądały tak, jakby od kilku godzin dreptał w mieszaninie błota i śniegu, a na dodatek tuż nad podeszwami pojawił się osobliwy wzór naniesiony przez hojnie rozsypywaną na chodnikach sól.

Komisarz podszedł do prokuratora i razem z nim w milczeniu przyglądał się poczynaniom ekipy.

– Tak z ciekawości zapytam – odezwał się wreszcie Kmita i znacząco zerknął na stopy Śliwińskiego. – Jak pan to robi, że ma pan tak czyste buty? Zwłaszcza przy pracy w terenie...

Spojrzenie prokuratora najpierw powędrowało za jego wzrokiem, a potem przeniosło się na twarz Kmita.

– Nie włączę po prostu tam, gdzie mógłbym popsuć robotę technikom – odparł zmęczonym tonem.

– To podobnie jak ja – rozpromienił się Kmita. – A jednak... – wskazał na swoje obuwie – w moim przypadku to nie wystarcza, zawsze wyglądam jak rolnik po wiosennej podorywce. Jakies rady? Ochraniacze z flizeliny, foliówki z Biedronki? – wymieniał, okraszając każdą z opcji kpiącym uśmiechem.

Prokurator cmoknął z dezaprobatą.

– A możemy się zająć tematem naszego kolejnego denata? – syknął.

- Nie ma sprawy, pan tu rządzi. - Komisarz wzruszył ramionami. - Na razie nic na to nie wskazuje, ale i tak musimy sprawdzić, czy tych spraw coś nie łączy - mówił półgłosem, w skupieniu przyglądając się twarzy Białka.

- Łączy? - W głosie Śliwińskiego było niedowierzanie. - I to są pana wnioski? Ciekawe, bo ja to widzę zupełnie inaczej.

- Czyli?

- Inna część miasta, inny modus operandi, ofiary pochodzą z różnych środowisk, a nawet grup zawodowych. Jak pan chce to posklejać? - zapytał z udawanym zaciekawieniem. - Mechanik, lekarz, rejestratorka i teraz prywatny przedsiębiorca...

- Nie wydaje mi się, aby to była jakaś szczególna przeszkoda - ze spokojem stwierdził Kmita, celowo przemilczając swoje nieśmiałe hipotezy sprzed niespełna godziny. To nie był dobry moment na dzielenie się czymkolwiek, z prokuratorem Śliwińskim zwłaszcza.

- Przypominam, że nie pracuje pan na akord, komisarzu. - Ostatnie słowo prokurator wymówił z wyraźną wyższością. - Niech nie stara się pan na siłę kleić hipotez, z których trzeba się będzie za chwilę wycofać.

- Pozwoli pan, panie... prokuratorze - teraz Kmita dał upust swoim emocjom, wymawiając funkcję Śliwińskiego podobnym tonem - że ja zajmę się swoimi na siłę i w pośpiechu klejonymi hipotezami, a pan wstrzyma się z oceną ich zasadności do momentu, aż znajdziemy podejrzanego. A poza tym ofiar mamy więcej...

- Więcej? - Prokurator patrzył na niego z uwagą. - Co to znaczy: więcej?

- Jak rozumiem, jeszcze pan nic nie wie o kolejnej ofercie, czyli emerytowanym policjancie, Ireneuszu Błaszczaku? Zachęcam do pilnej wizyty w zetemesie. - Ruchem podbródka Kmita wskazał na rozmawiającego z technikami patologa. - W tej sytuacji chyba powinniśmy być szczególnie uważni i rozpatrywać najróżniejsze scenariusze. Przecież to ktoś od nas.

- Kto? - Twarz Śliwińskiego stężała na ułamek sekundy, co jednak nie umknęło Kmicie. - Zabójca?

- Chodziło mi o Błaszczaka, ale tego, że zabija ktoś „od nas” - mignął palcami - też nie wykluczam. Ofiary bez wątplenia łączy data zabójstwa, a to już dużo. Ustalenie reszty będzie kwestią czasu.

Śliwiński zagryzł usta, jakby powstrzymywał się, żeby nie powiedzieć za dużo. Skinął Kmicie i Eliaszowi głową i skierował się do swojego samochodu.

- Szef już wie o kolejnej ofercie? - zapytał jeszcze, na moment przystając i odwracając się w ich stronę.

- Burszta? - upewnił się komisarz. Gdy prokurator pokiwał twierdząco głową, Kmita odparł: - A jak pan sobie wyobraża?

Śliwiński wzruszył ramionami i odszedł w stronę stojącego nieopodal samochodu.

- Co z tą dochodzeniówką? - krzyknął za nim komisarz.

- Pomyślę - odparł Śliwiński, po czym szybko wsiadł do auta, włączył silnik i odjechał.

Dopiero wtedy do komisarza podeszedł Eliasz.

- A kiedy pan dzwonił do podinspektora? - zdziwił się.

- Znow nie odbiera, chyba złośliwie. Wysłałem mu SMS-a – wyjaśnił Kmita. – Jak uzna za stosowne, to się odezwie, nie będę kolejny raz bębnił bez sensu.



## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

– Jezu, jeszcze ta Radecka... – przypomniał sobie Kmita, gdy już wrócili do biura i z uczuciem nieuzasadnionej ulgi zasiedli za swoimi biurkami. – Może informacje o niej nieco nam sprawę rozjaśni? – Zerwał się i zaczął zakładać kurtkę, gdy Eliaz go powstrzymał.

– Nie ma takiej potrzeby, panie komisarzu! – Mówiąc to, wskazał na ekran swojego komputera, na którym wyświetlił otrzymane w międzyczasie wiadomości. – To od dzielnicowego – wyjaśnił, powoli odczytując przesłane informacje. – Był pod adresem jej ówczesnego zameldowania, ale lokal należy już do kogoś innego. Sąsiadka mówiła, że Małgorzata mieszkała tam tylko z matką, a ta, z dwunastoletnią wtedy córką, gdzieś się wyprowadziła i mieszkanie przez lata stało puste. Sprawdził to i okazało się, że Beata Radecka była tam wciąż zameldowana, ale zmarła niespełna dwa lata po córce. Ta sąsiadka twierdziła też, że nie było spadkobierców, a lokal był komunalny, więc po oczyszczeniu sprzedano go na licytacji.

– Nie rozumiem... Na Beacie Radeckiej ślad się kończy?

Sierżant kiwnął potakująco głową.

– Zupełnie nic?

– Nic.

– Nie ma takiej możliwości – stwierdził Kmita. – Przecież ktoś musiał ją gdzieś pochować. W takim razie trzeba będzie znaleźć miejsce pochówku matki i córki. Wtedy może dotrzemy do dokumentów i dowiemy się, kto dopełnił formalności i za wszystko zapłacił. – Odetchnął kilka razy i podszedł do swojego biurka. Usiadł ciężko i oparł głowę na rękę. – Darek znalazł coś o tym prywaciarzu? – zapytał sierżanta. – Mogę w ciemno obstawiać, że nic go z poprzednimi ofiarami nie łączy... – westchnął.

– O Białku? – upewnił się Eliaz i zerknął na ekran komputera. – Obawiam się, że ma pan rację. Facet od prawie dwudziestu lat prowadził firmę zajmującą się produkcją elementów z polipropylenu. Wie pan, to takie...

– Wiem, co to jest propylen i co można z niego zrobić – przerwał mu Kmita niecierpliwie. – Teraz interesuje mnie wyłącznie związek Białka z poprzednimi ofiarami albo jego brak.

– Chyba coś na jego temat mam. – Sierżant nie odrywał oczu od ekranu. – Facetowi wytoczono kilka spraw z powództwa cywilnego.

– To znaczy? – Kmita wyraźnie się ożywił.

– Zastraszanie, próba wymuszenia... – powoli odczytywał Eliaz. – Trochę tego jest, ale wszystkie umorzone, bo skarżący wycofywali zgłoszenia.

– A kogo dokładnie dotyczyły sprawy?

Sierżant bezradnie wzruszył ramionami.

– Panie komisarzu... To wychodzi nawet poza Lubuskie.

- A tu, znaczy w Zielonej Górze?

Eliasz znów skupił się na danych wyświetlonych na monitorze.

- Jest tu coś... - Nagle zatrzymał wzrok. - Białek jedenaście lat temu był świadkiem w sprawie swojego pracownika, który miał postępowanie za ciężkie pobicie.

- Zdaje się, że pan Białek nie pierdolił się w tańcu i dokładnie wiedział, że najlepszy i najbardziej produktywny dział windykacji to kilku osiłków - zakpił komisarz. - Ale tym samym pewnie zrobił sobie długą listę wrogów i być może właśnie jeden z nich go zamordował. No nic, pana Białka na razie odpuszczamy. Może coś wyjdzie później, jak Zakrzewski głębiej pokopie. - Kmita odwrócił głowę w stronę okna, jakby stamtąd miało do niego przypląć natchnienie. - Czekaj, czekaj... - Uniósł w górę dłoń. - Sprawa o pobicie sprzed jedenastu czy dwunastu lat?

- Dokładnie... - przeliczył Eliasz - dwunastu. Proces był rok później. I tak się uwinęli... - skomentował pod nosem.

- Jeszcze powiedz, że z dwudziestego czwartego grudnia? - Potaknięcie. - Czyżby przypadek połączył go jakoś z Małgorzatą Radecką, naszym policjantem emerytem i panią rejestratorką? - Kmita powiedział to jakby do siebie. - Bo jeżeli to nie przypadek, jak wytłumaczyć umieszczenie Białka na tej dziwnej liście?

- Ma pan jeszcze wątpliwości? - zdziwił się Eliasz.

- Każdy powinien mieć wątpliwości - zgasił go Kmita. - Na tym polega nasza praca. Zrobimy tak: ja pojedę do Cichockiego, a ty pomęcz trochę techników. Niech podeślą nam zdjęcia z miejsc zbrodni, zrobimy sobie tradycyjny kolaż. - Wskazał na wielką białą tablicę stojącą w rogu biura. Aha! - Jakby coś sobie przypomniał. - Póki co, nie dziel się z nikim tą naszą... hmm... hipotezą, okay? - polecił sierżantowi.

Przezornie nie dodał, że ma na myśli konkretną osobę, która nie powinna zbyt wcześnie się dowiedzieć, do jakich wniosków prowadzą Kmitę kolejne odkrycia. Jeszcze nie, to jeszcze nie był dobry moment.

# Ulica Towarowa

Choć dziś po mieście nieustannie krążyły patrole policji na sygnale i co jakiś czas przyłączała się do nich karetka pogotowia, to jednak Eryk Grzelak, szef pionu finansowego zielonogórskiego oddziału skandynawskiej firmy spedycyjnej, nie miał szczególnej sposobności, aby zastanowić się nad tego przyczyną. Orientował się zaledwie, że coś się działo, bo wyjące syreny w pewnym momencie stały się nawet dokuczliwe i irytujące, ale wszystko to było odległe i anonimowe. Może dlatego jakoś niespecjalnie się tym przejął? A może uznał, że przed świętami ludziom trochę odbija?

Znał uczucie tej gorączki. Wigilia, potem dwa dni świąt i, zanim się człowiek obejrzy, koniec roku. Ta idiotyczna presja, żeby wszystko pozamykać, przynajmniej w jego firmie była ogromna, ale przede wszystkim zbędna. W takim okresie wszyscy wszystkim patrzyli na ręce i każdy chciał się wykazać, licząc na zasną, tuściutką premię. To dlatego wyszedł dziś z pracy dopiero po piętnastej, żeby ze spokojnym sumieniem – chociaż w kwestii zawodowej – usiąść do wigilii. Nikt się nie będzie czepiał, że „Grzelak wcześniej zrobił sobie wolne”. Swoją działkę zamknął już kilka dni temu, ale po co się dekonspirować? Żeby na przyszłość dołożyli mu tylko roboty? Niedoczekanie! Umiał się dobrze maskować i zacierać ślady. Na spotkanie ze swoją ostatnią „zdobyczą” wykorzystał godzinkę w trakcie dnia, tłumacząc swoje pilne wyjście koniecznością domknięcia pewnej sprawy w banku. Zabawili się na tyle dobrze, że ona nie powinna mieć żalu o kilkudniową przerwę w spotkaniach, a z niego zeszło napięcie ostatnich dni, skutecznie, choć kompletnie bez sensu podsycane przez centralę w Gdańsku. Do pracy wrócił odprężony i usatysfakcjonowany, co prawdopodobnie przełoży się na w miarę spokojną atmosferę podczas świąt w domu.

Teraz z uśmiechem zadowolenia wysiadł z windy i wysłał kochance ostatniego sprośnego SMS-a, obiecując, co jej robi, gdy ponownie się spotkają. W drodze do samochodu postanowił jeszcze zerknąć na notowania GPW i w zasadzie mógł rozpocząć świętowanie.

Na wychodzącego z biurowca Grzelaka, wciąż trzymającego przed sobą smartfona, na którym wyświetlały się ostatnie doniesienia z giełdy, niespodziewanie wpadł z impetem jakiś mężczyzna. Na skutek zderzenia tamten upadł, a raczej jakby przyklęknął, łapiąc równowagę.

– O, przepraszam! – powiedział odruchowo Grzelak. Cholera, to gapienie się w ekran telefonu kiedyś naprawdę skończy się źle. – Rozumie pan, taki dzień, wszyscy jesteśmy trochę zakręcenii – dodał z uśmiechem. Wyciągnął rękę do zbierającego się z niejakiem trudem mężczyzny. – Proszę się oprzeć, pomogę panu wstać.

– Nie ma sprawy, naprawdę, nic się nie stało – odparł tamten i lewą ręką mocno chwycił jego dłoń, a potem nadszpedziewanie szybko wstał, prawą ręką robiąc dziwny wymach, jakby ponownie próbował złapać równowagę i uchronić się przed kolejnym upadkiem.

Grzelak przez ułamek sekundy miał wrażenie, że w okolice pachwiny wpadła mu kostka lodu, ale chwilę później niespodziewany chłód zamienił się w falę ciepła. Poczul się tak, jakby

właśnie w niekontrolowany sposób oddał mocz, bo ta ciepłota zaczęła płynąć po jego nodze. To było zarazem tak realne i irracjonalne, że aż się wzdrygnął i odruchowo puścił rękę mężczyzny.

- Co do licha... - Odchylił się, sięgając do kolan połę płaszcza i zerknął na nogawkę. Była czysta i sucha, ale gdy jego wzrok powędrował niżej, omal nie krzyknął. Po bucie spływała już szeroką strugą dość gęsta ciemna ciecz. Gdy przyjrzał się bardziej, zrozumiał, że to... jego własna krew. - No co jest?!

Mężczyzna spojrział na Grzelaka z mieszaniną politowania i satysfakcji.

- Trzy do siedmiu minut - powiedział pozornie bez związku. - To potrwa maksymalnie siedem minut, ale przecież jesteś cholernym farciarzem, więc pewnie mniej. Małgorzata umierała kilka godzin - dodał. - I ty miałeś w tym swój udział.

Zaskoczony całą sytuacją Grzelak chciał się cofnąć kilka kroków, ale nagle poczuł, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa, a w ustach pojawił się dziwny, jakby metaliczny posmak. Zakręciło mu się w głowie i upadł na plecy, głucho uderzając czaszką w pokryty mieszaniną piasku, soli i śniegu polbruk.

Mężczyzna się odsunął i bez emocji patrzył na swoją leżącą na środku chodnika ofiarę.

- Jezu, ktoś chyba zasłabł! Panie, co panu?! - krzyknęła nagle jakaś kobieta, a potem pochyliła się nad Grzelakiem i potrząsnęła go za ramię.

On sam usiłował krzyknąć, wołać o pomoc, ale siły opuszczały go w błyskawicznym tempie.

- Pomóżcie mi - wycharczał z trudem. - Pomóżcie mi...

- Niech pani da spokój, przecież to zwykły pijak - powiedział ze spokojem tamten mężczyzna i odciągnął zaniepokojoną kobietę. - Nic mu nie jest, jak zmarznie, to sam się podniesie.

- Jaki pijak? Co ty mówisz, człowieku?! - oburzyła się. - Pan nie widzi, jak on jest ubrany?! A poza tym to co, pijakowi już pomagać nie należy?! Ludzie! Pomocy! - zaczęła krzyczeć. - Pomocy! Niech ktoś wezwie pogotowie!

Oddech Grzelaka z każdą sekundą stawał się coraz płytszy. Nie zarejestrował, że wokół niego zrobiło się już całkiem spore zbiegowisko żywo komentujących zajście przechodniów. Dźwięki i obrazy traciły na wyrazistości, wszystko zaczęła otulać dziwna mgła. Po chwili jego serce nie miało już czego pompować i po prostu się zatrzymało.

# Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita wracał na komendę z nosem zwieszonym na kwintę. Nienawidził tego, a musiał czekać. Znowu!

Cichocki był w trakcie kolejnej sekcji i stwierdził, że na ten moment nie ma nic ciekawego do powiedzenia, a propozycję komisarza, że przecież może poczekać w biurze obok, skwitował wyniosłym milczeniem. Nie było wyjścia.

W drodze na komendę Kmita wstał jeszcze do mijanej kebabowni i kupił dwie porcje jakiegoś dziwnego czegoś, szczelnie owiniętego srebrną folią. Ale przede wszystkim czegoś, na co – jak twierdził ze zmałym akcentem pracownik – nie trzeba było długo czekać. Skrawki mięsa skąpane w warzywach i gęstym sosie pachniały przyzwoicie, nawet przez grubą warstwę aluminium. Tradycyjny wigilijny post szlag trafi, ale naprawdę powinni z Eliaszem coś wreszcie zjeść, bo powrót do domu na wieczerę nadal stał pod wielkim znakiem zapytania.

Po wejściu do biura Kmita włożył posilek pod warstwę izolacji, na którą składały się jego kurtka i wisząca od niepamiętnych czasów na drewnianym wieszaku firmowa bluza z polaru z ostentacyjnym napisem „POLICJA”. Nie lubił jej nakładać, czuł się wtedy jak napiętnowany, jakby wszyscy w promieniu kilkuset metrów powinni od razu starać się go omijać. Teraz wreszcie na coś się przyda.

W oczekiwaniu na powrót Eliasza zabrał się za wypełnianie dokumentacji związanej ze znalezieniem zwłok Sawickiego. Czekają go jeszcze sprawy Błaszczaka, Ulewicza, tej nieszczęsnej Niemczyckiej... A teraz jeszcze doszedł Białek. Grzebał się w tym sam, bo sierżant utknął w laboratorium, pewnie tradycyjnie pieprząc bez sensu, zamiast pogonić całe to towarzystwo do roboty. Kmita z ulgą podpisał ostatnią rubrykę pierwszej notatki i nieuważnie sięgnął po swojego smartfona z zamiarem nadania działaniom sierżanta należytego tempa. W tym samym momencie rozległ się dzwonek przychodzącego połączenia. Kmita, zdziwiony wyświetlonym na ekranie numerem, odebrał.

– Mierzyński, błagam, tylko mi nie mów, że... – zaczął bez specjalnego przekonania.

– Panie komisarzu, też wołałbym teraz oglądać koncert kolęd – odezwał się głos w słuchawce. – Na Towarowej pod biurowcem od strony ulicy leży martwy mężczyzna z przeciętą tętnicą udową – poinformował ze zmęczeniem. – Prokurator zaprasza.

– Wypadek? – z nadzieją zapytał Kmita.

– Nie dziś, panie komisarzu – odparł Mierzyński. – Nie dziś...

– Technicy i patolog?

– Już powiadomieni. Najpierw zresztą dzwoniłem do nich. Chyba się nawet nie zdążyli dobrze rozpakować po poprzednich ogłędzinach...

# Ulica Towarowa

Gdy Kmita dotarł na miejsce, technicy wespół z mundurowymi odseparowywali ciało kolejnej ofiary składanymi parawanami. Co bardziej żądni sensacji przechodnie usiłowali jednak zajrzeć, przystawali więc, robiąc dodatkowe zamieszanie. Mundurowi co jakiś czas przeganiali ciekawskich, by po chwili w ich miejsce pojawiali się następni.

– Co za ludzie, no naprawdę – stęknął sierżant. Już w drodze dał Kmicie znać, że zabierze się z technikami wyjeżdżającymi na miejsce zbrodni, skutkiem czego panowie spotkali się na parkingu, kilkadziesiąt metrów dalej niż migające światłami ambulans i radiowóz. – Skąd ich tyłu tu znalazło, skoro ulica jest na uboczu? Pewnie zobaczyli światła i szli jak ćmy do ognia. A wie pan, co mnie w tym wszystkim zawsze wkurwia najbardziej? – Ponieważ Kmita nie odpowiedział, ciągnął: – Że oni nagrywają te durne filmiki z ofiarami wypadków, a potem pokazują je sobie na rodzinnych spędach, pomiędzy sałatką jarzynową i galareta z różek. Atrakcja, kurwa ich mać... – Eliasz splunął z odrazą.

– Skup się – wystudził go Kmita. – I nie paskudź miejsca zbrodni – wysilił się na żart, bo dotarli do obszaru otoczonego taśmą. – Widzisz gdzie prokuratora? – Rozejrzał się wokół.

Eliasz pokręcił przecząco głową.

– Śliwiński siedzi w tamtym radiowozie – poinformował stojący obok mundurowy, pokazując ręką jeden z samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy.

Kmita podziękował mu skinieniem głowy i odszedł w kierunku parawanu. Eliasz podążał krok za nim. Cierpliwie czekali na moment, w którym technicy, a przede wszystkim Cichocki, pozwolą im podejść bliżej, i kilka minut później stali już przy zwłokach.

– Jedno precyzyjne cięcie – powiedział Cichocki, podbródkiem wskazując na denata. – Prawa tętnica udowa. Wykrwawił się błyskawicznie.

– Ślady walki?

– Nie zdążył. Może nawet się nie zorientował, co tak naprawdę się z nim stało. Gdy przyjechaliśmy, był już martwy, ale wciąż kurczowo trzymał uchwyt swojej aktówki. Zabieramy go, może na stole uda mi się ustalić coś więcej.

– Kto to w ogóle jest? – zapytał Kmita techników.

Leżący na chodniku mężczyzna wyglądał na dobrze sytuowanego – świadczył o tym elegancki płaszcz, spod którego wystawały ciemny garnitur, biała koszula i stylowy krawat. Wszystko to, razem z modnymi butami, skąpane było teraz w czerwono-brunatnej mazi stygnącej krwi. Ktoś zabił go niemal na oczach przechodniów. Nie zabrał mu teczki, nie wyrzucił kieszeni, na przegubie ofiary wciąż był stylowy zegarek. Znów chodziło tylko o jedno: śmierć na ulicy.

– Eryk Grzelak, pracował tu, na szóstym piętrze. – Inny mundurowy spojrzał znacząco na biurowiec, podając Kmicie portfel ofiary. – Są dokumenty, telefon, teczka była zamknięta.

Pewnie było za dużo świadków, żeby ktoś odważył się coś ukraść... Gdy dojechaliśmy, zastaliśmy już spore zbiegowisko.

– No właśnie, a co mówią świadkowie?

– To niezbyt uczęszczany trakt, więc i tak mamy kupę szczęścia, że w ogóle ktokolwiek tędy o tej godzinie, w Wigilię – zaznaczył – szedł. Jest tylko jeden świadek. Ona. – Policjant wskazał na zażywną, głośno komentującą całe zajście kobietę. – Twierdzi, że Grzelak nagle upadł, wyglądało to na zawał. Krzyczała, żeby mu pomóc, ale ktoś stwierdził, że to tylko pijak i żeby dała sobie spokój.

– Kto tak stwierdził?

– Mówi, że jakiś mężczyzna. Niestety zniknął, gdy zaczęło się zamieszanie.

– W porządku, dziękuję – powiedział Kmita i podszedł do kobiety.

– Komisarz Ryszard Kmita, Komenda Miejska Policji. – Machnął jej przed nosem legitymacją. – Podobno jakiś mężczyzna uznał, że ten leżący na chodniku to pijak, tak? – Energicznie potaknęła. – Potrafi go pani opisać?

– No... – zawahała się. – Wysoki był, miał czarną kurtkę, czapkę też czarną miał. Właściwie był cały na czarno. Pachniał ładnie... – dodała po namyśle. – W ogóle taki elegancki był.

– Znaki szczególnie? Wie pani... Okulary, broda, tatuaż? – wymieniał komisarz, jakoś niespecjalnie licząc na jakąkolwiek informację pomocną w śledztwie.

– Nie, nic takiego nie zauważyłam – stwierdziła, zgodnie zresztą z jego przypuszczeniami. – Boże, to takie straszne, w samą Wigilię... – jęknęła współczująco. – Jak tak można, no niech pan powie, jak można?

Kmita popatrzył na nią z uwagą, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Proszę jeszcze przez moment się nie oddalać, dobrze? – nakazał. – Zaraz do pani wrócę.

Odszedł kilka kroków, a potem bezceremonialnie wpakował się do radiowozu, w którym siedział prokurator Śliwiński i w skupieniu wypełniał jakieś dokumenty.

– Idź zapalić – polecił kierowcy komisarz. Gdy tamten spojrział na niego z wahaniem, Kmita dorzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu: – To nie prośba, tylko rozkaz. Wypierdaj.

Kierowca zerknął w lusterku na prokuratora, jakby liczył na dokładne dyspozycje. Prokurator nieznacznie przymknął powieki na znak, że teraz powinni w samochodzie zostać sami: Kmita i on. Kierowca posłusznie wysiadł i odszedł w stronę parawanów, a wtedy Śliwiński spojrział na komisarza z niechęcią.

– Pan się zapomina, panie komisarzu – skwitował jego zachowanie.

– Doprawdy? – Kmita poprawił się na siedzeniu, a potem zwrócił się twarzą w kierunku prokuratora. – Jestem już nieco zmęczony, więc zapytam wprost: dlaczego tylko pan jeździ dziś na oględziny?

– Słucham? – Głos Śliwińskiego był spokojny, ale jego brwi nieznacznie powędrowały do góry.

– Zastanawiam się po prostu, czy tak bardzo pan chce, aby wszystko było, jak należy, czy raczej... próbuje pan tak pokierować śledztwem, żeby ukryć dowody, bo kogoś pan osłania? – wypalił va banque.

Śliwiński nie odrywał od niego wzroku, ale nie odezwał się ani słowem.

- Pytałem, czy kogoś pan osłania. A innymi słowy: komu pan pomaga?

- Pan oszalał. - Ton prokuratora był wciąż zaskakująco spokojny. Za spokojny jak na kogoś, komu zarzuca się nadużycie w pełnionych obowiązkach.

- Obaj dobrze wiemy, że ten ciąg zbrodni nie jest przypadkowy. I że ofiary są ze sobą powiązane, choć na ten moment nie potrafię tego udowodnić.

- Tak, wiem, to pana hipoteza. Nie bardzo tylko rozumiem, dlaczego ja się w niej znalazłem.

- Sprawca albo sprawcy zafundowali nam sześć zabójstw. Na dodatek w samą Wigilię, co moim zdaniem ma tu niebagatelne znaczenie. Jak na jeden dzień to dość sporo, przyzna pan. - Prokurator milczał, więc Kmita ciągnął: - Żeby móc coś takiego zrobić, trzeba o swoich ofiarach wiedzieć wszystko. Gdzie pracują, jakie mają zwyczaje, plany... A przede wszystkim się orientować, co może łączyć właściciela warsztatu samochodowego i księgową w prywatnej firmie albo emerytowanego policjanta i rejestratorkę w przychodni. Zgodzi się pan ze mną?

- To nie jest kwestia zgadzania się lub nie - lekko rzucił Śliwiński i nieznacznie wzruszył ramionami. - Bo równie dobrze może być zupełnie inaczej. Ofiary są przypadkowe, sam pan przecież widzi, że nie ma tu żadnych punktów stycznych, ba, nie powiela się nawet modus operandi... Ale to pana zadanie, żeby sprawę wyjaśnić.

- Owszem, poza datą nie widać punktów stycznych, bo na miejscu zbrodni nie mamy się czego złapać - przyznał. - Żadnych świadków, śladów, nagrań z kamer, nie da się na niczym choćby poszłak oprzeć. Ja w każdym razie wychodzę z dziwnego założenia, że to ktoś, kto wie więcej niż zwykły oprych czy bardziej wysublimowany psychopata.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego usiłuje mnie pan w to włączyć. - Spokój Śliwińskiego był co najmniej irytujący.

- Żeby dopaść ofiarę, a tym bardziej sześć ofiar, i zamordować w przemyślny sposób, trzeba być dokładnie w wyznaczonym miejscu i o wyznaczonym czasie oraz wiedzieć o tych ludziach dosłownie wszystko, nawet to, że ktoś ma skazę krwotoczną... Potrzebny jest zatem dostęp do dokumentacji medycznej, geolokalizacja, podsłuchy... Mam wymieniać dalej? Takie rzeczy można uzyskać tylko na mocy nakazu, który sygnuje prokurator, prawda? A przynajmniej wie, jak to obejść, ba, od razu i bez męczących procedur przekazać zadanie odpowiednim służbom.

- Niech pan nie będzie śmieszny - prychnął Śliwiński. - Teraz byle haker jest w stanie pięć minut i z pozycji fotela w salonie, na dodatek z drugiego końca kraju zrobić to, z czym cały pana wydział zwykle grzebie się tygodniami - dodał z pogardą. - Sześć ofiar, a pan i pańscy ludzie stoicie w miejscu i bezradnie przebiegacie nogami. Szuka pan kozła ofiarnego, żeby ukryć własną indolencję? - Mówiąc to, sięgnął do klamki, żeby otworzyć drzwi i wysiąść, ale w tym momencie Kmita złapał go za ramię.

- Obaj wiemy, że mam rację. Te zabójstwa popełnia ktoś, kto ma nieograniczony dostęp do tego, czym dysponuje i na co ma bezpośredni wpływ prokuratura. Na co pan ma wpływ. Myślę się?

- Po czym pan to wnosi?

- Na pana stanowisku każdy inny zrobiłby wszystko, żeby w Wigilię darować sobie wycieczki na miejsce zbrodni. A pan, mimo dwóch zastępców do dyspozycji, wszędzie pojawia



się osobiście. Naprawdę nie wolałby pan teraz siedzieć z rodziną i bliskimi przy wigilijnym stole? Ja nie mam wyboru, ale pan?

– Powiem to jeszcze raz: pan się zapomina, panie komisarzu – wycedził Śliwiński. – Wypełniam swoje obowiązki i panu radzę to samo. Skoro podinspektor Burszta powierzył panu tę sprawę czy sprawy, to znaczy, że ma do pana zaufanie.

– Zacznijmy od tego, że Burszta niczego mi nie powierzył, tylko zostałem „obdarowany” ze względu na nieobecność Chotowskiego. A podinspektor robi teraz wszystko, żebym się na tych sprawach przejechał – odparł Kmita. – Nie rozumiem, dlaczego nie mogę dostać wsparcia z Gorzowa. Albo choćby kilku mundurowych ze Świebodzina i Sulechowa. Dlaczego nie chce mi pan pomóc?

– I to pana zdaniem przesądza o tym, że Burszta szuka na pana haka? – Śliwiński uśmiechnął się z politowaniem. – Tak czy inaczej, pana zadaniem jest to zakończyć, zanim ofiar przybędzie, a moim dopilnować, żeby wszystko było lege artis. Ma pan co do tego jakieś wątpliwości?

– Nie. – Kmita wypuścił powietrze nosem, tłumiąc wściekłość. – Ale skoro już tak szczerze sobie rozmawiamy, to czuję się w obowiązku uprzedzić pana lojalnie, że nikt nie stoi ponad prawem. Rozumie pan? Nikt. Nawet... prokurator – dorzucił prowokacyjnie.

Śliwiński wychylił się z radiowozu i przywołał kierowcę. Zanim jednak mundurowy usiadł za kierownicą, Kmita w akcie jakiejś desperacji rzucił:

– Kim była Małgorzata Radecka?

– Kto? – Prokurator cofnął się w głąb radiowozu, a po chwili odwrócił w stronę komisarza i popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Małgorzata Radecka. Ofiara ciężkiego pobicia, która zmarła po przewiezieniu do szpitala – wyjaśnił Kmita. – Sprawa sprzed dwunastu lat.

– Bardzo możliwe – przyznał Śliwiński. – Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie pan o nią pyta. I dlaczego właśnie teraz?

– Może dlatego, że sprawdzałem przeszłość Błaszczaka i ta sprawa się przy okazji pojawiła? A może dlatego, że śledztwo zostało zaskakująco szybko umorzone?

Śliwiński uśmiechnął się nieznacznie.

– Ach... – westchnął. – Już pamiętam. – Spojrzał Kmicie prosto w oczy. – Umorzenie było kwestią oczywistą, bo kryminalny dał wtedy, mówiąc wprost, dupy i ówczesny naczelnik wydziału dosłownie je wydreptał. Przez sześć miesięcy nie zrobiono żadnych postępów w śledztwie, nie było przełomu, nie znaleziono niczego, co mogłoby ruszyć tę sprawę z miejsca. Dlaczego akurat teraz jest pan tą sprawą zainteresowany? – powtórzył pytanie.

– Bo poza Błaszczakiem także inne ofiary miały z tą Radecką coś wspólnego. Wszystko skrupulatnie sprawdzamy. Więc?

– Z tą... – Śliwiński się zawahał, ale po chwili dokończył: – ...Radecką? Ta Radecka miała dwadzieścia sześć lat i praktycznie życie przed sobą. To, co z nią zrobiono, to jedno. Ale to, jak ją potraktowano już po całym zdarzeniu, jest przykrym świadectwem zbydlęcenia naszego społeczeństwa. A co do powiązań dzisiejszych ofiar z Małgorzatą Radecką... Mam nadzieję, że

będzie pan w stanie udowodnić, że nie jest to zbieg okoliczności. Do zobaczenia. – Dał sygnał, że Kmita ma się zabierać z radiowozu.

– Czyli zakłada pan, że to jeszcze nie koniec? – Kmita zdawał sobie sprawę, że to już igranie z ogniem, ale nie mógł się powstrzymać.

– A pan? – odpalił Śliwiński. – Poza pozornymi powiązaniem między ofiarami nie ma pan niczego, co mogłoby powstrzymać kolejne zbrodnie. Zatem chyba obaj jesteście więcej niż pewni, że to jeszcze nie koniec, prawda?

Zirytowany Kmita wysiadł i z całej siły trzasnął drzwiami.

– Dopadnę cię – mruknął. – A potem z pieśnią na ustach zatrudnię się w ochronie.

Odszedł kilka kroków i rozejrzał się za sierżantem. Dostrzegł go w grupie rozmawiających techników i przywołał do siebie.

– Gdy Śliwiński tu skończy, jedź za nim i sprawdź, co robi, gdy nikt na niego nie patrzy. – Ruchem głowy wskazał na wysiadającego z radiowozu prokuratora. Śliwiński wbrew jego oczekiwaniom nie podszedł do odizolowanego miejsca zbrodni i pracującego tam Cichockiego. Stał chwilę w miejscu, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem zerknął na zegarek i skierował się w stronę swojego samochodu. Zdaniem Kmity z jakiegoś powodu trzymał spory dystans od całego zamieszania, zamiast tradycyjnie rugać wszystkich za wszystko.

– Co pan mówi... Panie komisarzu, no? – Sierżant zdębiał.

– Głuchy jesteś? – syknął Kmita. – Do komendy zabiorę się z technikami. No jedź! – krzyknął.

Gdy zdziwiony Eliasz się oddalił, komisarz podszedł do kobiety będącej świadkiem śmierci Grzelaka.

– Widzi pani tego mężczyznę? – zapytał, wskazując na wsiadającego teraz do swojego samochodu Śliwińskiego, i przezornie odciągnął ją kilka kroków od mundurowych.

Popatrzyła posłusznie w tamtym kierunku, nieznacznie mrużąc oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza.

– Tak. A co?

– Proszę powiedzieć... – zawahał się Kmita. – Ten ktoś, kto stwierdził, że to pijak – przypomniał – był do niego podobny?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Daleko jest, a ja bez okularów – odparła przeproszającym tonem. – Chyba... Chyba trochę tak? – dodała niepewnie. – To znaczy ubrany był podobnie. Też tak na czarno.

– Ale z twarzy! – zniecierpliwził się Kmita i mimowolnie przewrócił oczami. – Albo z budowy ciała.

– Jak z twarzy poznać, skoro i ten, i tamten to z czapkami prawie na oczach?! – oburzyła się. – A poza tym tamten stał blisko, ten jest daleko, to jak niby mam ich porównać?

Komisarz westchnął ciężko.

– Dobrze, bardzo pani dziękuję. Proszę się spodziewać, że po świętach poprosimy panią na komendę w celu uzupełnienia zeznań. Jeżeli przez ten czas coś pani sobie przypomni, proszę

dzwonić. – Podał jej swoją wizytówkę, skinął głową i wrócił do patologa, który kontrolował pakowanie zwłok do furgonetki.

– O której wpaść? – zapytał Cichockiego.

Patolog, słysząc pytanie, pokręcił z niedowierzaniem głową, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Kmita poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię. Gdy się odwrócił, przed sobą zobaczył znów kobietę będącą świadkiem zdarzenia.

– Coś sobie przypomniałam – powiedziała szybko. – Tylko nie wiem, czy to możliwe, bo w sumie już prawie ciemno było... – zawahała się.

– Słucham, śmiało, proszę mówić, bo każdy szczegół ma dla nas kolosalne znaczenie – zachęcił ją Kmita.

– No nie dam sobie ręki uciąć, ale miałam wrażenie, jakby tamten ktoś miał na nogach, na butach znaczy, takie... wie pan... – Zastanowiła się nad doborem słowa. – No, ochraniacze takie. Chyba żeby butów nie pobrudzić...

Kmita aż zeszywniał.

– Ochraniacze? – upewnił się.

– No dokładnie. Białe były i dopiero po chwili się zorientowałam, że to dziwne: jakby był z wizytą w szpitalu i potem zapomniał je zdjąć.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

– O czym pan mówi, do cholery?! – wściekł się Burszta. – Mam rozumieć, że jest Wigilia, popołudnie, a my mamy szóste go denata?! Kto to w ogóle jest?

Podinspektor oddzwonił w momencie, gdy Kmita wszedł do biura. Dostrzegłszy nazwisko przełożonego na ekranie, komisarz odruchowo przymknął powieki, usiadł ciężko w fotelu i niemal się w niego wbił.

– Ostatnia ofiara to Eryk Grzelak, pracował w budynku przy Towarowej – odparł, siłąc się na spokojny ton. – Jego firma wynajmowała tam kilka pokoi.

– Coś więcej?

– Sprawdzamy. Znaczący właśnie wróciłem na komendę i puszczamy go na bębny. Obawiam się, że to kolejna sytuacja, w której najwięcej czasu pochłonie szukanie ewentualnych powiązań z wcześniejszymi ofiarami. – Coś go tknęło i także Burszcie wołał zbyt wcześnie nie zdradzać, do jakich wniosków powoli zmierza. Jedyne, co mogło go w tej chwili spotkać, to kpina i politowanie ze strony podinspektora. A na to nie miał najmniejszej ochoty. – Tyle na ten temat z mojej strony.

– Niech mnie pan bardzo dokładnie posłucha, komisarzu. – Głos Burszty brzmiał spokojnie, ale Kmita, mając już kilkakrotnie okazję do nieprzyjemnych rozmów z przełożonym, wiedział, że jego ton nie wróży nic dobrego. – Nie mam pojęcia i, prawdę mówiąc, gównu mnie obchodzi, jak pan to robi, ale na tym szóstym ma się skończyć. Rozumie pan? Sześć trupów w jeden wieczór! Chyba właśnie osiągnął pan szczyt swoich możliwości – dodał pogardliwie. – Brakuje tylko paniki i podsycających niezdrowe zainteresowanie komunikatów w lokalnych stacjach radiowych i w internecie. Dlatego macie zakaz korzystania z dzwonek w nieoznakowanych wozach. Żadnej hysterii, żadnego zbędnego poruszenia. Nie mam najmniejszej ochoty na tępe gadki z mediami, które tak rozdmuchają aferę, że ludzie dostaną regularnego pierdolca i będą się bali wyjść na ulicę aż do sylwestra. Nie pod moją opieką, komisarzu, nie w tym mieście!

– Rozumiem – odparł cicho Kmita. – Robimy wszystko, co w naszej mocy.

– To znaczący konkretnie co?

Komisarz wymienił wszystkie do tej pory podjęte działania, ale w obliczu rozmiaru tego, co działo się w mieście od rana, brzmiało to nad wyraz żałośnie.

– Po mieście jeżdżą wszystkie możliwe patrole, uruchomieni są dzielnicowi, ściągnąłem Zakrzewskiego. Technicy w laboratorium i Cichocki pracują na okrągło – zapewnił na koniec.

– Najwyraźniej za mało – ocenił sucho podinspektor.

– Może ściągniemy wsparcie z Gorzowa? – desperacko zaproponował Kmita.

– Może od razu oddział komandosów, najlepiej z Warszawy?! – ryknął Burszta. – Albo od razu z Quantico?! Niech się pan nie ośmiesza, Kmita. To ma się skończyć albo zapomnijcie, pan i cała reszta tych cholernych dyletantów, o świętach, a może nawet i sylwestrze! Weźcie się

wreszcie do roboty, bo za to wam obywatele płacą! Uprzedzam, że nie będę już odbierał od pana żadnych telefonów, jeżeli najpierw nie odczytam SMS-a z wiadomością: „Złapani”. I nie chciałbym być w pańskiej skórce, jeśli to ja do pana zadzwonię pierwszy. – To już zabrzmiało wyjątkowo nieprzyjemnie. – A może wolałby pan, żebym przerwał urlop i osobiście się tym zajął? – rzucił protekcyjnie. – To jak? Mam wsiąść w samochód i być tam za parę godzin, czy jednak będzie pan łaskaw zrobić to w ramach swoich obowiązków służbowych?

Kmita zmiał w ustach przekleństwo. Chce tu przyjechać?! Serio, odwała temu staruchowi. Na komendzie od lat szeptano, że ten cyborg dosłownie koczuje w swoim biurze. A przecież musiał mieć jeszcze jakąś rodzinę, bo niezależnie od okoliczności zawsze brał urlop od Wigilii aż do Nowego Roku, nie racząc jednak swoich podwładnych podobnym luksusem. Jeżeli żona Kmity była kobietą o anielskiej cierpliwości, to żonę Burszty powinni w tej sytuacji wziąć żywcem do nieba.

– Jak?! – Kmita już się nie hamował. – Jak niby mam to zrobić, skoro nie daje mi pan żadnego wsparcia?! Mam ograniczone moce przerobowe. Chotowski na zwolnieniu. Mundurowi, którzy są aktualnie na służbie, nie będą w stanie zajrzeć do każdej pieprzonej dziury w tym mieście, a i tak pościagałem, kogo tylko mogłem! Cichocki powinien już być w domu. Został mi tylko Zakrzewski, który zrezygnował z wolnego i grzebie w danych! – wrzeszczał do telefonu, mając pełną świadomość, że po świętach odbierze dyscyplinarkę. – Co pan chce mi albo sobie udowodnić?! Że nie dam sobie rady w kryminalnym i ciupasem mnie pan wywali z powrotem do dochodzeniówki?! Mam to gdzieś! Słyszysz mnie pan, podinspektorze?! Mam to, kurwa, gdzieś! Prosiłem Śliwińskiego o pomoc dochodzeniówki, to nawet mi nie odpowiedział! Mam dzwonić do komendanta i błagać czy jak?!

W słuchawce zaległa cisza. Po chwili Burszta odezwał się zaskakująco spokojnym tonem:

– Dobrze, w takim razie ja porozmawiam z komendantem na temat możliwości wykorzystania ludzi z dochodzeniówki. Żegnam – rzucił i szybko się wyłączył.

Kmita z ociąganiem wrócił do leżących na biurku papierów. Miał niejasne przecucie, że zanim zdąży zrobić cokolwiek, co związane było z dzisiejszymi zabójstwami, zaraz rozlegnie się dzwonek telefonu i trzeba będzie gnać na złamanie karku na drugi koniec miasta.

Zerknął na zegarek. Ania i chłopcy już pewnie kończą nakrywać do stołu, przy którym dziś będą dwa wolne miejsca: jedno oczekujące na zbłąkanego wędrowca i drugie – na którym zwykle siedzi przy posiłkach on. W tym momencie przez głowę przeleciała mu krótka, wręcz elektryzująca myśl, powodując dziwny niepokój. Ze strachu przymknął powieki i odetchnął kilka razy głęboko.

– Oby nie to – szepnął do siebie. – Błagam, tylko nie to...

Ledwie zdążył poukładać dokumenty według kolejności następujących po sobie zabójstw, zadzwonił Elias.

– Może pan rozmawiać? – zapytał ostrożnie sierżant.

– Mów...

– Śliwiński zjechał na kawę na stację Orłenu przy osiedlu Śląskim – zameldował Elias.

– Co robi?

– No... – zawahał się sierżant. – Pije kawę.

- Czekaj... - powiedział do siebie Kmita.

- Słucham?

- On czeka.

- Na co?

- Na następne wezwanie.

- Skąd ten pomysł?

- Eliasz... Rusz głową! Naprawdę uważasz, że w tym momencie powinien pić kawę na jakiejś stacji paliw na rogatkach miasta, zamiast dreptać wokół choinki? - sapnął. - Spotkał się tam z kimś? Rozmawiał?

- Nie zauważyłem.

- Dzwonił gdzieś?

- Nie.

- Jestem pewien, że on, jako jedyny, doskonale wie, że za chwilę będzie następne wezwanie do kolejnego trupa. Dlatego szkoda mu czasu na jazdy do domu i z powrotem.

- Sam już nie wiem... - odparł bez przekonania Eliasz. - Chwila, bo się ruszył... - relacjonował półgłosem. - Chyba poszedł do kibla.

- Pilnuj go, Eliasz! - niemal rozkazał Kmita. - Gdy wyjdzie, chcę wiedzieć, dokąd teraz pojedzie!

Zapadło milczenie, w którym obaj słuchali wzajemnie swoich ciężkich oddechów. Pierwszy odezwał się komisarz.

- No i co z nim? - zapytał z niepokojem. - Dalej w kiblu? Minęło jakieś pięć minut, chyba pan prokurator nie ma przerostu prostaty, żeby szczać godzinami!

- Zaraz sprawdzę - zapewnił sierżant. - Niech się pan nie wylacza!

- Eliasz, błagam, tylko nie daj się zobaczyć...

Słychać było, że sierżant wysiadł z samochodu, z głośnym trzaśnięciem zamknął drzwi i zablokował zamki. Potem Kmita się domyślił, że Eliasz biegnie w kierunku budynku stacji, a po chwili rozmawia z kimś półgłosem. Dźwięk otwieranych drzwi sugerował, że sierżant wszedł do jakiegoś pomieszczenia.

- Ja pierdołę! - krzyknął po chwili. - Nie ma go tu!

- Jak to nie ma?! A gdzie niby jest?!

W odpowiedzi usłyszał, że Eliasz się komuś legitymuje i o coś pyta.

- Wyjaśniło się... - sapnął po chwili sierżant. - Śliwiński wyszedł tylnym wyjściem. Wykorzystał chyba moment, gdy do pawilonu weszło kilka osób.

- A co z samochodem?

- Samochód stoi tam, gdzie go zostawił. Pod stacją...

- Eliasz, no kurwa mać, w takim razie jak stamtąd się wydostał?!

- Panie komisarzu... Na stację co chwilę zajeżdżają bolty. Chyba go zgubiłem... Przepraszam, nie sądziłem, że gość naprawdę ma coś do ukrycia... - Eliasz był kompletnie zaskoczony przebiegiem zdarzeń.

- Dobra, już po wszystkim, przecież nie będziemy go teraz po mieście ścigać - odparł Kmita z rezygnacją. - Poza tym już i tak wiem to, co chciałem wiedzieć. Wracaj na komendę.

## Ulica Kozuchowska

Co roku, przynajmniej od kilku lat, Kinga Czacka obiecywała sobie, że świąteczne zakupy zrobi kilka dni wcześniej, na ostatnią chwilę zostawiając tylko drobiazgi. Co z tego, skoro kolejny raz taszczyła do domu dwie wielkie torby wypchane niemal po brzegi właśnie tymi drobiazgami? Dobrze przynajmniej, że Wigilię spędzali tylko we trójkę i część dań była już przygotowana, a mąż miał jeszcze na świeżo usmażyć karpia. Córka już tydzień temu dostała za zadanie ubrać choinkę, bo na szczęście wciąż to lubiła. Dziesięć lat to nadal dobry wiek, ale kto wie, co będzie za rok? Pewnie się zbuntuje i stwierdzi, że to szczyt obciachu, cała ta świąteczna histeria, wspierana komercyjną hipokryzją. Ona tak zrobiła, gdy miała jakieś dwanaście, może trzynaście lat. Chyba nigdy nie lubiła świąt, starając się je przetrzymać w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach, bo nawet wtedy rodzice głośnymi wrzaskami wytykali sobie listę obopólnych krzywd i niesprawiedliwości, podlewając je sownicie niezbyt wyszukanym alkoholem. A teraz?! Sama się nakręca, żeby wszystko było „jak należy”. Szczególnie jutro, bo w pierwszy dzień świąt z wizytą mieli wpaść nie tylko teściowie, ale i brat z nową żoną.

Postawiła na drodze jedną z toreb i zerknęła na zegarek, usiłując mimo zapadającego zmroku odczytać godzinę. Pięknie, jest prawie szesnaście trzydzieści! Nie, no serio, naprawdę musi wreszcie pogadać z szefową, że tak dalek się nie da. Kolejny rok z rzędu siedzenie pełne osiem godzin w biurze w Wigilię to konkretne przegięcie. Właścicielce biura było wszystko jedno: bezdzietna stara panna, w domu pewnie cztery koty, więc mogła tkwić w robocie i do rana, ale one, prowadzące dom i mające normalną rodzinę?! I wszystko pilnie, na już, najlepiej w ogóle na wczoraj, no bo jakżeby inaczej?! Owszem, w domu do wigilii siadają zwykle przed dziewiętnastą, ale ona też chciałyby się odświeżyć i pomalować, no wyglądać jak człowiek. Jeszcze tylko ten „spacer farmera” i za moment będzie w domu. Westchnęła i z wysiłkiem uniosła torbę z zakupami.

– Pani Kinga? – usłyszała za plecami. – Pani Kinga Czacka?

Odwrociła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie zna mężczyzny, który zwrócił się do niej po imieniu, a nawet znał jej nazwisko. W ciemności przetykanej światłem ulicznych latarni próbowała przyjrzeć się jego twarzy. Niestety mocno nasunięta na oczy czapka nie ułatwiała sprawy. Ale skoro wołał ją jak znajomą, musieli się już gdzieś wcześniej spotkać, tyle że ona kompletnie tego nie pamiętała. Poczula się niepewnie i rozejrzała w popłochu po ulicy. Żywego ducha, a nawet jeśli ktoś szedł w ich kierunku, skrywała go ciemność.

– My się znamy? – zapytała niepewnie i poprawiła w dłoniach uchwyty toreb.

– No... Nie bezpośrednio – odparł mężczyzna i podszedł bliżej. Teraz dzieliło ich może półtora metra. Widziała już jego twarz, ale nadal go nie kojarzyła. Jakiś dawny znajomy? Może sąsiad? Po chwili sobie przypomniała: kilka tygodni temu wpadł na nią w sklepie. Przewróciła się, a z torebki wszystko wysypało się na podłogę. Owszem, pomógł jej to pozbierać, ale i tak

była na niego zła, bo zrobił jej obciach w markecie pełnym ludzi... – Kiedyś pani nazywała się Nowińska, prawda? Małgosia dużo mi o pani opowiadała... – Mężczyzna się uśmiechnął, ale nie było w tym uśmiechu cienia sympatii. – Ze szczegółami – dodał. – Przecież byłyście koleżankami z pracy, prawda?

– Mał... Małgosia? – Oczy kobiety zrobiły się ogromne. A więc to nie przypadek! – Pan się pomylił, ja nie znam żadnej Małgosi – rzuciła nerwowo i usiłowała go wyminąć.

Znała Małgorzatę. Pamiętała ją. Bardzo dobrze pamiętała. A teraz jeszcze przypląnęła do niej ich ostatnia rozmowa. Boże, po co ona to wszystko powiedziała?! Po co jej groziła?! Ale tam, wtedy, to była inna osoba, ona już taka nie jest... Wszystko się zmieniło. Można tak żyć, da się, choć czasu się nie cofnie, tak jak wypowiedzianych słów i dokonanych czynów.

– Ta, która dwanaście lat temu nie dotarła do domu na wigilię – przypomniał, choć nie było to wcale potrzebne. Widząc, że Kinga nadal próbuje go wyminąć, w ułamku sekundy znalazł się dosłownie tuż przy niej. Tak blisko, że niemal czuła na twarzy jego oddech. – Mam nadzieję, że spełniłaś się zawodowo? Powiedz mi... Naprawdę było to dla ciebie tak ważne, że musiałaś kłamać i uchylać się od odpowiedzialności? – dodał, kiwając głową z politowaniem. – A wiesz, Kingo, że kłamstwo to bardzo, bardzo zła rzecz? Kiedyś ucinano za to języki... – powiedział z dziwnym wyrazem twarzy i takim tonem, że dosłownie skamieniała.

Mężczyzna z niewiadomych powodów nagle stanął za jej plecami i Czacka poczuła, że ze strachu przez jej całe ciało przebiegł lodowaty dreszcz. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale przerażenie mocno ścisnęło jej gardło, utrudniając nawet oddech. Wszystko to przypominało ciężki, duszny sen, z którego żadną miarą nie można się obudzić. Podjęła ostatnią, desperacką próbę ucieczki, ale on był szybszy. Ogarnęła ją paraliżująca słabość i najpierw upadła na kolana, a później głucho uderzyła twarzą w pokryte rozdeptanym śniegiem płyty chodnika. Wciąż trzymała w rękach uchwyty toreb, z których powoli wysypywały się zakupy, zanurzając się w kałuży ciepłej, parującej w grudniowym powietrzu krwi.



## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Eliasz wrócił do biura z pokoju socjalnego, w którym przy pomocy mikrofalówki usiłował przywrócić apetyczność nieco powiędłych kebabów. Teraz obaj powoli i ostrożnie, żeby nie poparzyć palców rozgrzaną folią aluminiową, odwijali opakowania i łączywie wgrzyzali się w pierwszy od naprawde wielu godzin posiłek.

– Wie pan, co jest w tej historii, a w zasadzie we wszystkich tych historiach, ciekawego? – zaczęła Eliasz.

– No?

– Technicy twierdzą, że to prawdziwe majstersztyki. Ten zabójca to duch... Żadnych śladów, niczego na monitoringach, ofiary jakby w ogóle nie walczyły, bo pod paznokciami nie ma nawet mikroskopijnych fragmentów obcego naskórka. Czysto, schludnie, estetycznie – stęknął Eliasz. – Wygląda, jakby to... – Zamilkł z wyraźną obawą, że powie o jedno słowo za dużo.

– Był ktoś z nas? – dokończył za niego komisarz.

– A nie? Przecież Błaszczak, ten policjant, znał zabójcę... A sam pan wie, że pod latarnią najciemniej.

Kmita wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że taką opcję też powinniśmy brać pod uwagę.

– Myśli pan, że to już koniec tej upiornej zabawy? – Eliasz przełknął kolejny gigantyczny i niebyt starannie pogryziony kęs, popijając go zimną kawą. – Bo, nie będę ukrywał, jestem już zjebany jak koń po westernie – jęknął.

Komisarz pokręcił przecząco głową.

– Jaki dziś dzień? – zapytał, z uporem wpatrując się w farsz podmiękkłego placka.

Eliasz spojrział na niego z mieszaniną rozbawienia i politowania.

– No... Dwudziesty czwarty grudnia przecież, środa.

– A dokładniej?

– Ale... że dziś Wigilia?

– No właśnie, Wigilia. A ile zgodnie z tradycją powinno być potraw na wigilijnym stole?

Eliasz aż przestał gryźć i przeżuwać. Wbił w komisarza uważne spojrzenie.

– Jezu, no! Chyba nie sądzi pan, że...

– Sześć ofiar pozornie pozbawionych sensu morderstw, na dodatek popełnionych w Wigilię. No i Sawicki, prawdopodobnie również mający związek ze sprawą. Przecież to jest wręcz oczywiste. A co gorsza, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nasz pan prokurator też ma tego pełną świadomość.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Zauważyłeś, że Śliwiński ani razu nie zmienił ubrania?

– Nie rozumiem...

- Za każdym razem jest ubrany tak samo.
- Przecież jest grudzień, środek zimy. Jak pana zdaniem miałby być ubrany?
- Spod kurtki zawsze wystaje mu ten sam ciemny golf. My od rana latamy po mieście, co chwila na komendę albo do zetemesu... A on przecież mógłby wrócić do domu, wskoczyć w koszulę i krawat. Jest przed siedemnastą, naprawdę facet nie szykował się w międzyczasie do wigilijnej kolacji?
- Może to luteranin? Oni obchodzą wigilię Wigilii, więc w zasadzie Śliwiński jest po imprezie – rzucił kpiąco sierżant, ale szybko spoważniał. – Hmm... Może tak mu wygodniej?
- No właśnie: wygodniej – mruknął pod nosem Kmita. – I te jego buty...
- Co z nimi?
- Jest grudzień, wszędzie albo roztopiony śnieg, albo wyłażące spod niego błoto. – Mówiąc to, wysunął zza biurka własne: brudne i mokre. – A on swoje jakby zdjął ze sklepowej półki.
- Oj, zna go pan przecież. Elegancik!
- To nie ma nic do rzeczy – skrzywił się komisarz, natrafiając na wyjątkowo duży kawał ostrej cebuli. – Świadek, ta kobieta od Grzelaka, przypomniała sobie, że mężczyzna, który nagle rozplynął się w powietrzu, miał na nogach ochraniacze. Takie, wiesz, z flizeliny. Poza tym stwierdziła, patrząc na Śliwińskiego, że tamten w ochraniaczach też był ubrany na czarno, z czapką wciśniętą niemal na oczy... Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Jedno jest pewne: Śliwiński coś próbuje przy każdej zbrodni ugrać. – Ponieważ Eliasz spojrział na niego pytająco, dodał: – Sam na to zwróciłeś uwagę: pogania, żeby jak najszybciej zakończyć oględziny, bez wahania podpisuje papiery, wszystko jakieś takie... po łebkach, bez tej jego legendarnej staranności. I jak to się dzieje, że zwykle zwija się przed nami? Normalnie siedzi na miejscu zbrodni, aż ostatni technik wsiądzie do furgonetki.
- Możemy trochę na temat pana Śliwińskiego wygrzebać z naszych bebechów. – Sierżant ruchem głowy wskazał na komputer. – Teraz, tak na szybko, co? – kusił.
- Kmita przyzwalająco kiwnął głową. Sierżant z nagłą energią zmiął opakowanie po kebabie i brawurowo wrzucił aluminiową kulę do stojącego pod drzwiami śmietnika. Wytarł serwetką twarz i ręce, a potem odruchowo przeciągnął dłońią po blacie biurka.
- Okay, zaczynamy.

\* \* \*

- Dobry Boże... Wie pan, kim był ojciec Śliwińskiego? – zapytał sierżant niespełna kwadrans później.
- Dawaj! – Kmita aż poprawił się na krześle.
- Jan Śliwiński, urodzony w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym we Lwowie, syn żołnierza AK, pod koniec wojny wraz z rodzicami wyemigrował do Anglii. Był zawodowym żołnierzem Brytyjskich Sił Zbrojnych. Ożenił się w Birmingham z Angielką. Tam urodził się nasz pan prokurator, a dokładnie w sześćdziesiątym piątym, jako trzeci z kolei syn... Matka, czyli żona Jana, zmarła w osiemdziesiątym siódmym, do Polski zdecydowali się zjechać w dziewięćdziesiątym pierwszym. Śliwiński junior był już po studiach prawniczych na Yale.
- I co z tego wynika?

- Stary Śliwiński, czyli Jan - uściślił sierżant - w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych prowadził szkolenia ichniejszych komandosów. - Podniósł wzrok na Kmitę.  
- A to może oznaczać, że...

- Że Gerard Śliwiński miał od kogo się uczyć - dokończył komisarz. - Masz jakieś dane odnośnie do tego, co robił w Anglii?

- Brak dostępu. - Sierżant bezradnie wzruszył ramionami.

- Jakoś nie jestem specjalnie zdziwiony - sapnął Kmita. - Tylko dlaczego tyle wiemy o jego ojcu?

- Jan Śliwiński to swego rodzaju legenda - odparł Eliasz. - Ma swoją stronkę na Wikipedii, poza tym jest jego biogram na stronach resortowych: w dwa tysiące siódmym został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Zdaje się, że nie tylko Brytoli szkolili, co po przyjęciu Polski do NATO miało szczególne znaczenie.

- Dobrze. W takim razie w kwestii Gerarda pójdziemy dookoła. Co z jego życiem osobistym?

- No co pan, panie komisarzu...

- Nie rozumiem.

- Serio pan nie wie? To pieprzony mnich! Ludzie gadali, że był raz żonaty, jeszcze w Anglii, ale do Polski przyjechał już rozwiedziony. Miał tu ponoć jakąś kobietę na stałe, ale wyjechała czy coś... Nie wiem dokładnie. Nikt jej w każdym razie nie widział, bo Śliwiński nigdy się z nią nie pokazywał.

- Źródło informacji: ludzie gadali - sapnął Kmita. - Eliasz, powiedz mi, ty policjant jesteś czy baba z magla?! Uruchom, kogo trzeba, i ściągnijcie mi tu trochę więcej danych na temat pana prokuratora, bo „ludzie gadają” nie jest dla mnie miarodajne... Jak ty niczego nie wywalczysz, zleć to Zakrzewskiemu. Z tym akurat nie ma specjalnego pośpiechu.

- Ale Śliwiński naprawdę pilnie strzeże swojej prywatności. - Sierżant uderzył się w pierś, jednak pod wpływem wzroku Kmity zapewnił szybko: - Tak jest!

Podczas gdy Eliasz zmagał się z kolejnymi zaporami na drodze do uzyskania przynajmniej szcątkowych informacji na temat prokuratora Gerarda Śliwińskiego, Kmita w skupieniu przeglądał materiały przesłane mu przez patologa. Usilnie poszukiwał jakiegoś znaku, choćby sygnału świadczącego o tym, że zbrodni dokonuje ta sama osoba: prawo- bądź leworęczność, pozycja zadania ciosu lub uderzenia wskazująca na wzrost napastnika, fragmenty obcych tkanek, substancji albo włókien pochodzących z odzieży. Nic. Żadnych punktów stycznych i pewnie dlatego zabójstwa, a ściślej morderstwa, były całkowicie inne, i to pod każdym możliwym względem.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk jego telefonu. Nie patrząc nawet na ekran, rzucił krótko:

- Kmita!

- Rysiu, a ty to sobie jakieś jaja robisz? I to w samą Wigilię? - usłyszał w telefonie znajomy głos. - Dwanaście nieodebranych połączeń, siedem wiadomości... Co z tobą? Pierdolca dostałeś?

- Pan Jerzy Chotowski we własnej osobie... - warknął komisarz. - Ja pierdolca dostałem?! Ja?! Człowieku, czy ty masz świadomość, co się dziś w tym mieście dzieje?! - wrzasnął. - Czy

ty, kurwa, rozumiesz, co to znaczy „oddzwoni”?!

- Po pierwsze, to jestem na zwolnieniu – odparł ze spokojem Chotowski. – Atak rwy kulszowej – wyjaśnił. – Po drugie, jest Wigilia – zaakcentował. – Po trzecie, komórka została wczoraj w samochodzie pod przychodnią, bo od lekarza odebrała mnie moja baba. Nie byłem w stanie prowadzić. Po co te nerwy, przecież oddzwaniam...

- Jurek, no serio? – zdziwił się Kmita. – Ty naprawdę nie wiesz, co się tu dzisiaj dzieje?

- A co się dzieje? No, poza tym, że drzesz na mnie mordę?

- Powiniennem być pojechać do ciebie, do domu, zamiast bębnić bez sensu... – jęknął Kmita i z zazdrością pomyślał, że są jeszcze w Zielonej Górze szczęśliwcy, których wydarzenia tegorocznej Wigilii kompletnie nie obeszły. – Sześć zabójstw. Co do pięciu mamy pewność, że ofiary zostały zamordowane z premedytacją, u jednej Cichocki i technicy będą musieli zrobić jeszcze kilka badań, ale na osiemdziesiąt procent i ona jest ofiarą jakiegoś dobrze zorganizowanego psychologa. Tak czy inaczej, jestem w czarnej dupie. Jak to możliwe, że nie słyszałeś gnających po mieście karettek pogotowia i radiowozów?

- Rysiek... O czym ty mówisz? – zapytał Chotowski słabym głosem. – Tu?! W Zielonej Górze?! Nic nie słyszałem, bo od wczoraj byłem tak oglupiony przez zastrzyki, że spałem prawie do południa. Zjadłem coś, kolejna porcja leków i znów w kimę. Wtedy mniej boli, rozumiesz. Potem się zorientowałem, że nie mam telefonu, baba mi go przywiozła jakieś pół godziny temu i... – Nabrał powietrza. – Masz tam jakieś wsparcie?

- Burszta łaskawie zezwolił na pomoc chłopaków z dochodzeniówki. Jeżdżą po domach ofiar, pytają wśród sąsiadów i zbierają informacje. Zero wsparcia z Gorzowa, nawet z Sulechowa, Świebodzina czy Krosna. Poza tym mamy siedzieć cicho, na sygnale jeżdżą tylko oznakowane radiowozy, wiesz, żeby nie wywoływać paniki, przecież to Wigilia – prychnął Kmita i w tym momencie zauważył, że Eliasza daje mu jakieś znaki.

Zasłonił mikrofon dłonią i pytająco spojrzął na sierżanta.

- Niech pan go zapyta, czy ma świadka na to, że był przez cały dzień w domu – wyszeptał sierżant.

Komisarz ze zniecierpliwieniem wywrócił oczami.

- A na jaką cholere? – sapnął.

- Niech go pan zapyta...

Kmita odsłonił mikrofon.

- Jak rozumiem, przez ten cały czas byłeś w domu? – zapytał bez przekonania.

- Nie rozumiem... – odparł zdziwiony Chotowski. – A gdzie niby miałem być?

- No... – zawahał się komisarz. Niepokojąco długo zastanawiał się nad jakimś logicznym unikiem, aż nagle go oświeciło. – Ciekawi mnie po prostu, czy w sklepie albo pod blokiem nie plotkują już na temat dzisiejszego burdelu – dokończył z ulgą. – Wiesz, chodzi o ewentualny przeciek do mediów.

- Rysiu, ty miałeś kiedyś atak rwy kulszowej? – zapytał Chotowski z politowaniem. – Szczaś pod siebie z bólu, a nawet nie z bólu, bo zwykła droga do kibla przerasta twoje możliwości. To niby jak miałem robić wywiad środowiskowy?

- No fakt, przepraszam, durne pytanie - kajał się Kmita, jednocześnie pokazując Eliaszowi w sposób niewzbudzający najmniejszych wątpliwości, że tuż po zakończeniu rozmowy skręci go o głowę. Niestety, sierżant nie wyglądał na specjalnie przejętego taką perspektywą. Wyraźnie miał coś jeszcze do powiedzenia, ale przezornie milczał. - Okay, w takim razie kuruj się, najwyżej pomożesz mi później.

- Ale pech - westchnął Jerzy. - Jak rozumiem, twój urlop po świętach właśnie poszedł się jebać? - skwitował.

- Coś w tym stylu.

- A ja jeszcze z tym zwolnieniem dołożyłem...

- Daj spokój, Jurek. Przecież nie miałeś na to żadnego wpływu - odparł Kmita. - Dobra, wiem już co i jak, wracaj do formy i daj znać, czy zwolnienie ci się przedłuży. Wesołych świąt - zakończył, siłąc się na elegancję.

- W kontakcie - powiedział Chotowski. - I nie będę ci życzył wesołych świąt, bo i tak już są do dupy.

Kmita upewnił się, że połączenie zostało zakończone, i pytająco spojrział na sierżanta.

- Co jest? Dlaczego chciałeś wiedzieć, czy Chotowski nie kręci?

- A pana nie zdziwiło, że koleś przez tyle godzin nie odbiera telefonu i nie odpowiada na wiadomości? Chotowski pracuje tu od szesnastu lat, możemy więc założyć, że sprawa Radeckiej mogła być w kręgu jego zainteresowań.

- Elias, odpuść. - Kmita pokręcił głową z dezaprobatą. - Przecież nie będziemy mieszać w to Chotowskiego...

- A ja jednak bym pojechał do niego, do domu, i... - Eliasz uśmiechnął się chytrze. - Tak tylko, żeby się upewnić.

- Po pierwsze, nie bardzo wiem, pod jakim pretekstem, skoro już się dowiedział, że dygamy tu tylko we dwóch i raczej nie mamy czasu na kurtuazyjne wizyty tuż przed wieczerną wigilijną. A po drugie, po czym wnosisz, że trzeba się upewniać?

- Jurek zniknął nam z radarów wcześniej rano, a wcześniej rano zaczęła się ta cała polka. On też ma dostęp do archiwum i niewykluczone, że nawet był zaangażowany w sprawę Radeckiej. Może to właśnie on bawi się w dochodzenie sprawiedliwości?

- Takie dochodzenie sprawiedliwości? Przez policjanta? Na dodatek Chotowskiego? No weź, człowieku... - Kmita nie wydawał się przekonany co do słuszności zgłaszanych przez Eliasza wątpliwości.

- A to pana zdaniem niemożliwe? Wiedział pan, że Jerzy Chotowski w dwa tysiące siódmym zakończył karierę w oddziale komandosów? Podczas jednej z akcji dostał postrzał w kolano. Wykaraskał się z tego, nawet nie kuleje... W każdym razie coś nieoś o zabijaniu wie. Ten boleć w klatce Błaszczaka... No i sam pan widział, jak fachowo zabójca przeciął Grzelakowi tętnicę udową. Cichocki od razu stwierdził, że to był jeden pewny ruch.

- Skąd wiesz o Jurku? A może o mnie też taki wywiad robisz „na wszelki wypadek”? - sapnął Kmita.

- No co pan, panie komisarzu! - zachnął się Eliasz. - Wiem i już. To nie tajemnica przecież!

- Taki pistolet i przez tyle lat nie awansował? - zdziwił się komisarz.

– Sam pan doskonale wie, że Jurek nie jest zbyt... rozgarnięty. Dali go do kryminalnego, bo się musiał chyba w komandosach wykazać, ale przecież nie zawsze liczy się siła. Trzeba mieć jeszcze tu. – Sierżant stuknął się palcem w skroń. – Nie zauważył pan, że Chotowski zawsze dostaje jakieś popłuczyny, a Burszta nie dość, że daje panu niemal beznadziejne sprawy, to jeszcze jeździ po panu jak... nie powiem po czym – dokończył po chwili wahania.

– Być może Jurek ma jakieś inne zasługi?

– E tam. Jak dla mnie to nie grzeszy bystrością w śledztwie, ale sprawdza się taktycznie w terenie – sapnął sierżant. – A pan jak uważa?

Kmita nie odpowiedział. A jeżeli Eliasza ma rację i to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją? Łatwo jest udawać głupszego tylko po to, żeby po cichu osiągnąć swój cel. Chotowski nigdy się nie wyróżniał, zawsze z boku albo na końcu w roli obserwatora. I teraz ta nagła choroba. Rwa kulszowa nie pojawia się znikąd, a Chotowski nigdy wcześniej nie uskarżał się na dolegliwości z nią związane. Więc?

## Ulica Wrzosowa

Stojący pod furtką mężczyzna nieznacznie rozejrzył się wokół. Odczekał, aż idący ulicą dzieciak z niewiarygodnie małym psem zniknie za rogiem, a potem wyjął z kieszeni pęk kluczy i po chwili wahania wcisnął na pilocie przycisk zwalniający blokadę bramy. Przęsto przesunęło się niemal bezgłośnie i mężczyzna wszedł na posesję. Sprawnie otworzył drzwi, a po wejściu do budynku natychmiast zniknął w jego głębi. Mimo panującego wewnątrz mroku nie zapalił żadnego światła, tylko od razu, na pamięć, podszedł do schodów wiodących na piętro. Potem wystarczyło skrócić na prawo, następnie iść do końca niedużego korytarza i praktycznie można było już przekroczyć próg gabinetu.

Tym razem pokonanie tej niedużej wszak odległości przychodziło mu z olbrzymim trudem. Każdy stopień wydawał się niebotycznie wysoki, nie pomagało wsparcie się na poręczy. Po lewej stronie znajdowała się spora galeria zdjęć. Nie musiał tam nawet patrzeć, znał te zdjęcia doskonale. Do pewnego miejsca były to fotografie kobiety i dziecka, z którego z czasem wyrosła mała dziewczynka o szczerym uśmiechu, potem nastolatka, aż wreszcie młoda kobieta. Na moment stracił oddech, gdy dotarło do niego, że zdjęcie, które wisiało najbliżej wejścia na piętro, było naprawdę ostatnim. Obok szeroko uśmiechniętego mężczyzny, objęta jego ramieniem, siedziała przedwcześnie postarzała kobieta. Ta sama, której twarz, jeszcze świeżą i szczęśliwą, widać było tuż przy pierwszym stopniu.

Wszedł do gabinetu i rozejrzył się. Ściana naprzeciw starannie zasłanego łóżka była pokryta masą kartek, wycinków, kserokopii dokumentów i zdjęć. Przy każdej fotografii dopisano imię i nazwisko, adres, kilka istotnych szczegółów dotyczących życia codziennego. Obsesyjnie starannie rozpisany plan, dopięty do ostatniego możliwego detalu. Wiele z tych detali znalazło się tam właśnie dzięki piastowanej przez niego funkcji, nie zawsze legalnie i zgodnie z obowiązującymi procedurami. Otworzył przyniesioną ze sobą walizkę i zaczął ostrożnie umieszczać w niej kolejno odpinane lub odrywane od ściany fragmenty tej przedziwnej mozaiki. Ostatnim elementem, swoistym tłem, była mapa miasta z zaznaczonymi punktami, ulicami, a nawet kierunkami przemieszczania się.

Odruchowo w myślach odznaczył te punkty, które dziś już zdążył odwiedzić albo w których przyjdzie mu jeszcze tego wieczoru się pojawić. Potem przeszło mu przez głowę, że jest jeszcze czas, żeby to powstrzymać. Ale niemal od razu przed oczami stanęła mu twarz dziewczyny ze zdjęć i pokręcił przecząco głową, jakby sam sobie próbował poukładać wszystko w głowie. Zamknął walizkę i wszedł na parter, a potem opuścił dom.

Po chwili podjechał bolt, mężczyzna wsiadł i zgodnie z podanym w aplikacji adresem pojechał w kierunku centrum. Kontrolnie zerknął na zegarek i odetchnął z ulgą. W zasadzie docelowo zmierzał na drugi koniec miasta, ale i tak powinien być na czas.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

- Możemy trochę pogrzebać na temat Chotowskiego. - Eliasz wyraźnie się rozochocił.

- Przecież oddzwonił - zdziwił się Kmita. - Na cholereę będziesz się w tym jeszcze babrał?

- Bo mogę - wprost odparł sierżant. - Poza tym mamy zbadać wszelkie ślady, poszlaki i hipotezy. No i ja mam właśnie taką hipotezę, że Jurek może być naszym tajemniczym znajomym Błaszczaka.

- Nawet razem nie pracowali... - westchnął komisarz. - Skąd niby mieli się znać?

- Może z dwa tysiące pierwszego? - odczytał z triumfem wpatrzony w ekran Eliasz. - Gdy jakiś desperat zamknął się w tym budynku socjalnym przy Osadniczej i groził, że się wysadzi. Przyjechali „czarni” i saperzy. To teren Błaszczaka...

- Eliasz, nie kombinuj za mocno, okay? - zirytował się Kmita. - Szukasz na siłę i marnujesz czas. Jakim sposobem Błaszczak mógł wejść w konflikt z Chotowskim? Bo mu termosu z herbatą na akcję nie dowiózł? A idź w cholereę! - sapnął.

- Ja tylko mówię, że... - zapał się sierżant i w tym momencie w pokoju rozległ się dzwonek telefonu.

- Czeka! - powstrzymał go komisarz, unosząc dłoń w górę. - Najpierw odbiorę... - wyjaśnił. - Kmita, słucham - rzucił do słuchawki.

W miarę przebiegu rozmowy, a raczej monologu po drugiej stronie, przymknął oczy i po chwili mocno je zacisnął. Pokręcił z niedowierzaniem głową i na zakończenie powiedział:

- Rozumiem, już tam jedziemy. - Rozłączył się, a potem spojrzął na sierżanta. - Nie wierzę... Kurwa, nie wierzę! - Podniósł głos.

- Gdzie? - Padło krótkie pytanie.

Obaj wiedzieli, że każde inne byłoby w obecnej sytuacji zbyteczne.

- Róg Kozuchowskiej i Browarnej, niedaleko tej dużej przychodni weterynaryjnej. Siódma ofiara, kobieta, chyba wracała z Biedronki, bo wokół były rozsypane zakupy. Poderżnięte gardło. Trafił na nią jakiś przechodzień. Omal jej nie minął, bo myślał, że to jakiś pijak, który już zakończył świętowanie, ale gdy podszedł bliżej, zobaczył, że to kobieta i że leży na sporej plamie krwi, więc od razu zadzwonił na pogotowie. Są tam już chłopaki z patrolu, właśnie skończyli go przesłuchiwać.

Po chwili siedzieli w samochodzie.

- Ósma ofiara jednego dnia - sapnął Kmita. - Teraz już chyba zasadne będzie wsparcie z Gorzowa. Obawiam się tylko, że Burszta i Śliwiński za wszelką cenę chcą uniknąć podobnego scenariusza, jakby nie rozumieli, że nie mamy rady tylko naszymi obywatelami całego miasta. No jedziesz czy czekasz, żeby cię popchnąć?! - zrugął Eliasza siedzącego w bezruchu za kierownicą.

Sierżant aż się skulił i posłusznie ruszył.



- Włącz „koguty”, nie przebijemy się normalnie. Zaczynają się kursy na wigilie wyjazdowe, miasto będzie zapchane.

- Pojadę skrótem, przez Słowackiego, tam będzie pusto. Poza tym podinspektor mówił, żeby...

Kmita aż się zapowietrzył.

- Gównu mnie to już teraz obchodzi! Włącz te cholerne „koguty” albo wypierdalaj z wozu!

## Ulica Kozuchowska

Po dotarciu na miejsce Kmita rozejrzał się po już obecnych w poszukiwaniu prokuratora i, niestety, po chwili go zobaczył.

– Śliwiński? – zapytał przeciągle. Ciekawe, jak tu dotarł, skoro jego samochód pewnie wciąż tkwi na Śląskim. Prokurator stał z rękami w kieszeniach kurtki i z dystansu przyglądał się pracy na miejscu zbrodni. Nie wściekał się, nie pokrzykiwał, jak to miał w zwyczaju, nie okazywał zniecierpliwienia czy choćby śladowej irytacji. – Jednak on?

– A niby kto miał przyjechać? – zdziwił się jeden z techników.

– Noo... – zawahał się. – Nie wiem. Ale sądziłem, że jak na jeden wariacki dzień nasz funkcjonariusz publiczny będzie miał dość. – Kmita złapał się na tym, że w zasadzie w ostatniej chwili nie pochwalił się swoim pomysłem śledzenia prokuratora i efektem tej akcji. Był pewien, że Śliwiński wreszcie zniknie wszystkim z oczu, zwłaszcza że zauważył obecność „ogona”. A jednak znów jest na miejscu zbrodni.

Nie mieli tym razem za dużo do roboty. Jedynym świadkiem był mężczyzna, który zainteresował się leżącą na chodniku kobietą. Nikt, kto przechodził wcześniej, tego nie zrobił, a ci, którzy pojawili się tam już po wezwaniu służb, nie mieli nic do powiedzenia. Po prostu stali i gapili się na uwijającą się ekipę techników. Spisywanie wstępnych zeznań trwało dosłownie kilka minut.

– Miała przy sobie dokumenty? – zapytał Kmita.

W odpowiedzi mundurowy wyciągnął do komisarza rękę z dowodem osobistym ofiary.

– Kinga Czacka – powoli odczytał Kmita. – Wiemy, gdzie mieszka? – zwrócił się do policjanta.

– Na Kozuchowskiej, dosłownie kilka numerów niżej – odparł tamten. – Jasny gwint, dopadł ją niemal na progu domu... – dodał refleksyjnie.

Kmita skrzywił się z niesmakiem.

– Dobra, dajmy sobie spokój z metaforami. Idź zawiadomić rodzinę. Przecież wciąż na nią czekają...

– Dzwoniłem do męża, był oznaczony w jej komórce. Już wie. Chciał tu przybiec, ale Cichocki skutecznie go od tego odwiódł. Chce tę kobietę jakoś przygotować... To naprawdę koszmarnie wygląda – dodał.

– Jak to? Miała przy sobie telefon?

– No tak – potwierdził policjant. – Telefon, portfel, karty i gotówkę. To z pewnością nie był rabunek, choć zabójca miał dość czasu.

Giało po chwili zabrano do zetemesu, technicy – już chyba tylko dla czystego sumienia – pokręcili się po pospiesznie okolonym taśmą miejscu zbrodni i też zaczęli się zbierać. Na

pytanie Kmita, dlaczego tak mało starannie zajęli się poszukiwaniem śladów, jeden z nich wzruszył ramionami i uśmiechnął się z politowaniem.

- A czego niby mamy tu szukać, panie komisarzu? - zapytał. - Na poprzednich sześciu nic nie znaleźliśmy, skąd pomyśl, że teraz będzie inaczej?

- Pierwsze słyszę, żeby zamiast oględzin miejsca zbrodni wysnuwać wnioski a priori! - wściekł się Kmita. - Ruszycie dupy czy...

- Ryszard, daj spokój - przerwał mu ktoś i komisarz poczuł na ramieniu dłoń. Odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z Cichockim. - Tu naprawdę niczego nie ma. Szkoda czasu...

- A jeżeli tym razem coś zgubił, o czymś zapomniał, popełnił błąd? - Kmita miał świadomość, że traci nad sobą panowanie, pogłębiając uczucie totalnej bezradności. Uznał jednak, że to doskonała okazja, żeby dać upust emocjom. - Siódme, dwudzieste czy setne zabójstwo: to nie ma, kurwa, znaczenia! Macie tu ryć z nosem przy ziemi, rozumiano?! - krzyknął w stronę techników.

Nikt nie zareagował.

- Rysiek... - Spokojny głos Cichockiego jeszcze bardziej go zirytował.

- Co: Rysiek?!

- Uspokój się, do cholery! - przywołał go do porządku patolog. - Śliwiński się na ciebie gapi z kretyńskim uśmieszkiem. Nie dawaj mu satysfakcji. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Poza tym sam pomyśl... Siódma ofiara jednego dnia. Nasz zabójca jest staranny, skrupulatny i z pewnością niczego nie pozostawia przypadkowi. Powęsz z innej strony. Masz siedem ciał - przypomniał Cichocki. - Siedem osób, siedem historii. Poszukaj tam.

- Tak, wiem, wiem... - Kmita nieznacznie ostygł. - Zbrodnia to zaledwie skutek, ważniejsze są przyczyny... Grzebię w ich historiach bardzo uważnie, możesz mi wierzyć - zapewnił.

- I prawidłowo. - Cichocki zebrał swoje akcesoria i spakował do przepastnego kufra. - Jedziemy na Zyty i zabieram się do roboty - zakomunikował. - A ty ochłoń, a potem na spokojnie pogadaj z prokuratorem. Niech wie, że jesteś profesjonalistą, a nie furiatem. - Uśmiechnął się przyjaźnie i skierował się do samochodu. - Wpadnij do mnie, mam już kilka tematów do omówienia.

Po chwili na miejscu, poza mundurowymi i kończącymi pracę technikami, zostali tylko Kmita, Eliasz i Śliwiński. Komisarz odetchnął kilka razy, zerknął w stronę Śliwińskiego, a potem... kiwnął na sierżanta, dając sygnał do powrotu na komendę. Był więcej niż pewny, że w rozmowie wypłyne temat zakończonego fiaskiem śledzenia prokuratora, a na to nie miał w tym momencie najmniejszej ochoty i wołał zejść Śliwińskiemu z oczu.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

– Jak pan myśli... – Eliasz nieznacznie ściszył głos, mimo iż w biurze byli sami. – Gdyby pan był na miejscu Burszty, nie wolałby pan pojawić się w Zielonej Górze jak najszybciej? Pan jest tu sam, Chotowski na zwolnieniu, brak wsparcia z zewnątrz, bo naczelnik nie chce robić sobie wstydu.

– Do czego zmierzasz? – czujnie zapytał Kmita.

– Pan podinspektor tak spokojnie sobie czeka na kolejne meldunki o znalezionych ofiarach i tylko się odgraża, zamiast już być w drodze?

– Być może stwierdził, że ze względu na panujący tu syf lepiej, żeby cała odpowiedzialność spadła wyłącznie na mnie. On pojawi się najwcześniej jutro albo pojutrze, uwali mnie z całym niezbędnym rytuałem, a jednocześnie będzie miał wymówkę, że na skutek mojej indolencji pewnych rzeczy już się nie nadrobi.

– Naszej indolencji, jak już – poprawił go Eliasz. – Przecież sam pan tym całym burdelem nie zarządza, prawda?

– Ale ja dowodzę... – westchnął komisarz. – No nic. – Wzruszył ramionami. – Póki co zajmijmy się swoją robotą, gdybać będziemy później.

Eliasz wyglądał, jakby się nad czymś mocno zastanawiał.

– A Burszta na pewno jest na Wybrzeżu?

– Nie rozumiem...

– Chodzi mi o to, że to może jakaś wymówka, że niby nie da rady przyjechać, bo daleko i takie tam, bla, bla, bla, a tak naprawdę jest w domu?

– Eliasz, konkretniej – zniecierpliwił się Kmita.

– No... Mógłbym sprawdzić, do której stacji BTS loguje się aktualnie jego numer – zaproponował sierżant po chwili wahania. Widząc zdziwienie w oczach Kmity, dodał wyjaśniająco: – No, wie pan, tak na wszelki wypadek. W razie czego miałyby pan na niego haka.

– W razie jakiego „czego”?

– Gdyby faktycznie próbował pana uwalić, to nie dość, że ograniczył panu możliwość wsparcia z województwa, to jeszcze siedział na dupie i czekał jak tchórz, zamiast też się zaangażować. Siedem zbrodni to nie włamanie do piwnicy, żeby potraktować je tak lekko i pozostawać w roli obserwatora, prawda?

Komisarz przygryzł wargę. Prawdę powiedziawszy, wolałby, żeby Burszta nie sterczał mu nad głową, sterując każdym ruchem. Podinspektor umożliwił mu wsparcie dochodzeniówki i tak naprawdę jego obecność nie zagwarantowałaby przecież, że śledztwo zakończy się na siódmym zabójstwie. Może lepiej niech zostanie na tym Wybrzeżu...

- Eliasz, odpuść - nakazał. - Nawet gdyby się okazało, że szef siedzi spokojnie w Zielonej Górze, ja nic z taką wiedzą nie zrobię, dobrze o tym wiesz. Będzie chciał mnie zdegradować albo wywalić, zrobi to, a ja nic nie poradzę. Mówiłem, skupmy się na pracy!

## Ulica Zyty, Zakład Medycyny Sądowej

W sali sekcyjnej zielonogórskiego zetemesu pojawili się pół godziny po Cichockim. Kmita pchnął drzwi z takim rozmachem, że zanim wróciły na swoje miejsce, zdążył je minąć także Eliasz.

Na ich widok patolog uniósł wzrok znad rozplatanego ciała. Przykrył je częściowo błękitnym prześcieradłem i zdjął z rękawiczki, by za moment nałożyć kolejną parę. W międzyczasie ruchem głowy wskazał na pojemnik z rękawiczkami dla swoich gości. Posłusznie je nałożyli.

- No to po kolei - zaczął Cichocki. - Alina Niemczycka... Ale nie, chwila! - Zawrócił ich w pół kroku i skierował do stołu, na którym stał mikroskop. - Zobaczcie najpierw to. - Patolog podsunął im niewielką szklaną podstawkę. - Bez dotykania. - Spojrzeli na niego z zaskoczeniem, więc dodał: - Zaraz wyjaśnię.

Po chwili wszyscy trzej stali pochyleni nad laboratoryjnym naczyniem.

- Wiesz, co to jest? - zapytał Kmitę patolog.

Komisarz wbił zdziwiony wzrok w leżący na podstawce mały szary kamień.

- Wygląda jak gruda błota... - odparł ostrożnie. - Albo... - zastanowił się - cementu? Nie, czekaj, prędzej jakby... odłamek betonu. - Zerknął na Eliasza, który w tej kwestii również nie miał sprecyzowanego zdania.

- I tu masz rację. - Patolog podstawił naczynie pod obiektyw mikroskopu. - Wygląda. Ale nie jest... Zobacz. - Wskazał Kmicie okular urządzenia. Gdy komisarz przytknął tam oko, ciągnął: - Ma zupełnie inną strukturę niż beton, z bliska widać to doskonale.

- Daj mi spokój z tymi wykładami - zniecierpliwiał się Kmita i ruchem ręki przywołał Eliasza, żeby też się przyjrzał temu dziwnemu czemuś. - Mów jak człowiek, o co chodzi.

- To, na co patrzysz, to rzeczywiście beton. Ale tylko z nazwy. Tak naprawdę to mega silny i wyjątkowo podły narkotyk nazywany „szarą śmiercią”. Samo dotknięcie go bez odpowiedniej izolacji powoduje niemal nagły zgon. Takie... - zastanowił się - przećpanie przy samym tylko trzymaniu tego dziadostwa w dłoni. Przy kontakcie ze śluzówką działa jeszcze szybciej.

- I właśnie to Niemczycka miała w dłoni? - zapytał sierżant. Cichocki kiwnął potakująco głową. - A skąd w ogóle wiedzieliście, z czym macie do czynienia? I jak to się stało, że nie dotknął tego nikt z ekipy karetki ani żaden z chłopaków z patrolu?

- Nasi wiedzą, jakie są zasady, i samowolnie nie ruszą żadnego detalu przy zwłokach, dopóki nie będzie na to pozwolenia. Fakt, mieliśmy sporo szczęścia, że nie dotknął tego także nikt z pogotowia, być może dlatego, że raz zrobili o jedną rzecz za dużo i oberwali od ekipy. Technicy byli o krok do przodu, bo kilka tygodni temu była sprawa z udziałem „betonu” w Szczecinie, informacja poszła do wszystkich laboratoriów. Dodatkowo jeden z naszych miał szkolenie on-line nadawane przez ośrodek w Nowym Jorku. Tam „beton” jest ogólnie bardziej znany, w niektórych stanach to prawdziwa plaga. Jest niezwykle poręczny: łatwiej go ukryć czy

podzielić, a przede wszystkim tani i przy tym dziesięć razy silniejszy od morfiny. „Beton” łączy w sobie heroinę, fentanyl i karfentanyl. Karfentanyl to środek przeciwbólowy stosowany na przykład przy uspokajaniu zwierząt – uściślił. – Ale to badziewie jest od niego silniejsze niemal stokrotnie. To już nie jest złoty strzał, a konkretne pierdolnięcie.

– Uspokajaniu? – powątpiewał Eliasz. – Żeby uspokoić psa, nie trzeba środka stokrotnie silniejszego niż zwykły fentanyl.

– Nie psa czy kota! – Patolog się roześmiał. – Powstał z myślą o dużych zwierzętach takich jak słonie albo hipopotamy. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że pojawi się w mieście tej wielkości.

– Jak rozumiem, kobieta trzymała go w dłoni aż do chwili śmierci, samej sobie tę śmierć przyspieszając? – zapytał Kmita z niedowierzaniem.

– Dopóki krąży krew i komórki absorbują, dokładnie tak. Nie wiem, na ile jest to pocieszające, ale umierała pewnie kilkadziesiąt sekund, może niespełna dwie minuty.

– Była szansa na pomoc?

– Żadnej. Nie w przypadku kontaktu ze skórą – uściślił Cichocki. – Naprawdę mieliśmy kupę szczęścia. Technicy i ratownicy zakładają, co prawda, rękawiczki, więc o nich jestem spokojny. Ale gdyby ktoś beztrzesko wyrzucił tę grudę na ulicę, mogłoby być nieciekawie. Poza tym żadnych śladów walki, nie znalazłem niczego pod paznokciami ofiary. Dobra, idziemy dalej – zakomenderował i wskazał na stół, przy którym go zastali, wchodząc. – A oto mój, śmiało rzec można, faworyt, czyli Seweryn Białek – zapowiedział z kpiącym uśmiechem.

– Faworyt? – Kmita skrzywił się z niesmakiem. – Dlaczego?

– Bo ktoś potraktował go jak na filmie i wreszcie miałem okazję sprawdzić, czy te metody są rzeczywiście tak dopracowane przez scenarzystów. No rozumiesz... – Mrugnął porozumiewawczo. – Raz wreszcie porządna gangsterka, a nie dłubanie w trzytygodniowym topielcu...

– Streszczaj się. – Komisarz znacząco zerknął na swój zegarek.

– Oczywiście przyczyną śmierci było zatrucie spalinami.

– Oczywiście – jęknął Kmita. – Klemens, przecież wiesz dokładnie, co mnie interesuje najbardziej.

– Na ciele denata nie znaleziono materiałów biologicznych, które mogłyby pochodzić od zabójcy. Białek został pozbawiony przytomności przy pomocy znanego nam już tasera. Ewentualnie wcześniej mógł się bronić i szarpać z napastnikiem, choć na ciele nie ma żadnych tego typu obrażeń. A nawet gdyby rzeczywiście tak było, pod paznokciami znalazłbym fragmenty naskórka z dłoni zabójcy. Pech polegał na tym, że pan Białek był w rękawiczkach. Kolejna rzecz – ciągnął patolog. – Poza kneblem i monetami znalezionymi w jego ustach nie było żadnych innych ciał obcych w przełyku czy żołądku. Na prawej skroni są ślady po mocnym, moim zdaniem bardzo precyzyjnym uderzeniu. Fachowym z pewnością. Taki cios jest w stanie pozbawić przytomności nawet na kilkanaście minut.

– Uderzenie? Ale po co, skoro przecież został użyty taser?

– Mnie nie pytaj – uśmiechnął się Cichocki. – Może ktoś chciał sobie zrobić przyjemność i sklepać Białkowi michę własnoręcznie? – zakpił. – Jedyne ślady walki, a raczej prób

uwolnienia się, to pozostałości po założonych trytytkach. Nasz denat pewnie się szarpał, więc sam sobie nieco dołożył. Trytytki, monety i knebel powędrowały już do waszych techników. Tyle ode mnie.

Kmita w milczeniu wpatrywał się w twarz Białka.

– Eliasz... – powiedział po chwili. – Zbierz mi wszystkie materiały o zabójstwach, w których występowały podobne lub te same okoliczności. Rozumiesz: taser, wstrzyknięcie lub w ogóle podanie śmiertelnej dawki czegokolwiek, spaliny, torba na głowie. Może nawet gdzieś ten cholerny „beton” albo jego odpowiednik się znajdzie.

– Szuka pan naśladowcy czy stawia na powtórkę z rozrywki?

– Szukam chorego pojeba – warknął Kmita. – Zbieramy się – zadecydował. – Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do biura, zanim okaże się, że jedziemy na kolejne oględziny.

– Odpukaj, spluń przez lewe ramię i jeszcze się przeżegnaj! – Cichocki uśmiechnął się z rezygnacją. – Bo jakoś nie jestem specjalnie dobrej myśli...

– Aha, a co z Czacką? – przypomniał sobie komisarz. – Tą z poderżniętym gardłem. Zdaje się, że i ona wprowadziła nieco kolorków do twojej pozbawionej emocji pracy? – Kmita nie mógł się powstrzymać przed złośliwością. – Masz już coś?

– Tu sprawa była prosta. Przecięta lewa tętnica na wysokości piątego kręgu szyjnego, skutkiem czego było natychmiastowe wykrwawienie. Krótkie, pewne cięcie od lewej do prawej, można więc przyjąć, że sprawca jest praworęczny i ciął, stojąc za ofiarą, o czym świadczy rozbryzg krwi. Krawędzie cięcia wskazują, że sprawca jest wysoki, może mieć powyżej metra osiemdziesiąt. Narzędzie to prawdopodobnie nóż o cienkim i długim ostrzu, rana jest jak po laserze. Zero oznak walki, żadnego materiału biologicznego, z którego mogliśmybyśmy pozyskać DNA. *Opera... finita* – Mówiąc to, Cichocki skłonił się komediancko. – Pytania?

Kmita w milczeniu przyglądał się odsłoniętym zwłokom Białka i Czackiej.

– No, a ty? Nie masz żadnych pytań? – Podniósł wzrok na Cichockiego.

– Ja? – zastanowił się patolog. – Powiem szczerze, że ja już naprawdę nie wiem, co o tym zabójcy czy tam zabójcach myśleć... – przyznał po chwili.

– To znaczy?

– Każde zabójstwo, czy raczej sposób pozbawiania życia, jest inne. Różne przyczyny zgonu, narzędzia zbrodni, stopień i zakres obrażeń. A jednak jest w nich wszystkich jakaś... Nie wiem... Taka sama złość, determinacja? Ta śmierć z opóźnionym zapłonem też daje do myślenia.

– Czyli zakładasz, że one wszystkie są ze sobą jakoś powiązane, mimo iż sprawca...

– Bądź sprawcy – wszedł mu w słowo Cichocki.

– ...bądź sprawcy – powtórzył za nim Kmita – dbają o to, aby nic na to nie wskazywało?

– A ty tak nie uważasz?

– Ja też już sam nie wiem, co uważam... – Komisarz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ale w sumie... – zawahał się. – Pytanie mam – zaczął. – To prawda, że Chotowski był kiedyś w „czarnych”?

– Antyterrorystach? – upewnił się Cichocki. – Tak – potwierdził. – A dlaczego pytasz?



- A tak, bez specjalnego powodu - wykręcił się Kmita i rzucił sierżantowi znaczące spojrzenie, więc ten podszedł do mikroskopu i zerknął przez okular na dowód rzeczowy. - Ktoś chyba przy jakiejś okazji wspominał, że Jurek ma problemy z kolanem, bo dostał postrzał. Na moje oko teraz nawet całkiem nieźle się trzyma. Pewnie na setkę zostawiłby mnie daleko w tyle - rzucił z udawanym podziwem. - A tu się okazuje, że faceta zmoęła na kilka tygodni rwa kulszowa...

Czuł się podle, bo rozmowa przypominała wydobywanie zeznań w nieszczerólnie etyczny sposób.

- Czy ja wiem? - zastanowił się Cichocki. - Chyba tak... Nie znamy się za dobrze, choć poznaliśmy się jakieś... - policzył w myślach - piętnaście albo szesnaście lat temu. Wtedy był do rzeczy, ale potem coś mu odwaliło i zaczął się izolować.

- Coś się stało? Co?

- No właśnie tego nikt dokładnie nie wie. Zamknął się w sobie, z nikim z pracy nie utrzymuje bliższych kontaktów. Wyprowadził się pod Zieloną Górę i żyje z jakąś kobietą, ale nikt jej nigdy na oczy nie widział, więc... trudno cokolwiek powiedzieć - dodał z rezygnacją. - Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko - odparł Kmita. - Czekam na raport. Eliazs! - przywołał sierżanta. - Zjazd na bazę.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Do biura wrócił zaafierowany Eliasz, trzymając w ręku plik jakichś wydruków. Spojrzał na komisarza i zapytał:

– Możemy?

– Dawaj – odparł Kmita. Sięgnął po kupioną w automacie na korytarzu colę i upił kilka łyków. – Gazowany kompot z suszu... – prychnął.

Wpadli do komendy zmarznięci i przynajmniej on do tej pory się nie rozgrzał. Przez chwilę pomyślał o gorącej herbacie, ale w obliczu dzisiejszych następujących po sobie wydarzeń z rozmysłem z niej zrezygnował. Może chociaż cukier doda mu nieco energii.

Podczas gdy Kmita kompletował dokumenty z ostatnich oględzin, Eliasz pognał od razu do analityków. Teraz usiadł za swoim biurkiem i uważnie rozłożył na blacie przyniesione wydruki, jednocześnie logując się do systemu.

– Panie komisarzu, te wszystkie zbrodnie są dokładnym odtworzeniem każdego nierozwiązanego śledztwa, które było prowadzone na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. – Sierżant spojrział na Kmitę. – Jakby ktoś dokładnie przestudiował sprawy, sprawdził słabe punkty i dobrze się przygotował.

– „Beton” też się gdzieś pojawia w tych sprawach?

– Beton? – Eliasz w pierwszej chwili nie skojarzył, o czym mowa. – Znaczący... A! Ten narkotyk! – dodał z ulgą. – Nie, „betonu” nie było, ale w podobny sposób został zamordowany jeden z pierwszych deweloperów w Lubuskiem: ktoś nafaszerował go penicyliną i zanim lekarze zdążyli mu podać jakąś antyhistaminę, facet zszedł. Ofiara miała nawet na ręce taką specjalną bransoletkę z grawerunkiem o tej penicylinie, ale ją przeoczo.

– A pozostali?

– No więc tak... – zaczął Eliasz. – Ten deweloper to sprawa z dziewięćdziesiątego szóstego, gwoździarka z dwa tysiące jedenastego, a pozbawienie przytomności z użyciem tasera przy rabunku z dwa tysiące ósmego. Kolejna, czyli sposób, w jaki wykończono Seweryna Białka, to temat z dziewięćdziesiątego ósmego... – wymieniał powoli, czytając odpowiednie fragmenty. Podniósł wzrok na komisarza i stwierdził: – Teraz to już jestem więcej niż pewny, że to osoba z firmy... – dodał półgłosem, jakby obawiał się, że ktoś poza Kmitą go usłyszy i zrobi z tego niepożądany użytek. – Bo wszystkie te sprawy są w archiwum, oznaczone jako umorzone.

– Kto ma dostęp do archiwum?

– No... my.

– A poza nami? – Ponieważ Eliasz milczał, komisarz odpowiedział sam sobie: – Prokuratorzy, to chyba jest oczywiste!

– Jezu... Panie komisarzu... – Sierżant zbladł. – Co pan się tak na tego Śliwińskiego uparł, no...

- Przestań jojczyć. - Kmita zmarszczył brwi. - Właśnie pan prokurator miał najwięcej czasu, żeby wszystko sobie dokładnie prześwietlić.
- Ale to równie dobrze może być ktoś od nas, nawet z wydziału.
- Kto niby? - Komisarz stukał nerwowo placami w blat biurka. - Ja? Może ty? - prychnął.
- Wszystkie szczegóły śledztwa i zebrane dowody znają zawsze technicy. - Eliasz nie wydawał się specjalnie zrażony kpiną komisarza. - Może to któryś z nich? Choćby Adamski - rzucił. - Jako technik pracuje tu od co najmniej piętnastu lat, szefem zespołu jest od jakichś siedmiu. No a Chotowski?
- Mówiłem, Chotowskiego sobie odpuść - nakazał Kmita. - A co ze sprawami, które miały miejsce w Wigilię dwanaście lat temu?
- Eliasz zerknął w przyniesione papiery.
- Praktycznie to niewiele się działo. Kilka domowych awantur, drobne kradzieże w marketach. Najczęściej patroli jeździły do stłuczek, tak się wszystkim spieszyło do tego świętowania. Jedna grubsza sprawa. Zatrzymano... - wczytał się w kolejną informację - niejakiego Władysława Nowickiego. Był pod wpływem alkoholu, w wydychanym powietrzu miał ponad pół promila. Zakończyłoby się zatrzymaniem prawa jazdy, ale przy okazji się okazało, że facet brał udział w kradzieży karpia ze stawów pod Zieloną Górą.
- Wiózł te karpie na sprzedaż czy jak? Trochę późno...
- Nie, sprawa wyszła w ogóle kilka dni później. Poszedł na współpracę i dostał zawiasy.
- Coś jeszcze?
- Taak... - Eliasz przeciągnął sylabę, wpatrując się w dane na ekranie. - Ale nie wiem, czy to ma znaczenie. Osobą, która usilnie wzywała karetkę i policję, był Krzysztof Lutyński. Zeznawał potem w sprawie Niemczyckiej, to znaczy wtedy Mazurek.
- Lutyński? - Kmita zerknął na tablicę. - Przechodzień? Jakiś kierowca?
- Sprawdzam... - Eliasz przeklikał coś w komputerze. - Nie. Zeznał, że szedł tamtędy. Nie był świadkiem zdarzenia, ale zainteresował się, bo ktoś koło tej dziewczyny stał. Wyglądało to tak, jakby ją okradał. Spłoszył tego kogoś, wezwał służby i czekał. Żadnych powiązań z pozostałymi.
- Dobra. - Kmita nabrał w płuca powietrza, jakby szykował się do skoku na głęboką wodę.
- W takim razie musimy dotrzeć do informacji, co działo się z pozostałymi ofiarami w Wigilię dwanaście lat temu. Coś musi je łączyć. Musi! - Zniecierpliwionym ruchem uderzył pięścią w tablicę. - Dochodzeniówka w terenie, dzielnicowi też. Teraz możemy tylko czekać...
- Aha, mam jeszcze info od techników. W torebce Kingi Czackiej znaleziono mikronadajnik.
- O czym ty mówisz, Eliasz? - Widząc, że sierżant już spieszy z wyjaśnieniami, nerwowo machnął ręką. - Wiem, co to mikronadajnik! - Uprzedził oczywisty w przypadku Eliasza wykład. - A kimże jest ta cała Czacka, że ktoś chciał monitorować każdy jej krok? Do akcji wkroczył zazdrosny mąż? Odrzucony zalotnik? A może to nowa metoda na złodzieja, o której my, jak zwykle zresztą, dowiadujemy się jako ostatni?
- Mikronadajnik był po prostu na dnie torebki. Ani schowany, ani zaszyty... Zresztą sam pan wie, że w przypadku babskiej torebki nie ma sensu specjalnie się wysilać, żeby coś ukryć,

schoro kobiety noszą w niej wszystko. Nadajnik przypomina tę malutką, płaską i okrągłą baterię, ma zbliżoną do niej średnicę, więc nawet jakby go przypadkiem tam znalazła, pomyślałaby, że to nic nadzwyczajnego. Tyle tylko, że technikom przedmiot wyglądał znajomo, bo podobnych używają „rządowi”. Nie wydaje się panu, że to tylko potwierdza...

– Czekał ktoś namierzał... – przerwał mu Kmita, nie chcąc otwarcie potwierdzać domysłów Eliasza. Przede wszystkim dlatego, że w jego toku myślenia kolejne kawałki układanki zaczynały tworzyć podobny wzór. – Coś ją łączy z poprzednimi ofiarami?

– Na ten moment wychodzi, że nic. Mieszkała w innej niż pozostali części miasta, pracowała w biurze rachunkowym, nienotowana.

– Jakies mandaty?

– Nie miała nawet prawa jazdy. W dokumentach był tylko bilet sieciowy na komunikację miejską.

– Ale zamordowano ją właśnie dziś. – Kmita wbił w Eliasza pytające spojrzenie. – To siódma ofiara... – Z namysłem podrapał się po karku. – Słuchaj, Eliaszu... Gdzie są rzeczy tej rejestratorki? No, tej, która miała w rękach grudę tego świństwa...

– Wszystko jest w laboratorium.

– Dobrze. Podobny nadajnik mógł być także w jej torebce, a jeśli nie, niech technicy dokładnie przeszukają należący do Niemczyckiej samochód. Niewykluczone, że i ona była w jakiś sposób namierzana. Zaraz wracam. – Uniósł w górę telefon, jakby ten gest miał wystarczyć za wyjaśnienie, i wyszedł z biura.

Na korytarzu odszukał numer do aspirant Węgrzyn z prewencji. Elka pracowała przez jakiś czas z Chotowskim. Ktoś kiedyś nawet bąknął coś o tym, że nie tylko praca ich łączy, jednak ona sama szybko i definitywnie to zdementowała. Faktem było, że z Jerzym mieli bardzo dobry kontakt, co właśnie chciał teraz wykorzystać Kmita. Nacisnął zieloną słuchawkę i chwilę czekał, aż ona odbierze.

– Jezu, Rysiek... – Usłyszał po chwili jej zdziwiony i nieco przestraszony głos. – Coś się stało?

– Nic, nic, wszystko jest okay – uspokoił ją. – Przede wszystkim przepraszam, że przeszkadzam w wigilii, ale... – zawahał się przez moment, a potem dodał: – Możesz w ogóle rozmawiać? Dręczy mnie jedno pytanie i nie za bardzo wiem, gdzie zasięgnąć informacji. Pomożesz?

– Poczekaj – odparła. – Odizoluję się tylko od bachorni, zjechała ich tu chyba cała armia... – sapnęła. Pół minuty później zapytała: – No, co tam?

– Ela, tylko proszę, nie zrozum mnie źle... – zastrzegł.

– No nieźle się zaczyna. – Parsknęła śmiechem. – Pytaj, najwyżej nie odpowiem.

– Chodzi o Jurka Chotowskiego.

– Tak? Co z nim?

– Wiem, że jesteście w dobrych stosunkach, by nie powiedzieć zażyłości, i...

– Rysiek, błagam, no! – jęknęła ze zniecierpliwieniem. – Przyspiesz.

Kmita nabrał oddechu i wyrzucił z siebie:

– Jurek żył w Przylepie z jakąś kobietą i jej córką z poprzedniego małżeństwa. I podobno ta córka nie żyje... Jakiś wypadek, zdaje się... Nie wiesz, jak się ta córka nazywała?

– A ty skąd o tym wiesz?

– Odpowiedz.

– Skąd o tym wiesz? – powtórzyła Elka, już wyraźnie poirytowana.

– Ela, proszę, odpowiedz na moje pytanie – uparł się. – Czy to prawda?

– Najpierw powiedz mi, o co dokładnie ci chodzi.

Kmita zrozumiał, że nie ma wyjścia. Aspirant Węgrzyn umiała trzymać gębę na kłódkę, a warunkiem otwarcia tej kłódky było wprowadzenie jej w temat.

– Pewnie wiesz, co się dziś na mieście dzieje? – zapytał, a raczej się upewnił. Ponieważ usłyszał w słuchawce jej potaknięcie, ciągnął: – Zdaje się, że sprawa dotyczy jakiejś historii sprzed dwunastu lat, w której kluczową rolę odgrywa młoda kobieta pobita ze skutkiem śmiertelnym. Obawiam się, że ktoś z firmy, w sensie z policji albo prokuratury, macza palce w tym dzisiejszym „sądzie ostatecznym”. Wiem, że fatalnie to brzmi, ale mam pewne podejrzenia i wołałabym jak najszybciej odrzucić bezpodstawne hipotezy. A o Jurku po prostu się dowiedziałem przy okazji... – wyjaśnił. – Że wśród nas – celowo użył tego zaimka – tylko on miał takie doświadczenia. Więc? Pomożesz mi?

Ela chwilę milczała, jakby przetrawiała słowa komisarza. Chyba ją przekonał, bo sapnęła ze złością:

– Co za bzdury! Cholerni plotkarze... Ale okay, szczerłość za szczerłość – oznajmiła. – Z Jurkiem to, po pierwsze, nie było dwanaście, tylko osiem lat temu. Po drugie, nie chodziło o żadną córkę. Jurek pojechał wtedy na miejsce, gdzie znaleziono zaćpanego narkomana. Leżał z głową wdeptaną w błoto. Gdy go odwrócili, okazało się, że to syn kobiety, z którą Chotowski wówczas żył, i nie w Przylepie, tylko tu, w Zielonej Górze. Chłopaczek był młodziutki, miał jakieś siedemnaście lat... Jurka kompletnie poskładało, bo naprawdę lubił tego smarkacza. Ale tam był jakiś większy problem, dzieciak chyba wyszedł zdrowo poturbowany z poprzedniego związku matki, miał nawet próbę samobójczą na koncie. Chotowski liczył, że go jakoś wyprowadzi, ale nie zdążył. Matka tego chłopaka parę miesięcy potem się zwinęła i wyjechała za granicę. Jedno, co się zgadza...To, że teraz Chotowski mieszka w Przylepie z jakąś kobietą. Resztą Jurek niechętnie się dzieli. Sama wysyłałam go do psychologa, ale odmówił. Że niby sam sobie poradzi, ale... – westchnęła – jakoś kiepsko mu szło. Aktualnie jest już dobrze, a na pewno lepiej.

– Sporo o nim wiesz...

– Wystarczająco – ucięła. – Jeszcze coś?

– Nie, dziękuję ci bardzo, tyle mi wystarczy – zapewnił ją Kmita z wyraźną ulgą. – I przepraszam, że zwracałem ci głowę w Wigilię, ale po prostu musiałem to zweryfikować.

– Taka to gówniana robota – odparła. – Trzymaj się. Pogadamy po świętach. Pa!

– Pa... – odparł nieuważnie Kmita i zakończył połączenie.

Jurek Chotowski chyba właśnie został skreślony z listy potencjalnych zabójców korzystających z zasłony dymnej w postaci policyjnej odznaki. Za to na prowadzenie znów

wysunął się Śliwiński, który praktycznie co zbrodnia, to wzbudzał więcej podejrzeń i wątpliwości. I ta dziwna „ucieczka” ze stacji paliw... Gdzie wtedy był i co robił?

Kmita wrócił do biura i w tym momencie zadzwonił jego telefon. Szybko odebrał.

- Jestem.

- Zakrzewski z tej strony - usłyszał.

- Wiem przecież. - Kmita westchnął z tłumioną irytacją. - I co?

- Sporo było do przewalenia, ale coś pokleiliśmy.

- Świetnie. No to dawaj.

- Przez telefon? - Zawód w głosie Zakrzewskiego był nad wyraz czytelny. - Myślałem, że pojeździsz do biura, pogadamy na spokojnie i...

- Darek, nie mamy czasu na spokojne gadanie. Nie jestem pewien, czy za moment znów nie trzeba będzie zająć się czyimiś zwłokami.

- Zapamiętasz? - powątpiewał Darek.

- Zakrzewski, no do kurwy nędzy! - wściekł się Kmita.

- Tak tylko pytam... Zacznijmy od rejestratorki. - Zakrzewski nabrał oddechu, ale wtedy Kmita niemal wszedł mu w słowo:

- Poczekaj, bo powinien słyszeć cię też Eliasz.

Niemal biegiem wrócił do biura.

- Eliasz! Notujemy! - polecił i włączył głośnik.

- Mamy w tym momencie sześć ofiar - zaczął Zakrzewski.

- Powoli, powoli... - mitygował Kmita. - Będąc precyzyjnym, to już siedem. Ale po kolei - nakazał. - Będziemy to zapisywali na tablicy. - Położył telefon na biurku i podszedł do białej taflii. Sięgnął po kolorowy ścieralny mazak i odezwał się: - Dawaj.

- Licząc od rana, to Sawicki, Ulewicz, Błaszczak, Białek, Niemczycka i Grzelak. Tak jak mówiłeś, ustawiłem sobie algorytm na powtarzalność daty sprzed dwunastu lat na podstawie spraw Niemczyckiej i Błaszczaka. W tym czasie, kiedy Niemczycka, a wtedy jeszcze Mazurek, była zatrudniona na stacji pogotowia jako dyspozytorka, a Błaszczak pracował na komisariacie przy Szarych Szeregów, pan doktor dyżurował na urazówce, a mechanik był tym samym mechanikiem. Policjant i dyspozytorka zlekceważyli temat wypadku, ona dostała dyscyplinarkę, on naganę. Ofiarą ich zaniedbań była Małgorzata Radecka, lat dwadzieścia sześć, panna.

- Tyle to już wiemy - sapnął Kmita. - Powiedz mi coś nowego.

- Pracowała wtedy w firmie, w której był zatrudniony także Eryk Grzelak. Zwolnił się pięć lat temu.

- O... - Eliasz się ożywił. Spojrzał na Kmitę z nadzieją i już otwierał usta, żeby to szerzej skomentować, ale komisarz zgromił go niecierpliwym gestem ręki i przytknął palec do ust, nakazując milczenie.

- Radecka zmarła na oddziale, na którym pracował Ulewicz - ciągnął Zakrzewski. - Co ciekawsze, Seweryn Białek był klientem, i zresztą nadal jest, tej firmy, w której pracowali właśnie nasza Radecka i Grzelak. W żaden sposób nie mogę, póki co, połączyć Sawickiego, no, tego mechanika. Facet nienotowany, żadnych spraw, choćby skarbowych. Jak z innej bajki.

- Nad tym specjalnie się nie skupiaj - zalecił Kmita. - Nim zajmiemy się po świętach. Może Cichocki się czegoś doszuka i w ogóle zdejmemy go z tej listy. - Nagle jakby coś sobie przypomniał. - A co w ogóle było z tą Radecką? Wiemy, że padła ofiarą ciężkiego pobicia i zmarła w szpitalu. Ale co dalej?

- Sprawa Radeckiej, z braku choćby poszlak, została niespełna pół roku później umorzona.

- Kto ją umorzył?

- Czekaj... - Po drugiej stronie było słychać charakterystyczny stukot klawiszy. - Ludwiczak - odparł po chwili Zakrzewski.

- Szef prokuratury, od czterech lat na emeryturze... - mruknął pod nosem Kmita. - Podobno Wolski się o to wystarał? - Miał na myśli poprzednika Burszty - Śledztwo w sprawie Radeckiej umorzono po sześciu miesiącach, bo nie było żadnych poszlak, hipotez, świadków, śladów... Niczego, jak twierdzi Śliwiński. Na miejscu Wolskiego też chyba uznalibyśmy, że to jedyne na tamten moment rozwiązanie.

- Ale Wolski wnioskował dwa razy o możliwość wydłużenia czasu trwania śledztwa, najpierw standardowo po trzech miesiącach, a potem po kolejnych trzech - zaprzeczył Zakrzewski. - Za drugim razem na umorzenie mocno naciskał prokurator.

- Ludwiczak naciskał? Dziwne - zastanowił się Kmita. - Skoro za pierwszym razem się zgodził, to co mu szkodziło...

- Nie, nie Ludwiczak - przerwał mu Zakrzewski. - On tylko to klepnął, a wojnę rozpętał Gerard Śliwiński.

Komisarz stężał.

- Darek, zaraz u ciebie będę - zakomunikował po chwili i wyszedł z biura, pozostawiając w nim równie oszołomionego Eliasza.

## Ulica Wrocławska

Starszy i wyraźnie schorowany mężczyzna jeszcze raz przejrzał się w lustrze wiszącym w przedpokoju i z lubością wygładził poły niedawno kupionej marynarki. Dobrze wyglądał, naprawdę bardzo dobrze. Do marynarki doskonale pasowały ciemne spodnie i śnieżnobiała koszula, którą zdobił wzorzysty krawat – prezent od synowej. Kontrolnie dotknął prawej kieszeni odzienia i upewnił się, że niewielka buteleczka jest na swoim miejscu, pod ręką. Nie przewidywał jakiegoś specjalnego wydarzenia, ale w jego przypadku wystarczy większe wzruszenie. No bo jak tu się nie wzruszać, gdy siedzi się przy stole z całą rodziną? Syn tak pięknie się urządził, dom nieduży, ale dobrze zaplanowany dla czteroosobowej rodziny. A on był w nim częstym gościem, bo raz się wnukami zajął, kiedy indziej przy aucie coś pomógł, a czasami wpadał, ot tak, po prostu na kawę i ciasto.

Tak bywa, że to, co uważamy za koniec świata, wiedzie nas ku lepszemu... Kiedyś los mu dał ostrzeżenie – poszedł na współpracę i dostał tylko zawiasy. Może gdyby wtedy ten górniarz tak go nie wkurzył, nie przejechałby skrzyżowania na czerwonym świetle. To miała być zwykła kontrola trzeźwości, ale rybi smród wzbudził podejrzenia. Po nitce do kłębka i... Ale dobrze się stało. Syn za kilka miesięcy się żenił, a ojciec na odsiadce mógł wszystko popsuć.

Usiadł na niewielkim taboreciku i, starając się nie schylać za mocno, przy pomocy łyżki wsunął stopy w buty. Wstał powoli i włożył płaszcz. Sięgnął jeszcze po torbę z łakociami dla dzieciaków i w zasadzie był gotowy do wyjścia. Kontrolnie spojrzął na zegarek: do odjazdu autobusu miał jeszcze co najmniej dwadzieścia minut, ale lubił być przed czasem. To go uspokajało. Klepnął dłonią w kieszeń spodni i, wyczuwszy kształt smartfona, uśmiechnął się. Można iść.

Po chwili był już na korytarzu i zamykał drzwi, na których widniała tabliczka „Władysław i Maria Nowiccy”. Ta sama od ponad trzydziestu pięciu lat, mimo iż Maria przestała tu mieszkać, gdy tylko Polska weszła do Unii i można było legalnie wyjechać za pracę. Pojechała szukać tej pracy, a wkrótce się okazało, że znalazła także nową rodzinę. Został sam, z dorastającym chłopakiem i jedną, śmiesznie niską pensją. Co miał zrobić? Kombinował, szukał okazji, bo inaczej nie dałby rady. Miał jeden cel – przetrwać. Żeby przetrwać, trzeba walczyć i na nic się nie oglądać. A tamta historia z Krzyśkiem? Głupio mu się zrobiło, gdy się dowiedział, jaki był jej finał. Ale sam świata nie zbawi, więc niech każdy pilnuje swojego nosa.

Na przystanku znalazł się pięć minut później. Pod daszkiem dostrzegł siedzącego mężczyznę. Nie patrzył na niego, wzrok miał wbity w przejeżdżające z rzadka samochody. Nowicki usiadł ostrożnie obok i postawił sobie torbę na kolanach. Chwilę siedzieli w zupełnej ciszy, aż zamyślony mężczyzna się odezwał:

– Ale się ci ludzie spieszą... – mówił głośno, ale chyba tylko do siebie. A może w ten sposób chciał po prostu zagaić rozmowę? Dwóch samotnych mężczyzn na przystanku w wigilijny wieczór zmierzających do swoich bliskich, warto w takiej chwili zamienić kilka słów. – Jakby



nie było nic ważniejszego niż to, że zaraz siądą do stołu i napchają brzuchy – prychnął i dopiero wtedy spojrzął na Nowickiego.

– No fakt, strasznie im się spieszy – zgodził się Nowicki. Poczul się zachęcony do rozmowy, więc ciągnął: – Powiem panu, że ja jestem po zawale. Po czymś takim to już nigdzie się człowiekowi nie spieszy, bo i dokąd? – zapytał. – Do grobu chyba – odpowiedział sam sobie, uśmiechając się z rezygnacją.

– Co prawda, to prawda... – Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem i również się uśmiechnął. A potem w jego wzroku pojawiło się coś niepokojącego. – Niby święta, wybaczenie, wolne miejsce dla zbłąkanego wędrowca, ale jakby mogli, to by tego wędrowca zostawili na śniegu, żeby zdechł z zimna i głodu.

Nowicki pod wpływem jego wzroku poczul się nieswojo.

– No, ludzie są różni – odparł cicho i zerknął na zegarek. Jeszcze siedem minut... Oby tylko ten człowiek nie wsiadał do tego samego autobusu, co on. Wzbudzał irracjonalny lęk.

– A wie pan, że jednego roku, pamiętam, to ktoś umierał na ulicy i nikt mu nie pomógł? I powiem panu, że to w samą Wigilię było...

– Kto? – Nowicki aż się wyprostował.

– A nie wiem. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Mówili potem, że gdyby ktoś wcześniej karetkę wezwał, to człowieka by uratowali. A tak to... – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Ja nie rozumiem, jak można kogoś zostawić bez pomocy. Tak bez mrugnięcia okiem pojechać dalej, jakby mijało się śmieć leżący na drodze. – Mówiąc to, mężczyzna nieznacznie przysunął się do Nowickiego. Teraz już prawie stykali się ramionami. – Bo tak wygodniej? A może ze strachu, bo nieczyste sumienie gnało?

Nowicki spojrzął dookoła, ale nigdzie nie było widać żadnego przechodnia. Kierowcy mijających ich samochodów skupiali się na drodze, a nie na rozglądaniu się po bokach. Zresztą sama wiata przystanku stała dość daleko od krawędzi jezdni i było już ciemno. Gwałtownie wstał.

– Wie pan – uśmiechnął się z wysiłkiem. – Tak myślę, że ja to chyba szybciej piechotą dojdę. To tylko dwa przystanki – skłamał. – W sumie całkiem blisko, po co marznąć? Wszystkiego dobrego na święta życzę.

– Do Raculi? Dwa przystanki? Nowicki, obaj wiemy, dokąd jedziesz...

Nowicki rozejrzał się w popłochu. To jakiś wariat! A co gorsza wariat, który zna jego i jego bliskich. Skąd w przeciwnym razie by wiedział, gdzie mieszka syn z rodziną?

Aż podskoczył, gdy usłyszał warknięcie:

– Siadaj! – Poczul, że mężczyzna mocno pociągnął go za rękaw. – Ty też się wtedy tak na wigilię spieszyłeś?

– O czym pan mówi... – Serce Nowickiego zaczynało bić coraz pręcej, coraz mocniej i zarazem boleśniej. Znajomy ucisk w klatce się nasilał, jakby zapowiadając jedyny w tej sytuacji scenariusz.

– Ktoś leżał na ulicy, potrzebował pomocy, a ty pojechałeś dalej. I po co? I tak cię zgarnęli. A wystarczyło się zatrzymać albo chociaż zadzwonić. Może wtedy sprawy potoczyłyby się inaczej? Nie byłoby problemów, nie byłoby wyroku, a twoje serce byłoby w lepszej kondycji.

Nowicki z przerażeniem sięgnął do kieszeni po fiolkę z nitrogliceryną. Ręce trzęsły mu się tak, że mała tabletką wysliznęła się pomiędzy palców i najpierw potoczyła się po nogach, a potem upadła na ziemię.

- Ja... Ja naprawę... Moje lekarstwo... - wysapał niemal niedosłyszalnie. - Moje serce... Muszę...

- Nowicki, nie ekscytuj się tak. - Napastnik się uśmiechnął, ale jego oczy pozostały dziwnie martwe i puste. - Zaraz dostaniesz swoje lekarstwo - dodał uspokajająco.

Umiejętnie odchylił Nowickiemu głowę do tyłu i palcami lewej dłoni otworzył jego usta. Wprawnym, zdecydowanym ruchem umieścił mu pod językiem niewielką tabletkę.

Nowicki odruchowo przymknął oczy, spodziewając się błyskawicznej ulgi, ale w tym momencie serce znów gwałtownie przyspieszyło, nadając pulsowi niespodziewaną siłę. Z niedowierzaniem i przerażeniem popatrzył w oczy mężczyzny, ale już wiedział: to, co znalazło się pod jego językiem, nie było nitrogliceryną. W uszach pojawił się szum, a kłujący ból w klatce uniemożliwił oddychanie. Czuł, jak jego serce rozpada się na miliony kawałków, a fala gęstej, gorącej krwi rozlewa się po jego wnętrzu.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

– Panie komisarzu, zrobiłem her..

– Co to, kurwa, jest?! – krzyknął Kmita i walnął trzymanymi papierami w biurko Eliasza. Sierżant aż się skulił. – Jeszcze jeden taki numer i zanim Burszta zwolni mnie, ja zwolnię ciebie!

Sierżant nie musiał specjalnie się przyglądać, żeby wiedzieć, co tak rozzłościło komisarza. Tuż przed nim leżał raport poświadczający, że w ciągu dwóch ostatnich dni telefon Burszty logował się do stacji BTS najpierw na trasie do Trójmiasta, a potem – kilkakrotnie – w samym Gdańsku.

– Co ty masz w głowie, człowieku?!

– Chciałem tylko panu pomóc – wymamrotał sierżant.

– Pomóc?! Idąc do techników i każąc im weryfikować numer Burszty?!

– Chłopcy od Adamskiego mają u mnie dług. – Eliasz odważył się nieśmiało spojrzeć na Kmitę. – Miało być... hmm... dyskretnie.

– No i było cholernie dyskretnie! Bo jeden z tych cymbałów zaczął mnie przed chwilą na korytarzu, dał te papiery i poprosił, żebym „przy okazji” przekazał je tobie – sapnął Kmita i zaczął krążyć po pokoju. – Eliasz, bardzo cię proszę, nie pomagaj mi więcej, okay? A na pewno nie w ten sposób. – Podbródkiem wskazał na przyniesione przed chwilą dokumenty i usiadł za biurkiem. – Zresztą już wiem, że Burszta będzie tu jutro po południu. Komendant poinformował mnie oficjalnie, że podinspektor przyleci z Gdańska pierwszym lotem, a posterunkowi z Babimostu mają go przywieźć do Zielonej Góry około piętnastej... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wolę nawet nie myśleć, jakie piekło nam jutro zgotuje, skoro nie powiedział mi o tym osobiście, tylko temat szedł przez samego komendanta.

– Będzie dobrze, panie komisarzu, mówię panu – powiedział Eliasz. – Burszta nie jest przecież aż tak głupi i zajadły. Wie, jak jest, skoro postarał się o zgodę na zaangażowanie dochodzeniówki. – Otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, ale zawahał się i sięgnął po kubek z herbatą. Drugi, z wciąż ciepłym naparem, stał na biurku Kmity.

Sierżant upił kilka łyków, nie odrywając wzroku od komisarza. Kmita to raczej wyczuł, niż zauważył, i zapytał wprost:

– No co jest?

– Pogrzebałem w sprawie tego mechanika z Grunwaldzkiej.

– Obawiam się, że na ten moment nie mamy zbyt wiele do zrobienia. – Komisarz wzruszył ramionami.

– No niezupełnie. Technik chwilę temu przesłał mi szczegóły dotyczące właścicieli samochodów, które aktualnie były w warsztacie na Grunwaldzkiej.

– Coś ciekawego?

- Moim zdaniem tak... - Eliasz uśmiechnął się z satysfakcją. - Na podnośniku stało audi należące do niejakiego Tobiasza Michalaka. Wyglądało to tak, jakby właśnie w związku z tym autem mechanik w Wigilię pojawił się jeszcze w warsztacie. Żona też mówiła, że miał coś pilnego, bo klient chciał jechać samochodem poza Zieloną Górę.

- No i?

- Tobiasz Michalak to siostrzeniec Śliwińskiego - wyjaśnił Eliasz. - Był na komendzie i wydierał się, że chce odzyskać swój samochód, a warsztat jest zabezpieczony. Odgrażał się, że zgotuje tu niezły młyn.

- Co zrobił dyżurny?

- Spuścił go po brzytwie. Kazał się zgłosić do nas po świętach.

- I prawidłowo. Swoją drogą, coś za dużo tych zbiegów okoliczności - sapnęła Kmita. - Śliwiński nic o tym nie wspomniał?

Eliasz pokręcił przecząco głową.

- Może nie wiedzieć, jakim samochodem jeździ siostrzeniec i czy jest aktualnie w naprawie. Znaczący samochód, a nie Michalak - uściślił z wyraźnym rozbawieniem. Kmita przewrócił oczami. - Ale nawet przy mnie przeglądali rejestr napraw, tam było wszystko zapisane, włącznie z terminem odbioru, a on się nawet nie zająknął.

- Zdaje się, że pan Śliwiński ma jeszcze sporo tajemnic, którymi nie jest łaskaw się podzielić. W takim razie po świętach przyjrzymy się bliżej im obu... Sami - zaznaczył Kmita. - Nie chcę tu niepotrzebnego zamieszania i plotek. - Spojrzał znacząco na Eliasza. - Mam dziwne wrażenie, niemal na granicy pewności, że ktoś taki jak prokurator może być tu istotnym ogniwem.

- Chodzi o dostęp do informacji?

- Dokładnie. Sprawca czy sprawcy mieli doskonałe rozeznanie w kwestii życia osobistego swoich ofiar. Właściciel warsztatu pracował zwykle od siódmej, jak się okazuje, nawet w święta. Ta kobieta z Kozuchowskiej według zeznań męża wracała z biura, bo w Wigilię zawsze pracowała normalnie, a po drodze robiła jeszcze ostatnie zakupy. Wigilię mieli spędzić w domu we trójkę, z córką, jak co roku zresztą. Właściciel firmy wrócił do pustego domu, w którym mieszkał samotnie od dwóch lat - odczytywał Kmita z notatek. - Kolejna ofiara, Błaszczak, był w Wigilię w domu tylko z żoną, bo córka z mężem i dzieckiem nie dojechali. Jak w zeszłym roku - zaakcentował - i dwa lata wcześniej. Następna: rejestratorka. Razem z mężem i dwoma pasierbami Wigilię spędzali razem, nazajutrz chłopcy jechali do dziadków, do Sulechowa. Jak co roku, od prawie pięciu lat. Lekarz, znaleziony jako druga ofiara. Tu znów schemat powtarzalności: rozwiedziony, zabierał dzieciaki w drugi dzień świąt i byli razem do sylwestra, z reguły gdzieś wyjeżdżali na narty. Co roku, od ośmiu lat. Ktoś się cholernie napracował, żeby to wszystko poskładać do kupy i uwinąć się w jeden dzień. Zastanawia mnie coś innego: żadne zwłoki nie były ukryte, leżały wręcz na drodze. Widział je każdy, kto tamtędy szedł.

- Że niby na widoku?

- Tak.

- Może o to chodzi?

- To znaczy?

- Patolog twierdzi, że ofiary, większość z nich przynajmniej, nie umierały od razu. Jakby zabójca celowo dawał im czas. Ktoś mógł je znaleźć i udzielić pomocy. A wie pan, jaka panuje znieczulica. Zero empatii, każdy skupiony na sobie, nawet w te cholerne święta! Raz widziałem taki eksperyment społeczny, że...

Dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon sierżanta. Odebrał błyskawicznie.

- Eliasz. Mów! - nakazał, nie odrywając oczu od komisarza. - Zaraz tam będziemy... - dodał po chwili z rezygnacją i zakończył połączenie. - Kolejny meldunek i... - zwrócił się do Kmita.

- Kolejny trup? - zapytał ten domyślnie. Dziś już zresztą nie spodziewał się niczego innego. - A raczej kolejne zabójstwo... Gdzie?

Sierżant patrzył na niego z wyraźną obawą, gęsto mrugając.

- Eliasz... Naprawdę mamy czas na takie zgadywanki? - zirytował się Kmita.

- Na Wrocławskiej - odparł sierżant. - Pod naszym nosem, na przystanku...

- Tu?! - Kmita aż wstał. - Na tym przy komendzie?!

- Nie... Na tym niżej, przy skrzyżowaniu z Lwowską. Mężczyzna. Siedział taki skulony, jakaś kobieta wysiadła z autobusu, zobaczyła go i pomyślała, że facet pijany i śpi. Chciała go obudzić, potrząsnęła za ramię, a on wtedy upadł twarzą na chodnik. Jej mąż wezwał pogotowie, oni nas. Jedziemy? - westchnął.

Komisarz powoli wkładał kurtkę. Myślam zdawał się przebywać bardzo daleko.

- Co jest?

- Powiedz mi, Eliasz... - Kmita miał opuszczoną głowę i wzrok wbity w leżące na swoim biurku dokumenty. - Jak, do cholery, można w jeden dzień dokonać tylu zbrodni?

- A skąd pan wie, że to kolejna ofiara do naszej... - zawahał się - kolekcji?

- A ty myślisz inaczej?

- Nie wiem, co powie Cichocki. Ale jeżeli jest tak, jak pan mówi, to...

Kmita podniósł na niego wzrok.

- To co?

- To ta wersja zdarzeń zaczyna nabierać głębszego sensu. No, wie pan, że to ktoś od nas...

# Ulica Wrocławska

Nawet nie brali samochodu. Do przystanku, na którym znaleziono kolejne zwłoki, dotarli w niespełna pięć minut. W zatoczce autobusowej na migających światłach stał ambulans i nieco dalej radiowóz. Niżej, na chodniku, zaparkowali swój samochód technicy. Wokół ciała był już widoczny ruch – ekipa starannie zbierała ślady, choć biorąc pod uwagę okoliczności znalezienia ciała i samo miejsce, nie można było liczyć na spektakularny sukces. Cichocki, kucając, dokładnie oglądał głowę denata.

Kmita rozglądał się chwilę, a gdy dostrzegł prokuratora, od razu do niego podszedł.

– Ósme ciało – powiedział. – Jakież wnioski? Przemyslenia? – rzucił prowokacyjnie.

– A nie za wcześnie?

– Nie wiem. – Kmita wzruszył ramionami. – Ale zastanawia mnie coś innego...

– A mianowicie?

– Jak to się dzieje, że za każdym razem właśnie pan jest na miejscu zdarzenia? – Kmita spojrział na Śliwińskiego z uwagą. Prokurator miał nieprzenikniony wyraz twarzy. – A może czekał pan w biurze na kolejne wezwanie? Pytam, bo wygląda to tak, jakby przypadkiem był pan w pobliżu.

– A co to w ogóle ma do rzeczy?

– Skoro pytam, to najwyraźniej coś ma.

– Znowu pan zaczyna? – westchnął Śliwiński. – Panie komisarzu, ja naprawdę rozumiem, że ta Wigilia jest dla wszystkich cholernie ciężka, ale to wciąż nie jest powód, żeby z bezsilności obrzucał mnie pan podejrzeniami. – Ponieważ Kmita nie odrywał od niego wzroku, wyjaśnił: – Gdy mnie wezwano, byłem w zetemesie u Cichockiego. Przyjechaliśmy tu razem.

Kmita nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przez całą rozmowę na twarzy Śliwińskiego błąkał się ledwie zauważalny drwiący uśmiech. Z komisarza zeszło powietrze. Zagryzł nerwowo usta i odszedł w stronę pracującej ekipy techników.

\* \* \*

– Władysław Nowicki... – Kmita odczytał dane z dowodu osobistego. Kilka razy uderzył plastikiem w otwartą dłoń, a potem spojrział na Eliasza. – Brzmi znajomo, prawda?

– To ten, którego zatrzymali tamtego dnia w związku z kradzieżą na stawach rybnych. – Eliasz przypomniał, z jakiego powodu sprawa Nowickiego pojawiła się wśród odnotowanych dokładnie dwanaście lat temu. – Ale co mają karpie do śmierci dziewczyny?

– Kolejna rzecz do sprawdzenia.

– Czyli co? Zakrzewski? – Eliasz domyślił się dalszego ciągu.

– Zakrzewski – potwierdził Kmita i podszedł do Cichockiego.

- Co jest? - zapytał pochylonego nad ciałem patologa.

- Objawy wskazują na zawał, ale dziś już niczego nie jestem pewny - powiedział Cichocki, zdejmując z dłoni rękawiczki. Wyprostował się i spojrzał na komisarza. - Pod językiem został spory fragment nierozpuszczonej tabletki.

- Nitroliceryna?

- Niestety, nie. - Patolog pokręcił przecząco głową. - Nitro jest biała i nie ma zaznaczonych linii podziału. To przede wszystkim... A ta pozostałość jest ewidentnie niebieska.

- Wziął viagrę?!

- Głupi jesteś? - zdębiał Cichocki. - Stawiam na amfetaminę, ale potwierdzą to dopiero badania toksykologiczne. Obok ciała faktycznie leżała tabletką wyglądająca na nitro, a w odgarniętym śniegu chłopcy znaleźli fiolkę tego akurat leku, więc niewykluczone, że chciał ją zażyć, ale nie zdążył.

- A może ktoś mu na to nie pozwolił?

- Tego też nie można wykluczyć. Jeżeli zawałowiem dostał pod język amfetaminę, skutek był łatwy do przewidzenia. Pytania?

- Inne obrażenia? Oznaki walki, szarpaniny, pobicia? Alkohol?

Cichocki pokręcił przecząco głową.

- Tylko rozbita głowa na skutek upadku z ławki przystanku. Ale wtedy był już prawdopodobnie martwy. - Zerknął w stronę wozu, do którego technicy pakowali już zabezpieczone ciało. - Dobra, ja się zbieram. Zaraz przyjrę się temu na spokojnie, dokładnie u siebie. Zresztą i tak wigilię już szlag trafił...

Odszedł kilka kroków, gdy Kmita go dogonił i przytrzymał za ramię.

- Słuchaj... - zaczął i rozejrzał się wokół. Prokurator stał dobre kilka metrów od nich, więc zapytał półgłosem: - Po co Śliwiński był u ciebie w zakładzie?

- Pytał, czy z którychkolwiek poddanych dziś autopsji zwłok pozyskałem jakiś materiał biologiczny - odparł patolog. - A zabrał się z nami, bo był bez samochodu. Może już wypił biforka przed wigilią i wziął taksówkę... - zakpił.

Kmita pominął tę sugestię milczeniem, bo doskonale wiedział, dlaczego prokurator nie dotarł do zetemesu swoim samochodem.

- Nie mógł po prostu zadzwonić? - dopytał.

- Rysiu, ja będę z prokuratorem dyskutował? Ja?! - roześmiał się Cichocki. - Chciał, to przyjechał, ma do tego prawo, prawda?

- A coś znalazłeś?

- Nic. Wszyscy, ci wcześniejsi i ci ostatni, czyści jak łąza. Niebiologicznych zresztą też nie znalazłem.

- Bardzo był zły? - Kmita miał w pamięci zachowanie prokuratora, gdy policja albo patolog nie dostarczali mu mocnych dowodów, na których mógłby oprzeć swoje postępowanie. Mówiąc najogólniej, nie znosił tego łagodnie.

- Czy ja wiem? - Patolog zastanowił się przez moment. - Miałem wrażenie, że chciał się tylko upewnić.

- Nie rozumiem... Jak to: upewnić? W czym?

Cichocki również zerknął ukradkiem w stronę prokuratora.

– Jak wszedł, od razu zapytał, czy będzie na czym pracować, bo nie chce poszlakowego. Powiedziałem, że poza tym, co dotyczy samych ofiar, nic nie ma, że wciąż szukam. Chciałem go zapytać, skąd to nagle zainteresowanie na tym etapie, ale wtedy po nas zadzwonili. Śliwiński, gdy już szliśmy do samochodu, stwierdził nagle, że jest potwornie zmęczony. Dokładnie tak powiedział: „potwornie zmęczony”. I że nie spodziewał się, że to wszystko będzie go tyle kosztować.

– Ale co konkretnie miał na myśli?

– Jego zapytaj. – Cichocki wzruszył ramionami i klepnął komisarza w plecy. – To co, do zobaczenia? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ja pierdolę, co za dzień...

Gdy ekipa techników i patolog opuścili miejsce zbrodni, niespodziewanie do komisarza podszedł Śliwiński.

– Proszę powiedzieć któremuś mundurowemu, żeby przyprowadził mój samochód pod komendę – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu i wyciągnął w stronę Kmita rękę z kluczykami. – Obstawiam, że dokładnie pan wie, gdzie się aktualnie znajduje. – Błąkający się w kąciku ust uśmiech świadczył, że Kmita może się z tego długo i wyczerpująco tłumaczyć. – Ja wezwę sobie bolta. – To był już wyraźny przytyk do sytuacji ze stacji paliw.

– To nie chłopcy na posyłki – prychnął komisarz, choć czuł, że jest na straconej pozycji. – A poza tym... nie idzie pan do biura? – zdziwił się. – Tak blisko, że można zaryzykować spacer.

Ręka prokuratora nawet nie drgnęła, za to jedna brew powędrowała nieznacznie wyżej.

– Pozwoli pan, że zaryzykuję jednak udział w rodzinnej wigilii – odparł. – Choćby w niewielkim stopniu. W związku z tym szkoda mi czasu na jazdy w tę i z powrotem.

– A jeśli zabójca zaatakuje ponownie? Jak pan dotrze?

– Bolty jeżdżą w różnych kierunkach – zniecierpliwił się Śliwiński. – I przypominam, że pańskim zadaniem jest nie dopuścić, aby doszło do kolejnej zbrodni – dodał z wyższością. – Czekam – przypomniał o swoim wcześniejszym poleceniu.

Zrezygnowany Kmita nie odebrał podawanych mu kluczyków, tylko przywołał najbliższego stojącego mundurowego zabezpieczającego miejsce zbrodni. Śliwiński uśmiechnął się kpiąco i pokręcił głową z politowaniem dla tej żalostnej demonstracji. Funkcjonariusz, poinformowany o czekającym go zadaniu, posłusznie wziął od prokuratora kluczyki i szybko odbiegł w stronę jednego z radiowozów.

Kmita cierpliwie poczekał, aż po Śliwińskiego podjechał bolt, i ukradkiem zrobił zdjęcie tablicom rejestracyjnym samochodu. Na wszelki wypadek, jak sam sobie tłumaczył. Potem skinął na Eliasza i szybkim marszem wrócili na komendę.



## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

- Cichocki – odezwał się w słuchawce patolog spokojnym tonem. – Możesz gadać?
- Tak, tak, jasne. – Kmita z niejasnych dla siebie przyczyn odruchowo wstał. Ostatnie godziny nie dawały nadziei na to, że jakkolwiek uzyskana tego dnia informacja nie będzie miała oczywistych konsekwencji. – Co tam?
- W jednej sprawie nie będę zbyt pomocny... – zaczął z wyraźnym wahaniem.
- To znaczy? – Kmita odłożył telefon na biurko i włączył głośnik.
- Ten mechanik z Grunwaldzkiej. – W pokoju rozległ się niski głos patologa. – Właśnie skończyłem jego autopsję.
- Dopiero teraz?!
- A kiedy?! – odpalił. – Przy podciętych tętnicach i uduszeniu spalinami, że o gwoździu w klatce nie wspomnę, miałem chyba dość roboty, żeby nie móc wcześniej obejrzyć martwego diabetyka z guzem na potylicy! – Nieznacznie podniósł głos.
- Przepraszam – mruknął Kmita i usiadł ciężko na fotelu. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni... Co z nim?
- Potwierdziło się to, co mówiłem już rano. Przyczyną śmierci z całą pewnością nie był uraz głowy. Ślady na potylicy nie wskazują na użycie żadnego narzędzia, kształt rany i powstałego wylewu wyraźnie sugerują uderzenie o płaską powierzchnię, w tym wypadku betonową posadzkę.
- I co? Tak po prostu sobie upadł po potraktowaniu go taserem?
- Prawdopodobnie. Ale jest jeszcze inna rzecz... – zaczął Cichocki. – Badania laboratoryjne potwierdziły z kolei, że przyczyną śmierci było bez wątpienia przedawkowanie insuliny. Tyle że ja nie znalazłem na ciele denata żadnego śladu wskazującego na sposób jej podania. Wiemy, że gość miał podpiętą pompę, która wydziela wymaganą dawkę. To niezwykle precyzyjne, odpowiednio skalibrowane urządzenie i samoistnie nie poda mniejszej ani większej porcji. W związku z tym wykluczona jest zarówno hipoglikemia, jak i hiperglikemia. A w tym przypadku poziom insuliny musiał zostać wywołany co najmniej trzykrotnie powiększoną dawką, na dodatek podczas jednej aplikacji.
- Może pompa się zepsuła? – zastanowił się Kmita.
- No i tu dochodzimy do sedna. Pompa jest sprawna, ma prawidłowo ustawione parametry, nie widać, żeby ktokolwiek przy niej grzebał. Zasobnik jest pełny, prawdopodobnie został rano przez Sawickiego zasilony. Powstaje pytanie, skąd ta nadwyżka.
- Insulinę da się podać inaczej niż poprzez iniekcję?
- Owszem, można wlać ją do ust, ale wtedy traci ona swoje naturalne właściwości. Ponadto denat miał pusty żołądek, więc także nie zjadł niczego, co mogłoby w taki sposób pobudzić trzustkę. Jestem w martwym punkcie, bo stawiałem na guza trzustki albo marskość wątroby,

ale już to wykluczyłem. Na podstawie swoich badań nie jestem w stanie dać wam powodu do uznania, że śmierć Sawickiego na skutek przedawkowania insuliny była wynikiem udziału osób trzecich.

Kmita się zamyslił.

– Wyładowanie spowodowane przez taser mogło zakłócić pracę pompy? – zapytał po chwili.

– Wykluczone. Urządzenie działa na baterie, więc nawet jeśli wystąpiłoby zwarcie, pompa by się wyłączyła i wtedy mielibyśmy do czynienia z hiperglikemią. W przypadku tasera, którego działanie również nie było przyczyną śmierci, można założyć udział osób trzecich, choćby ze względu na miejsce przytknięcia elektrod. Bo raczej wątpię, żeby denat sam sobie przyłożył taser do karku i odpalił wyładowanie. Temat nadwyżki insuliny należy już tylko do was i techników. Może potrzebna będzie ekspertyza producenta tej pompy? Nie wiem. Ale jak to mówią, szukajcie, a znajdziecie. I wolałbym, żebyście jednak coś znaleźli, bo nie chcę wyjść na idiotę przed Śliwińskim, który nie podaruje żadnej okazji do wyniosłego „a nie mówiłem?!” i to najlepiej przy sporej widowni...

– Ja pierdolę, szukajcie... Ale gdzie? W czym? – jęknął Kmita. – Słuchaj, kiedy dostanę papiery z autopsji?

– Zaraz je zeskanuję i wyślę ci na pocztę – odparł Cichocki. – Na razie – pożegnał się i zakończył połączenie.

Komisarz się rozłączył i siedział chwilę bez słowa, stukając nerwowo palcami w blat biurka, ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy kąt pokoju. Eliasz przezornie również milczał, domyślając się, że aktualnie przez głowę Kmita przetacza się tornado myśli.

– Niemożliwe, żeby ktoś ryzykował taki numer, chcąc zemścić się za źle wykonaną usługę – odezwał się wreszcie komisarz. – To musiała być grubsza sprawa. Porażenie taserem, przypadkowo wprawdzie, ale jednak mocno rozbita głowa, no i ten cholerny insulinowy potop. Tyle fatygi, ryzyko ogromne i... po co? Dlaczego? Jeżeli Sawicki rzeczywiście należy do ofiar tego samego zabójcy, jak mam go w tej sytuacji z nimi połączyć albo wykluczyć, że cokolwiek ich łączyło? Słyszałeś? – zwrócił się już do Eliasza. Sierżant pospiesznie kiwnął potakująco głową. – Pompa jest sprawna, zasobnik pełen, żadnych dodatkowych wkłuć, nikt mu niczego nie wlał do ust... No to jak, do ciężkiej cholery, w ciele Sawickiego znalazła się trzykrotnie przekroczona dawka insuliny?! – Gwałtownie odsunął się od biurka, wstał i kilka razy przemaszerował po pokoju.

– Panie komisarzu... – zaczął Eliasz.

– Tak? – burknął Kmita, nie przestając krążyć.

– Tak się zastanawiam nad tą pompą insulinową... – Sierżant poprawił się na krześle i wychylił w stronę komisarza. – To czysta elektronika. Owszem, wykluczono awarię pompy, dozownik był pełen, nie znaleziono żadnych śladów po dodatkowej iniekcji. A jednak jestem pewien, że to musiał być zwykły, celowo przekraczający poziom insuliny zastrzyk. Igła do iniekcji insuliny jest bardzo cienka...

– Przecież słyszałeś, że patolog nie znalazł śladu po wkłuciu i wykluczył takie okoliczności śmierci.

– Bo może szukał w standardowych miejscach. Nie wiem... Noga, brzuch, ramię? A może warto przyjrzeć się na przykład głowie albo... – zastanowił się – sprawdzić wnętrze policzka?

- Cichocki zna się na swojej robocie i z pewnością niczego nie przeoczył - zaproponował Kmita. - Poza tym wciąż nie mamy powodów, żeby i tego mechanika dołączyć do ofiar naszego wigilijnego zabójcy...

- Patolog stwierdził hipoglikemię, ale nie znalazł jej uzasadnienia w uszkodzeniu pompy insulinowej. Okay, może uszkodzenia jako takiego nie było. Poza tym twierdzi, że z całą pewnością nie znalazł innych miejsc po wkłuciu. I do tego miejsca też jest dla mnie okay. Niech pan posłucha! - rzucił szybko, bo Kmita już szykował się do storpedowania jego wersji zdarzeń, zanim została do końca wyłuszczone. - Ale jeśli zabójca wkłuł się w dren i w ten sposób zaaplikował tę nadprogramową dawkę? Jeśli igła była dostatecznie cienka, dren wystarczyło potem tylko lekko podgrzać, ot, choćby płomieniem z zapalki, żeby dziura po wkłuciu z powrotem się zasklepiła.

Kmita zmarszczył brwi.

- Wciąż pozostaje pytanie, w jaki sposób możemy połączyć Przemysława Sawickiego z pozostałymi ofiarami. A przede wszystkim z Małgorzatą Radecką. Jej sprawa zadziwiająco szybko poszła do „Archiwum X” i czeka, aż coś wyjdzie na światło dzienne.

- Panie komisarzu, obaj już doskonale wiemy, że wszystkie te zabójstwa mają bezpośredni związek z osobą Radeckiej, włączając w to śmierć mechanika. Na ten moment nie mamy tylko pojęcia, na czym polegał jego udział w tej sprawie. Przyjrzałbym się temu warsztatowi trochę uważniej. Może wyjdzie przypadkiem coś, co z zupełnie innej strony popchnie śledztwo do przodu? Wystarczy jedna mała poszlaka...

- Poszlaka. Wciąż, kurwa mać, mamy tylko poszlaki! - Kmita z namysłem tarł czoło. - Dobra, dzwonię do techników, niech dokładnie wezmą pod lupę warsztat.

- Bez nakazu? - upewnił się Elias, ale w tym momencie Kmita posłał mu takie spojrzenie, że sierżant aż się skulił. - Jasne, nie było pytania.

- Ty skontaktuj się z laboratorium, żeby sprawdzili szczelność drenów pompy, a najlepiej niech ją w ogóle rozłożą na czynniki pierwsze. Potem jeszcze podręcę Cichockiego z tym ewentualnym dodatkowym wkłuciem na ciele mechanika. Jeśli jest tak, jak mówisz, to do sprawy Radeckiej właśnie oficjalnie dołączyła kolejna ofiara. Burszta mnie wykończy... - jęknął i sięgnął po telefon.

## Ulica Zachodnia

Karol Pakot, niewiarygodnie szczupły i woskowo blade sześćdziesięciolatek, usłyszał dzwonek domofonu. A może raczej się zorientował, że ktoś dzwoni do drzwi. Pił dziś praktycznie od rana, więc alkoholowa mgła, która towarzyszyła mu od kilku godzin, tłumiała sporo, ale ten uporczywy, wibrujący dźwięk bez problemu wrzynał się w jego uszy. Od dawna nikogo się nie spodziewał, a tego wigilijnego wieczoru szczególnie, początkowo więc chciał go zlekceważyć, jednak ten ktoś pod drzwiami do bloku nie dawał za wygraną.

Pakot z trudem zwał się z łóżka i chwilę łapał równowagę. Nie bardzo nawet wiedział, która jest godzina, bo w mieszkaniu panowała zupełna ciemność. Mógł to być równie dobrze późny wieczór, jak i wczesny ranek. Szedł powoli w stronę przedpokoju, przed upadkiem asekurując się obiema rękami, które chyba instynktownie chwytaly się wszystkiego, co było w stanie zapewnić mu przynajmniej jako taką stabilizację. Dobrnął do drzwi i nerwowo szarpnął za słuchawkę domofonu.

- No?! - warknął. Ostatnia rzecz, która była mu właśnie teraz potrzebna, to niespodziewani goście. - Co jest?!

- Dobry wieczór, sąsiedzie! - W słuchawce rozległ się męski głos. - Właśnie zaparkowałem i zauważyłem, że ma pan otwarte drzwi w samochodzie. Biały ford escort, prawda? - No tak, w bloku tylko on miał taki samochód. Stary, zniszczony, z wyraźnymi liszczami rdzy i wgniecionym tylnym zderzakiem. O pomyłce nie mogło być mowy. Ponieważ milczał, rozmówca uznał, że dobrze trafił. - No. Domknąłem je, żeby się złodzieje nie skusili, ale może warto zamknąć na zamek?

Pakot zrozumiał, że przeholował. Przetarł dłonią wciąż jeszcze zaspaną twarz i odchrząknął.

- Bardzo dziękuję - odparł już grzeczniejszym tonem. - Zaraz zejść. Wie pan - dodał tonem usprawiedliwienia - spałem, bo coś nie najlepiej się czuję, i dlatego tak... ten...

- Nie ma sprawy - usłyszał w odpowiedzi.

Odwiesił słuchawkę i sięgnął po kluczyki. Wkładając płaszcz i buty, zastanawiał się, do kogo mógł należeć głos. Nie miał z sąsiadami najlepszych relacji, ale zdarzały się kurtuazyjne rozmowy na korytarzu albo pod blokiem o pogodzie, przeładowanych kontenerach na śmieci czy rozwydrzonych dzieciakach, drących się godzinami na pobliskim placu zabaw. Mimo wysiłków nikt konkretny nie przyszedł mu na myśl.

Po schodach szedł ostrożnie, dając stopom czas, aby mocno osiadały na kolejnych stopniach. Prawa dłoń była niemal spazmatycznie zaciśnięta na poręczy: byle nie upaść, byle nie upaść... Nieco zdziwiony, że nikogo nie spotkał po drodze, Pakot wyszedł przed blok i kilka razy mocno odetchnął. Porcja tlenu przejaśniła mu nieco w głowie i zaczął stawiać pewniejsze kroki. Jeszcze dziesięć metrów, jeszcze pięć, dwa... Pociągnął za klamkę tylnych drzwi swojego

forda i ze złością skonstatował, że samochód jest rzeczywiście otwarty. Zanim jednak wydobył z kieszeni kluczyki, za jego plecami nagle rozległ się głos:

– Dobry wieczór, panie Pakot.

Odwrócił się gwałtownie, chcąc sprawdzić, kto się z nim przywitał. Mężczyzna był wysoki, postawny, ubrany cały na czarno, z czapką nasuniętą nisko, niemal zakrywającą oczy. Widział jego twarz, jednak nie był w stanie jej przypisać do nikogo znajomego. Mógł zapamiętać, to jasne, zresztą w tej chwili nie rozpoznałby własnej twarzy w lustrze, ale... nie umiał oprzeć się wrażeniu graniczącemu z pewnością, że nigdy wcześniej się nie widzieli.

– Dobry wieczór... – odpowiedział powoli, bo dotarło do niego, że ten sam głos słyszał kilka minut temu w domofonie i na pewno nie był to nikt z sąsiadów. – Przepraszam, ale jakoś sobie nie przypominam... – dodał ze zdziwieniem. – My się znamy?

– Osobiście? – uściślił tamten. – Z pewnością nie – odparł z mocą. – Ale wiem, że nazywasz się Karol Pakot i wciąż lubisz po pijaku wsiadać za kółko. Mylę się?

Pakot zeszytniał. Wciąż usiłował rozpoznać twarz mężczyzny, wciąż bezskutecznie. A jednak ten dziwny ktoś znał jego imię i nazwisko, wiedział, który samochód do niego należy, znał nawet tę podłą część jego życia.

– Skąd to wiesz?

– Wygooglowałem. – Tamten uśmiechnął się kpiąco. – Pogadamy o tym?

– Spierdalaj – Pakot się zniecierpliwił.

– Szkoda, że nie udupili cię dwanaście lat temu... Co to wtedy było? – Mężczyzna zdawał się niezrażony jego grubiaństwem. – Oficjalna impreza firmowa? Czy może rozpiłiście butelczynę gdzieś w magazynie, za paletami, co? No mów! – krzyknął niespodziewanie i Pakot aż podskoczył.

– Co?! – Był już trzeźwy. – Człowieku, ja nie wiem, o czym ty pierdolisz! Nie znam cię! – Próbował go wyminąć, ale tamten był szybszy i zastąpił mu drogę.

– Siedem lat temu zabrali ci prawo jazdy za prowadzenie pod wpływem alkoholu. Pod wpływem dużej ilości alkoholu – wycedził przez zaciśnięte zęby. – A wystarczyłoby, żeby zrobili to wcześniej...

Oblicze mężczyzny, który stał już zaledwie pół metra od niego, nie wróżyło niczego dobrego. Ciało Pakota spowilo niespodziewane gorąco, a po jego plecach spłynęła strużka potu. Już wiedział, że ta rozmowa nie zmierza w korzystnym dla niego kierunku, ale wciąż jeszcze nie rozumiał dlaczego.

– Dokładnie dwanaście lat temu wsiadłeś pijany do samochodu i wracałeś do domu. Zjechałeś z wiaduktu na Zjednoczenia i skręciłeś w stronę Objazdowej, a potem Dąbrowskiego. Pamiętasz? – Mężczyzna chwycił Pakota za poły podniszczonego płaszcza i przycisnął go do samochodu. – Ale nie byłeś chyba aż tak zamroczony, żeby nie zauważyć tego, co wydarzyło się na poboczu, prawda? Bo ja jestem pewny, że bardzo dobrze to widziałeś we wstecznym lusterku, tylko wolałeś uciec...

Pakotowi niespodziewanie stanęła przed oczami tamta sytuacja. Pamiętał ją doskonale. Może także z tego powodu z każdym rokiem pił coraz więcej, a w święta robił wszystko, żeby w ogóle nie trzeźwieć.

- Ja nikomu nic nie zrobiłem! Jestem niewinny!

- Owszem, nie zrobiłeś... Nie pomogłeś, bo wolałeś ratować własną dupę. Coś ci powiem, ty... - W głosie napastnika była kpina i pogarda. - Ty niewinny człowieku. Wiesz, ile osób ginie na drogach, bo śmieciom takim jak ty się wydaje, że mogą pijani wsiadać za kierownicę?! Wiesz?! - krzyknął. - Za dużo - odpowiedział sam sobie. - Może lepszym rozwiązaniem będzie nie wystawiać was na takie ciężkie próby, tylko wyeliminować zawczasu?

Pakot próbował się wyrwać, bo wyraz twarzy tamtego wskazywał na jedno: facet jest zdolny do wszystkiego.

- No puszczaj mnie, kurwa! - krzyknął.

Okazało się jednak, że w swoim nasączonym alkoholem jak gąbka wiotkim ciele nie znajdzie na to dość sił. Z trudem stał na szeroko rozstawionych nogach, a jedną ręką dodatkowo przytrzymywał się samochodu. Zrozumiał, że teraz już trzeba zmienić taktykę, spokojnie i grać na zwłokę. A nuż pojawi się jakiś przechodzień wracający z wigilii albo taksówkarz, który podjedzie po klienta. Na razie parking, a także najbliższe chodniki i uliczki były puste.

- Dobra, już na spokojnie... - Ton Pakota wyraźnie złagodniał. - Powiedz, człowieku, o co ci chodzi.

- O lekcję - odparł tamten.

Nim Pakot zdążył w ogóle zareagować, mężczyzna popchnął go mocno do tyłu. Stracił równowagę i upadł pomiędzy samochodami.

- Ludzie! - krzyknął ze strachem. - Na pomoc!

Mocny cios w głowę na chwilę go zamroczył. A potem poczuł, że mężczyzna oblewa mu twarz alkoholem i siłą otwiera jego usta, żeby wprost do gardła wlać pozostałą zawartość butelki. Dławił się, kaszłał i wszelkimi sposobami próbował się wyrwać. Kolejne celne uderzenie pięścią w kość policzkową tuż pod oczodołem wywołało potworny ból, a potem zaległa nieprzenikniona ciemność.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Kmita z takim napięciem wpatrywał się w tablicę, że jeszcze chwila, a zapłonęłaby żywym ogniem. Rozpisali na niej nazwiska dotychczasowych ofiar i połączyli je zgodnie z informacjami, które sukcesywnie uzupełniali we współpracy z Zakrzewskim.

- Co chce pan tam zobaczyć? - zapytał Elias. - Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Utknęliśmy.

- Chcę zobaczyć... - mówił z namysłem Kmita - coś, co pozwoli mi choćby w zarysie ustalić jakieś cechy naszego zabójcy. - Podeszedł do tablicy i odruchowo, kompulsywnym gestem, poprawił narysowane strzałki wiodące od jednego nazwiska do kolejnego.

- Potrzebujemy profilera, panie komisarzu.

- Może tak... Może nie... - Kmita nie odrywał wzroku od tablicy. - Nie sędzę, żeby profil był trudny do ustalenia. To nie psychol, to nie żaden chory pojeb, za jakiego wcześniej go brałem. Jest skrupulatny, dokładny, doskonale zorganizowany. On się nie mści, tylko... - zastanowił się - ...wymierza kary. - Te demonstracje, ta cała pokazówka... - Zerknął na zegarek. - Robi się późno, czasu jest coraz mniej. A on zaplanował całą sprawę zacząć i zakończyć w Wigilię.

- A jeżeli już skończył? Jeżeli Nowicki był ostatni na liście? - powątpiewał Elias.

- Nie skończył. To nie przypadkowe ofiary seryjnego, tylko konkretny wybór akurat tych, a nie innych osób, które wchodzi pod rękę naszemu zabójcy. Poza tym seryjny zwykle nawiązuje kontakt z policją, chwali się, chełpi albo straszy, że zaatakuje ponownie, przesyła jakieś pokręcone listy i wiadomości, każe szukać... A tu cisza. Nie, Elias, tu nie ma przypadków, zabójca realizuje swój plan, punkt po punkcie, i nie obchodzi go, co robimy, żeby mu przeszkodzić. Wie, że powiązanie kolejnych ofiar będzie coraz trudniejsze, coraz mniej prawdopodobne, a to daje mu większą swobodę w działaniu. - Dopiero teraz spojrzał na sierżanta. - Za chwilę zadzwoni dyżurny i poinformuje nas o kolejnym trupie kompletnie z innej bajki, co będzie oczywiście wodą na młyn Śliwińskiego. A potem o następnym, i tak do dwunastu.

- Do dwunastej - odruchowo poprawił go Elias. - Nie, no sorry, panie komisarzu, ale ja w to nawiązanie do dwunastu potraw jakoś nie wierzę. Tuzin osób mających związek ze śmiercią jednej Radeckiej? Nawet pluton egzekucyjny liczy mniej osób, z tego, co wiem, od pięciu do dziesięciu. A pan chce liczyć do dwunastu?!

- Jeżeli na Nowickim się skończy, przyznam ci rację - odparł Kmita. - Ale po dziesiątej ofercie zaczniesz bez dyskusji odliczać razem ze mną.

# Ulica Zachodnia

Kmita założył rękawiczki i pochylił się nad ciałem.

– Skończyliście? – rzucił w stronę techników.

– Tak – odparł ten stojący najbliżej komisarza.

Zgodnie z przewidywanym przez komisarza scenariuszem kilkanaście minut temu dostali kolejne wezwanie. Oficer dyżurny powiedział tylko: „Zachodnia od strony Godlewskiego”. I wszystko było jasne.

Na sygnale przejechali przez bajkowo oświetlone miasto, które zdawało się zadawać kłam temu, z czym mieli do czynienia od wczesnych godzin rannych. Jakby nie było śmierci, strachu, mnożących się pytań i oczekiwania na kolejny krok zabójcy. Były tylko kolorowe lampki na latarniach oraz ozdobione choinki na ulicach i w domach, a ludzie w poczuciu bezpieczeństwa i z radością świętowali nadejście Bożego Narodzenia. To wszystko jeszcze mocniej wpędzało komisarza w poczucie winy i pogłębiało wrażenie kompletnej bezsilności.

Kmita włączył swoją latarkę i dokładnie obejrzał zmasakrowaną głowę denata leżącego na wyłożonym polbrukiem osiedlowym parkingu, a potem przeniósł wzrok na drzwi samochodu i próg, dosłownie pokryte krwią i fragmentami tkanek.

– Musiał tak tłuc kilka razy – stwierdził, kucając. – Może nawet kilkanaście, z potworną siłą... – mówił jakby do siebie. Po chwili wstał i rozejrzał się po parkingu. – I naprawdę nikt nic nie widział ani nie słyszał? – zdziwił się. – Przecież to środek osiedla. Czas zgonu? – zwrócił się do patologa.

– Jest zero stopni, w związku z tym zakładam, że proces stygnięcia mógł być przyspieszony – odparł Cichocki.

– Więc?

– Dziewiętnasta, może dziewiętnasta trzydzieści.

– Mamy dziewiętego trupa, brawo my – sapnął. – Gdzie prokurator?

– Śliwiński? – upewnił się jeden z techników. – Tam. – Ruchem głowy wskazał na grupę stojących po drugiej stronie parkingu mężczyzn.

– Myślisz, że przy takiej akcji buty i nogawki napastnika miałyby plamy krwi? – zapytał Kmita patologa, znów skupiając wzrok na zdeformowanej głowie denata.

– Powinny. Sporo krwi osiadło na samochodzie, ale i tak przy tego rodzaju obrażeniach rozpryski mogą iść w najróżniejszych kierunkach.

– Okay, dzięki. – Kmita kiwnął mu głową, a potem powoli podszedł do Śliwińskiego.

– Już nawet się nie witam – powiedział prokurator. – Choć wolałbym, żebyśmy powiedzieli sobie w końcu „do widzenia” i spotkali się za trzy dni. – Uśmiechnął się krzywo.

– I co, udało się panu zasiąść do wigilii? – zapytał komisarz, siłąc się na życzliwy, wręcz współczujący ton.



Prokurator pokręcił przecząco głową.

– Niestety, nie miałem takiej możliwości.

– Pan przynajmniej ma wybór.

– Nie rozumiem...

– Ma pan przecież dwóch zastępców, nie musi pan, w przeciwieństwie do mnie, jeździć na każde miejsce zbrodni.

– A pan musi? – zakpił prokurator. – Sądziłem, że to pana praca, a nie kwestia przymuszenia do formy spędzania czasu...

– Owszem, praca. Tylko że komisarz Burszta mi tej pracy raczej nie ułatwia. Wyraźnie zakazał ściągać posiłki z Gorzowa i w tej sytuacji za wigilijny cud mogę uznać, że umożliwił mi włączenie w to wszystko dochodzeniówki.

– I słusznie – odparł prokurator. – Nie musimy robić zamętu na całe województwo.

– Zamętu? – zapytał Kmita z niedowierzaniem. – W sytuacji, gdy prowadzimy działania w związku z dziewięcią zbrodniami, użycie słowa „zameł” jest chyba nieuzasadnionym eufemizmem. Zwłaszcza że, tego jestem dziwnie pewien, to jeszcze nie koniec.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że ktoś nam tu funduje staropolską tradycję z dwunastoma trupami w wigilijnym menu – sapnął komisarz.

Śliwiński zmarszczył brwi i chwilę wpatrywał się w Kmitę w milczeniu. Potem zerknął w stronę parawanów osłaniających ostatnią ofiarę i nieznacznie westchnął.

– Myśli pan o tym, że ktoś na tych ludzi czekał przy wigilijnym stole? – zapytał i znów wbił w komisarza ciężki wzrok. – Ja koniec końców dotrę, pan również, ale w tych kilku domach się nie doczekają. I bez względu na to, z jakiego powodu ktoś ich... – Śliwiński wyraźnie się zawahał, jakby starał się nie użyć ewidentnego w tym przypadku, i w każdym z poprzednich, słowa „zamordował” – ...pozbawił życia, wolałbym używać określenia „denat” lub „ofiara”, a nie „trup”...

– Ktoś pozbawił ich życia – z czytelną ironią powtórzył za nim Kmita – bo widocznie uznał, że na to zasłużyli.

– To już kwestia do rozpatrzenia przez sąd, kto zasłużył i czym. Ja wolę ograniczać się do stwierdzania faktów i oczekiwania na wyniki pańskiego śledztwa.

Kmita z zaskoczeniem stwierdził, że w głosie Śliwińskiego była wyraźna rezygnacja. A przecież do tej pory znał tylko jedno oblicze pana prokuratora – człowieka skrupulatnego i skutecznego, ale przede wszystkim perfekcjonisty, który wzywany na miejsce przestępstwa od razu dawał upust swojemu niezadowoleniu, wytykając najdrobniejsze uchybienia. Teraz był spokojny, a nawet nienaturalnie wyciszony. W milczeniu obserwował pracę techników i śledczych, a potem bez uwag podpisywał dokumenty. Biorąc pod uwagę to, co niedawno usłyszał od Cichockiego, zdawać by się mogło, że Śliwiński jest na wycofanej pozycji: wytracił impet, jest zrezygnowany i chyba rzeczywiście – tak jak Kmita – zmęczony.

– Wszystko w porządku? – zaryzykował komisarz.

Śliwiński nic nie odpowiedział, tylko skinął mu głową i odszedł do jednego z radiowozów.

– Do zobaczenia... – mruknął pod nosem Kmita. – Jeszcze co najmniej trzy razy.

Wybił numer do Zakrzewskiego i irytująco długo czekał na połączenie.

- Zakrzewski! - niemal krzyknął do słuchawki, gdy tylko usłyszał głos Darka. - Szukaj związków z następnymi: Kinga Czacka i Karol Pakot. Wszystko, co ich dotyczy, ale sprawy wyłącznie sprzed dwunastu lat!

- Nie wrzeszcz - spokojnym głosem upomniał go Zakrzewski. - I mów trochę wolniej, z łaski swojej.

- Ja cię bardzo, Dareczku, przepraszam, ale aktualnie bez łaski swojej odklejamy czyjaś głowę od podłoża i mimo najszczerzych chęci nie dam rady wbić się w zen. Notuj: Kinga Czacka i Karol Pakot - powtórzył Kmita. - Do usłyszenia.

## Ulica Fabryczna

Od paru lat wszystkie Wigilie i święta Mariana Józefczaka wyglądały tak samo. Siedział samotnie w zaniedbanym i brudnym mieszkaniu, czekając, aż któryś z koleśi wreszcie wyrwie się na wolność i będą mogli razem pójść na ukryty przed spacerowiczami teren z garażami, skąd prowadziła nierówna szutrowa droga do ulicy Jasnej.

Józefczak westchnął ciężko. Żona z dziećmi pewnie już podzielili się oplatkiem i zasiedli do wieczerzy. Mógł tam z nimi być, a raczej to oni mogli być tu, z nim, gdyby tylko wszystko potoczyło się inaczej. Ale wyszło, jak wyszło. Nikomu nie uśmiecha się zatrudniać recydywisty, a bez roboty nie ma za co żreć. No to kradł, wpadał, siedział, potem znowu kradł. Tyle tego, że któreś tam święta spędził w więzieniu, w ciepłe, ze światłem, i nawet ci, którzy nie mieli przepustek, podzielili się tym, co sami dostali. Do niego nie przyjeżdżał nikt. Od lat.

W mieszkaniu było, co prawda, jasno, bo już jakiś czas temu, akurat przed ostatnią odsiadką, zrobił przepięcie od linii biegnącej na zewnątrz budynku, ale koszmarne zimno. Woda nabierana z podwórkowego kranu przy starej pralni zdawała się dosłownie zamarzać. Bolesny skurcz żołądka, któremu towarzyszyło głośne burczenie, przypominał Józefczakowi, że ostatni posiłek jadł wczoraj, mikre śniadanie. I to tylko dlatego, że koleś z osiedla, którego spotkał pod sklepem, dał mu jakąś bułkę i kilka plasterów wędliny. Był koszmarne głodny. Kolejny przegląd nadwątlonych szafek kuchennych nie przyniósł zadowalających rezultatów. W kąciku kredensu była tylko napoczęta paczka mąki i zjełczały olej. No nic, musi wytrzymać, a jutro zajrzy na Moniuszki, do najbliższej jadłodzielni, może koło południa ktoś coś podrzuci. Tylko musi być tam przed innymi i pilnować kolejki. A bo to raz sprzątnięto mu posiłek sprzed nosa? Powinien jutro wstać wcześniej i jak najszybciej dotrzeć na miejsce, ma blisko, bliżej niż inni. A potem czekać. Zrezygnowany doczłapał się do łóżka i usiadł na nim ciężko.

Ktoś zapukał w szybę. Józefczak, naiwnie wierząc, że to któryś z kompanów, szybko wstał i podszedł do okna. Gdy uniósł brudną firankę, zobaczył przed sobą jakiegoś chwiejącego się na nogach mężczyznę, który chyba nawet nie wiedział, dokąd właśnie zawędrował.

– Bogusia szukam – wybełkotał intruz i głośno beknął.

Józefczak otworzył okno na oścież.

– Pomyliłeś, kolego, adres – odparł spokojnym tonem, wprawnie omiatając wzrokiem całą stojącą na zewnątrz postać. Dobrze ubrany: porządna kurtka, mocne buty...

Mężczyzna uniósł rękę i usiłował, zwalczając chwiejność nóg, dojrzeć na zegarku godzinę.

– Kurwa... – Spojrzała na Józefczaka zmętniałym wzrokiem. – Miał być.

– Ale nie ma – odburknął Józefczak. – Wracaj do domu!

– Spokojnie, kolego, tylko spokojnie – mamrotał tamten. – Przecież ty mnie możesz poratować, nie? Wszystko już w chuj pozamykane, do stacji nie dojdę... – Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni plik banknotów, które niechcący upuścił. – O kurwa... – Pochylił się nieporadnie i zaczął je zbierać z pokrytego powoli topniejącym śniegiem chodnika.

– Czekaj pan! – zaoferował się niespodziewanie Józefczak. – Coś by się znalazło... – Cofnął się w głąb pokoju i podszedł do niewielkiego kredensu. Sięgnął po stojącą na blacie pustą butelkę po wódcę. Odkreślił ją, zanurzył w wiadrze i z napięciem obserwował, jak napełnia się wodą. Zadowolony z efektu, przetarł ją o spodnie i ponownie zakreślił.

*I tak nie zauważy różnicy, pomyślał z uśmiechem triumfu.*

Za oknem już nikogo nie było, ale Józefczak usłyszał, że mężczyzna idzie w kierunku garaży. Wybiegł z mieszkania, a potem od strony podwórka wyszedł na zewnątrz. Szybko okrążył budynek i zaczął biec za pijanym w sztok gościem. W ciemnościach rozejrzał się uważnie i po chwili go dostrzegł. Siedział pod ścianą garaży z szeroko rozłożonymi nogami i bezwładnie opuszczoną głową. Jeżeli nie spał, to na pewno był już nieprzytomny z upojenia. Józefczak podszedł do niego ostrożnie i trącił go nogą. Żadnej reakcji. Powtórzył „test”, ale i tym razem przybysz się nie ocknął.

– Za głupotę się płaci... – mruknął pod nosem i kucnął obok mężczyzny.

Położył na ziemi butelkę, delikatnie rozchylił mu poły na wpół rozpiętej kurki i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po lewej stronie. Tam właśnie kilka minut temu zniknęły zamoczone banknoty. Były! Dwa stułotowe i chyba pięć pięćdziesięciotowych. Piękny urobek, na dodatek bez najmniejszego wysiłku. Wystarczy na kilka dni. Powoli zanurzył rękę w bocznej kieszeni i w tym momencie mężczyzna z niespodziewaną siłą złapał go za przedramię.

– Pomóc?

Józefczak poczuł, jak włosy stają mu dęba. Facet nie spał. I chyba nawet nie był pijany, bo Józefczak dopiero teraz się zorientował, że w ogóle nie było czuć od niego alkoholu. Mężczyzna wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Ej, no co jest, kurwa! – usiłował się wyrwać, ale bezskutecznie.

– Pytałem, czy pomóc. – powtórzył mężczyzna.

– Puszczaj, no! – Józefczak zaczął się już rozpaczliwie szarpać, ale palce tamtego zaciskały się na jego szczupłym ramieniu jak stalowe kleszcze. Nie da rady. – Czego chcesz? – zapytał cicho.

– Lata mijają, ale u ciebie nic się nie zmienia, co?

– My się znamy? – zdziwił się. – Bo nie kojarzę.

– W pewnym sensie... Co? – Nieznajomy wzrokiem wskazał na zaciśniętą dłoń Józefczaka, w której tkwiły banknoty wyjęte z jego kieszeni. – Nie tak to miało wyglądać?

Mężczyzna powoli wstał i ten moment usiłował wykorzystać Józefczak. Znów się szarpał.

– Zostaw mnie, kurwa, no! – krzyknął. – Ludzie! Ratunku! – zaczął wrzeszczeć.

Silne, a przede wszystkim niespodziewane uderzenie otwartą dłonią w twarz na chwilę go uciszyło.

– Nie drzyj się, przecież wiesz, że nikt nie zareaguje... Zresztą co byś powiedział? Że dostałeś po ryju, bo próbowałeś mnie okraść?

– Sam się prosiłeś! Po chuj łazisz i ludziom w okna stukasz?! Czego ty chcesz?!

– Moje pieniądze, szmaciarzu, przykleiły ci się do ręki. A ty się jeszcze pytasz, czego chcę? – udawał zdziwienie. – Dobra, możemy i tak. W takim razie chcę wiedzieć, czy dalej okradasz ludzi w potrzebie.

Jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie. Nie ma opcji, na pewno się nie znają, nigdy go tu nie widział. Skąd w takim razie to pytanie?

- Wypierdalał! - Spróbował wyrwać rękę i drugą się odepchnąć, ale nieznajomy był na to przygotowany i jego uścisk znów przybrał na sile.

- Co jest, kurwa, no?! Boli! Puść!

- Jesteś teraz na warunkowym, bo kapowałeś na kolegów, z którymi obrobiłeś magazyny na Zjednoczenia, prawda? Ale ciągnie wilka do lasu... - wycedził napastnik. - Torba i kieszenie to nie to, co towar na paletach, tutaj idzie szybciej i nie trzeba się z nikim dzielić. Ty pierdolona hieno...

Facet wiedział o nim na tyle dużo, że nie można go było zlekceważyć.

- Mam ci odpalać dołę? - zapytał cicho. - Nic nie mam, ty byłeś pierwszy... To znaczy teraz nie mam nic, ale może jutro, pojutrze...

- To chyba najbardziej niedorzeczna propozycja, jaką w życiu usłyszałem. - Mężczyzna się roześmiał. - Dola od złodzieja na warunku?! Zglupiałeś?

- To czego chcesz?

Dobiegł go ni to szum, ni to świst. Dosłownie zniknął w rękę mężczyzny pojawił się cienki, długi pręt.

- Tego - odparł napastnik i nie zwalniając uścisku, z całej siły uderzył go tym dziwnym przedmiotem w głowę. Ból był tak potworny, że Józefczak dosłownie stracił oddech. - I tego. - Uderzył go ponownie.

Zanim krew zalała mu powieki, zdołał dostrzec, że mężczyzna kolejny raz się zamachnął, i wtedy rozpoznał przedmiot, którym zadawał ciosy: pałka teleskopowa. Józefczak osunął się na kolana, a potem upadł na twarz. Poczuł, że nieznajomy wziął go za nogi i zaciągnął w miejsce niewidoczne dla przypadkowych przechodniów. Nie dosięgało tam żadne światło, choćby ulicznych latarni. Usadził go, opierając plecami o drzwi jednego z garaży. Przyparł kolanem jego klatkę piersiową. Ścisnął mu twarz w taki sposób, że szczęka rozchyliła się niemal samoczynnie, i wtedy siłą wlał mu do gardła alkohol. Józefczak, dławiąc się, starał się wypluć choć część, ale mężczyzna zatkał mu nos i przy próbie rozpaczliwego łapania powietrza paląca struga powoli wdarła się do jego przełyku.

- Zabrałeś telefon, zegarek... - syczał napastnik, nawet na moment nie przerywając ataku. - Zamiast sprawdzić, czy ten ktoś żyje, czy wciąż oddycha, sprowadzić pomoc - sapął, wyraźnie coraz bardziej zmęczony.

Józefczak ostatkiem sił chciał się uwolnić z tego niemal stalowego uścisku, ale nie był w stanie. Na oślep odpychał butelkę, z której wciąż wylewał się alkohol. Zamiast krzyku z gardła wydobywało się nieartykułowane charczenie.

- Dobra. - Mężczyzna nareszcie odpuścił i nieznacznie się odsunął od swojej ofiary. - Skończyłem. - Podniósł się i otrzepał nogawki. - Ty też zaraz skończysz...

Józefczak zamrugał niepewnie i spróbował zawołać o pomoc. Miał wrażenie, że teraz jego usta otwierają się niezwykle powoli. Z twarzy ściekała mu krew zmieszana z resztką parującego na mrozie alkoholu.

- Zostaw mnie... - wyszeptał, oddychając coraz wolniej. - Zostaw... - powtórzył ciszej.

- Nie ma sprawy - odparł mężczyzna. - Dokładnie taki miałem zamiar.

## Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

– Czacka Kinga – czytał powoli Zakrzewski. – Dwanaście lat temu nazywała się Dąbrowska i...  
– zrobił dramatyczną pauzę – pracowała w tej samej firmie, co Grzelak i Radecka. Karol Pakot z kolei... – Dało się słyszeć stukanie w klawiaturę. – On jest czysty. Siedem lat temu zabrali mu na rok prawo jazdy, wjechał po pijaku komuś w płot na Jędrzychowie. Nic więcej nie mam.

Kmita i Eliasz wpatrywali się w rozpisane na tablicy nazwiska, porządkując uzyskane informacje i licząc, że ustalenia Zakrzewskiego dołożą kilka brakujących fragmentów tej zgoła nieświętecznej układanki.

– Nic już nie rozumiem... – sapnął Kmita. – A co z tym, w czyj płot wjechał?

– Kmita, ty serio tak? – zakpił Zakrzewski. – Sądziś, że ktoś się mści za zniszczony fragment płotu?

– Darek... – Zabrzmiało to jak groźba.

– Właścicielką posesji była Aniela Fornalik.

– Była?

– Zmarła w zeszłym roku w pięknym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat – prychnął Zakrzewski.

– A wcześniej?

– Co wcześniej?

– No, w tym roku, w którym zmarła Radecka... Coś na niego mamy?

– Nic.

– Dziwne... Coś jednak być musi. Pakot został zamordowany w ten sam wieczór, więc automatycznie wchodzi nam pod wspólny mianownik... Trzeba kopać głębiej, ale to już nie dziś. Masz coś jeszcze? – Kmita wstał i obszedł biurko, a następnie stanął tuż pod tablicą.

– Co do Nowickiego, nie mam nic ponad to, co pewnie wy już i tak wiecie: kradzież ze stawów hodowlanych, jazda pod wpływem, poszedł na współpracę z prokuratorem. Nic wcześniej i nic później. Coś jeszcze? – zapytał Zakrzewski z udawaną usłużnością.

– Nie – burknął Kmita.

– Wisisz mi „krówkę”, Rysiu – zastrzegł Zakrzewski. – Jak coś jeszcze ewentualnie znajdzie, odezwę się – obiecał i zakończył połączenie.

Eliasz patrzył na niego wyczekująco, więc Kmita stwierdził:

– Bez względu na wszystko konsekwentnie trzymajmy się tej Radeckiej, bo sam widzisz, że na ten moment tylko ona jest punktem stycznym.

– A co ze... – Sierżant wyraźnie się zawahał.

– Ze Śliwińskim? – wyręczył go komisarz. Gdy sierżant potakująco kiwnął głową, dodał: – A jak myślisz? Pilnujemy go dalej, szczególnie teraz, po tej ucieczce ze stacji paliw. A ty? – Kmita wskazał na ekran stojącego na biurku sierżanta komputera. – Masz tam coś nowego?

- Technicy sprawdzili rzeczy ofiar i ustalili, że mikronadajnik był tylko u Czackiej, i nawet już wiadomo dlaczego.

- No?

- Telefony wszystkich pozostałych ofiar miały szpiega.

- Ktoś namierzał ich dzięki lokalizacji telefonów?

- Coś w tym stylu.

- A Czacka?

- Kinga Czacka używała normalnej komórki, a technicy twierdzą, że taka szpiegowska aplikacja jest stosowana głównie w smartfonach, można ją podłączyć właśnie pod funkcję namierzania lokalizacji.

- Czyli zabójca wiedział nawet to... - Kmita pokręcił z niedowierzaniem głową. - A Czacka korzystała w ogóle z jakichś mediów społecznościowych, skoro używała zwykłego telefonu komórkowego?

- I tu kryje się wyjaśnienie jej niechęci do smartfona... Cztery lata temu zgłosiła, że jest stalkowana. Jakiś pojeb wysłał jej przez komunikatory porno-filmiki, jakieś obsceniczne zdjęcia i takie tam. Sprawę umorzono ze względu na niską szkodliwość, nawet chyba nie szukali tego psychola, a Czacka na dobre zniknęła wtedy z mediów społecznościowych.

- Dalibyśmy radę odszukać tego stalkera?

- Ale po co? - Eliasz wzruszył ramionami. - To chyba był taki rodzaj oblecha jak ten, który kiedyś latał po parku z interesem na wierzchu. - Zachichotał. - Jak mu jedna zwała, szukał kolejnej. Teraz takie coś przeniosło się do internetu, jest uciążliwe, ale czy groźne? - zapytał z wyraźnym powątpiewaniem. - Ludzie jego pokroju z reguły nie są zdolni do brutalnej zbrodni.

- Każde naruszanie czyjejś przestrzeni jest groźne, jeśli ta osoba sobie tego nie życzy - burknął Kmita. - Jak rozumiem - komisarz wzrokiem wskazał na ekran - temat nie powróci? - Eliasz pokręcił przecząco głową. - Okay, a co w takim razie ze szpiegami w telefonach pozostałych ofiar?

- Ciekawy program... Chłopaki twierdzą, że na to jeszcze u nas w żadnej sprawie nie trafili, co nie znaczy, że o czymś takim nie wiedzieli. Genialne w swej prostocie - dodał z podziwem. - Żeby to gównu uaktywnić, wystarczy zalogować się do poczty. Po wszystkim... Dziś już mało kto funkcjonuje bez dostępu do maila z poziomu smartfona, więc ta apka jest idealnym narzędziem.

- A stacja-matka?

- Szukają, ale to trochę potrwa. - Eliasz wzruszył bezradnie ramionami. - A tak z innej beczki... Wcześniej dzwoniли do mnie z dzielnicy w sprawie Niemczyckiej. Chcieli wiedzieć, co mają mówić w kwestii okazania. Takich pytań będzie więcej...

- W zasadzie znamy tożsamość wszystkich ofiar, ale o terminach i godzinach okazań decyduje Cichocki. Musi to wszystko ogarnąć, mało kto jest w stanie oglądać swoich bliskich w trakcie autopsji. Niech rodziny czekają na powiadomienie, ale to chyba nie wcześniej niż jutro, a może nawet dopiero po świętach. - Na ekranie telefonu Kmita wyświetliło się nazwisko patologa. - O wilku mowa... - Skrzywił się nieznacznie i odebrał połączenie.

- Co jest, Klemens? O czymś zapomniałeś?



- Gorzej - jęknął Cichocki. - Wiem, że dopiero co stąd wyszliście, ale na stół wjechały kolejne zwłoki. Jak się pospieszycie, zdążycie sobie na niego popatrzeć, zanim Śliwiński się tu pojawi - zaproponował życzliwie, mając chyba na uwadze trudne do przeoczenia napięcie pomiędzy komisarzem a prokuratorem. - Marian Józefczak, mieszkał przy Fabrycznej, stamtąd przynajmniej go przywieziono i takie dane podał lekarz z zespołu ratunkowego.

- Ale co się stało?

- Ruchy! - nakazał patolog i natychmiast się wyłączył.

Kmita spojrział na Eliasza w taki sposób, że ten od razu wiedział, co się właśnie wydarzyło.

- Ulica czy zetemes? - dopytał, jednocześnie wkładając kurtkę.

- Do Cichockiego, ale migiem. Chcę tam być przed Śliwińskim.

- Ale co się stało?

- Dowiemy się na miejscu. Mam swój „numer dziesiąty”, niech to szlag... - sapnął z rezygnacją. - Zadzwoń do Zakrzewskiego, może nam coś na cito znajdzie. I co? - Spojrział na Eliasza z wyrzutem. - Zaczynasz odliczanie czy jeszcze będziesz upierał się przy swoim?

## Ulica Zyty, Zakład Medycyny Sądowej

– Co do Nowickiego, sprawa jest jasna: zawał po zażyciu amfetaminy – odezwał się Cichocki, chcąc zachować chronologię przeprowadzanych autopsji. – Cholernie mocny towar, jeśli mogą się tak wyrazić. Serce nie wytrzymało gwałtownego wzrostu ciśnienia krwi, pewnie pomógł też zwiększony poziom kortyzolu, hormonu stresu. A tu ta nowa sprawa – zaczął Cichocki, prowadząc ich do kolejnego stołu. – Do szpitalnej kostnicy trafił mężczyzna, który zmarł w karetce. Było wezwanie do jakiegoś nieprzytomnego pijaka z Fabrycznej, facet leżał pomiędzy budynkami. Ktoś go rozpoznał, gdy pakowali go do ambulansu, bo od razu zrobiło się zbiegowisko. Lekarz z pogotowia wstępnie zdiagnozował wstrząs anafilaktyczny.

– Taak? Wstrząs? To jeszcze mi powiedz, że miał uczulenie na alkohol – zakpił Kmita.

– Zaraz do tego wrócimy. Bo poza tym pijaczek był pobity. Ślady na głowie wskazują, że użyto pałki teleskopowej.

Podeszli do stołu, na którym spoczywały poddawane właśnie sekcji zwłoki. Cichocki odsunął przykrywające je prześcieradło w taki sposób, aby widać było twarz i tors denata.

– Marian Józefczak, lat sześćdziesiąt cztery – przypomniał patolog, zerkając do swojej dokumentacji.

– No wiem – odparł Kmita. – Zakrzewski przesłał nam już kilka danych. I co z nim?

– Lekarz z pogotowia miał rację. To rzeczywiście był wstrząs anafilaktyczny. W treści żołądka oprócz alkoholu była spora ilość GHB.

– Pigułka gwałtu? A, przepraszam, w jakim celu? – Eliaszk zrobił błazeńską minę i ruchem głowy wskazał na wychudzone, mocno postarzałe i zarośnięte oblicze Józefczaka. – Ktoś był w potwornej desperacji... – westchnął z udawanym współczuciem. – Nawet podobny, co nie? – Uniósł swój smartfon, na którym wyświetlały się przesłane przez Zakrzewskiego dane.

Kmita posłał mu takie spojrzenie, że sierżant spuścił wzrok i już w milczeniu przyglądał się zwłokom.

– Trafił do mnie niemal natychmiast, dlatego badania toksykologiczne miały sens – stwierdził Cichocki. – GHB rozkłada się w organizmie w ciągu kilku godzin. Wystarczyłoby, żeby przetrzymali go w szpitalnej kostnicy, i... – Pstryknął palcami. – Zgodnie z wynikiem tych badań, nawet uwzględniając tempo rozkładu substancji w organizmie, pigułek było kilka. – Skrzywił się nieznacznie. – Ktoś go w ten sposób sparaliżował, upił i zostawił na dworze.

– A co z tym wstrząsem anafilaktycznym?

– Był. Właśnie po zażyciu GHB.

– Alergia na pigułkę gwałtu? – zdziwił się Kmita. – To w ogóle możliwe?

– Alergię Józefczak miał na jeden ze składników tej pigułki. A dokładniej: na kwas czterohydroksybutanowy. Występuje też naturalnie, choćby w cytrusach czy winie... Zabójca musiał o tym wiedzieć. Może się znali?

- Albo miał dostęp do dokumentacji medycznej. - Eliasz spowaźniał i wczytał się w kartotekę Józefczaka. - Nasz „numer dziesięć” ostatnie dwa lata siedział w Braczewie, może stamtąd?

- Recydywa?

Pytanie komisarza było czysto retoryczne, ale sierżant i tak odruchowo skinął twierdząco głową.

- Teraz jest... był - poprawił się szybko - na warunkowym. Nie sądzę, żeby dotarcie do jego karty zdrowia stanowiło specjalny problem, szczególnie dla osoby, która wie, kogo o co poprosić.

- Nadal twierdzisz, że to ktoś od nas? - Komisarz ściszył głos, ale nie na tyle, aby pytanie umknęło patologowi.

- O co chodzi? - zainteresował się.

Kmita zawahał się przez moment, a potem, wsparty spojrzeniem Eliasza, odparł:

- Klemens, tylko gęba na kłódkę, jasne? - Cichocki nie wyglądał na szczególnie przekonanego co do konieczności złożenia takiej deklaracji, ale posłusznie potaknął skinieniem głowy. Kmita ciągnął: - W naszej opinii zabójca wszedł w posiadanie danych, którymi dysponował co najwyżej lekarz pierwszego kontaktu. Jak w przypadku skazy krwotocznej Ulewicza. Tutaj - podbródkiem wskazał na ciało Józefczaka - też chyba trochę to zbyt skomplikowane jak na wymianę poglądów w gronie jemu podobnych. Ktoś miał z nim poważny problem i na poważnie się za niego zabrał. Gdyby to były tylko zwykłe pijackie porachunki, to nie rozumiem, dlaczego facet miał obitać głowę pałąk teleskopową, a nie cegłą czy czymś, co zwykle leży na ulicy. I skąd kompani od kielicha mieliby dostęp do GHB? - Wzruszył ramionami. - Dlatego jestem więcej niż pewien, że także Józefczak był w jakiś sposób wmieszany w sprawę pobitej na śmierć kobiety, Małgorzaty Radeckiej. Bo wokół niej skupia się także kilka innych zabójstw, których ofiary zbieraliśmy od rana.

- A konkretniej? - Cichocki patrzył na niego spod ściągniętych w skupieniu brwi.

- To zwykły złodziej, na dodatek recydywa. Możemy przyjąć, że to on ją okradł, gdy leżała nieprzytomna. Śmiała hipoteza, ale... - Kmita zmarszczył czoło - jednak do przyjęcia. Tyle tylko, że chcąc udowodnić Józefczakowi jego udział w tej kradzieży, ktoś musiałby wiedzieć, do kogo poszły fanty. Matka w protokole zgłosiła, że wśród rzeczy osobistych przekazanych jej w szpitalu nie było telefonu, zegarka, kart i dokumentów. I to by akurat do Józefczaka pasowało, bo karty i dokumenty znaleziono na posesji kilkadziesiąt metrów dalej od miejsca, skąd zabrano Radecką. Ktoś pokroju Józefczaka jest za głupi na numery z kartami, pewnie dlatego od razu po kradzieży wyrzucił w krzaki cały portfel, a fanty upchnął później u pasera.

- No właśnie... Temat kradzieży jakoś stracił na ważności w momencie, gdy ofiara pobicia zmarła. I nie wiem nawet, czy nasz kolega z dwójki - Eliasz miał na myśli Błaszczaka - nie przyczynił się do tego swoją opieszałością.

- A jednak ktoś do tego dotarł - wszedł mu w słowo komisarz. - I to musiał być ktoś, kto znał ówczesne... struktury. W związku z czym wracamy do punktu wyjścia: kim być może jest nasz zabójca, a raczej gdzie i w czym ma umocowanie? I pytanie drugie: z kim najczęściej idzie się na ugody? - drążył Kmita.

- No... - Eliasz zrobił zdziwioną minę. - Na ugody to chyba... z prokuratorem? - zapytał niepewnie.

- Od kiedy Śliwiński jest na tym stanowisku?

- Od ponad piętnastu lat.

- Czyli pasuje... Zastanawiam się tylko, co z pozostałymi. Dobra, Eliasz, grzej samochód, ja zaraz przyjdę i wracamy do biura. - Kmita kiwnął na sierżanta. - Nie mam ochoty na pogawędkę z panem Śliwińskim. Swoją drogą... - Komisarz zerknął z wyrzutem na patologa. - Tak nas popędzałeś, a jasnie oświeconego pana prokuratora nadal nie ma.

- Ale... Nie możemy iść razem? - zdziwił się Eliasz, już stojąc w drzwiach.

- Nie. Jazda. - Komisarz ruchem głowy wskazał na drzwi.

- Sam jestem zdziwiony. - Cichocki wzruszył ramionami. - Dzwonił, że jest już w drodze.

- A skąd w ogóle wiedział o Józefczaku?

- Nie mam pojęcia. Pewnie od dyżurnego, a jemu meldował patrol wezwany przez pogotowie. No, co jest? - dopytał, widząc skupiony wyraz twarzy Kmita.

Gdy sierżant, wciąż nieco zdezorientowany, wyszedł na zewnątrz, komisarz podszedł do patologa, jakby w ten sposób chciał się upewnić, że ta część rozmowy nie będzie słyszana przez nikogo postronnego.

- Słuchaj... - niepewnie zaczął Kmita. - Ty coś wiesz na temat Śliwińskiego? Ja tu, w kryminalnym, jestem od czterech lat, on do spraw kryminalnych przeszedł jakieś piętnaście lat temu... Znasz go pewnie lepiej niż ja.

- Rysiu... - Cichocki spojrzał na niego podejrzliwie. - A co ty mnie tak dziś o wszystkich wypytyjesz?

- Znasz czy nie?

- Ale w jakim sensie? - zdziwił się patolog.

- Osobistym. A raczej prywatnym. No wiesz, żona, kochanka, dzieci...

- Śliwiński? - Cichocki uśmiechnął się nieznacznie. - Pan prokurator Śliwiński nie jest szczególnie fanatykiem rodziny w jej ogólnym pojęciu.

Kmita aż się wyprostował. Spojrzał na Cichockiego z uwagą, nieznacznie przekrzywiając głowę, jakby w ten sposób informacja miała być bardziej zrozumiała.

- To znaczy?

- Gerard jest rozwodnikiem, ożenił się jeszcze na Wyspach i tam zdążył się rozwieść. Były plotki, że to Anglik, ale to nieprawda.

- Co ty mówisz? Jaki znowu... Anglik?

- Po prostu mój ojciec tak mówił na... - Cichocki się zawahał. - No, na geję tak mówił. Że to „Anglicy”. Wiesz, tak było bardziej elegancko, z klasą - wyjaśnił. - Wiem z całą pewnością, że Śliwiński to zdeklarowany heteryk, ale stawia raczej na nieformalne związki. I raczej nie młode dupy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Z takimi zawsze są jakieś problemy...

Kmita wpatrywał się w usta Cichockiego, jakby nadal liczył, że wyfrunie z nich jakaś niewygodna prawda, stawiająca prokuratora pod pręgierzem opinii społecznej. Nic takiego jednak się nie stało.

- Pff... - prychnął po chwili. - Też mi rewelacje.

- No co ci poradzę. Śliwiński jest jak ta przysłowiowa żona cezara: poza wszelkim podejrzeniem. Albo jest taki porządny, albo dobrze się maskuje. - Cichocki się uśmiechnął i mrugnął porozumiewawczo.

- A co o nim mówią? No wiesz, czy na przykład chodzi na układy.

- Jak chyba każdy prokurator - zdziwił się Cichocki. - Inaczej połowa spraw utknęłaby w martwym punkcie.

- Rozumiem... - powiedział powoli komisarz, jakby wciąż się nad czymś zastanawiał. - Słuchaj... A w ogóle kojarzysz tę Radecką? Pobita ze skutkiem śmiertelnym, zmarła w szpitalu, musiała trafić na stół w zetemesie. Może nawet ty robiłeś jej sekcję? Sprawa z Wigilii sprzed dwunastu lat.

- Radecka, mówisz? - Patolog pogrzebał w pamięci. - Czekaj, czekaj... Rzeczywiście, była taka sprawa. Pamiętam ją dlatego, że ani ja nie robiłem sekcji, ani nikt inny. Matka odmówiła wykonania autopsji, zrobił się dym. Zdaje się, że Ludwiczak interweniował, bo Wolski, poprzednik Burszty, mocno na to naciskał. Argument był taki, że na potrzeby śledztwa przekazano raport ze szczegółowej obdukcji przy przyjęciu na oddział, więc odpuścili. Zawieźli ją prosto ze szpitala do kostnicy, a stamtąd zabrał ją zakład pogrzebowy. Wszystkim jakoś tak strasznie się spieszyło...

- Tak się spieszyło, że po pół roku sprawę umorzyli, a teraz wszystko wyłazi w najgorszy z możliwych sposobów - sapnął Kmita. - A wracając do Śliwińskiego... Nie orientujesz się, kto wiedziałyby na jego temat nieco więcej?

- Więcej? - Cichocki w zamyśleniu potarł policzek. - A to on prowadził sprawę Radeckiej?

- Nie, ale wnioskował o umorzenie. No to wiesz czy nie?

- Więcej to wiedziałyby chyba... ten wasz Burszta - stwierdził patolog. - Odniosłem wrażenie, że dobrze się dogadują. Zapytaj podinspektora.

- Jeszcze mi życie i stanowisko miłe! - Kmita roześmiał się z wysiłkiem. - Swoją drogą to ciekawe, że te sztywniaki mają w ogóle jakieś pozazawodowe relacje z kimkolwiek. Śliwiński pewnie nawet w sypialni ma porozkładane akta spraw, żeby niczego nie przeoczyć, najlepiej naprzeciwko łóżka. Wiesz, taka czujność *twenty four seven* - prychnął.

- A w ogóle to co ci ten Śliwiński tak nagle wyskoczył?

- Sam nie wiem - przyznał Kmita. - Dziwny jest...

- Dlaczego nie chciałeś rozmawiać o nim przy Eliaszu? - Spojrzenie patologa odruchowo powędrowało w stronę drzwi.

Kmita westchnął ciężko.

- To dobry policjant, ma nosa, ale czasem ten nos wsadza nie tam, gdzie potrzeba. - Ponieważ Cichocki patrzył na niego ze zdziwieniem, dodał wyjaśniająco: - Straszny plotkarz.

\* \* \*

- Teraz już możemy na pewno stwierdzić, że w żadnej z tych spraw nie ma mowy o przypadkowości czy dziwnych zbiegach okoliczności... - powoli mówił Kmita, gdy jechali w stronę komendy. - Zapach alkoholu był potrzebny, żeby ktoś się nie spieszył z pomocą, bo tak zwykle się dzieje, gdy na ulicy trafi się na pijanego. Inna rzecz, że musimy znaleźć powód, dla

którego ktoś te ofiary, łącznie z Józefczakiem, powiązał. Józefczak był odnaleziony jako dziesiąty. Nie sądzę, żeby ktoś włożył tyle wysiłku, żeby ze wszystkimi uporać się w jeden dzień tylko dla fantazji. Za duże ryzyko, za dużo ofiar i cholernie mało czasu. To już pewne, że wszystko musiało się wydarzyć właśnie tego dnia, w Wigilię. Było długo i starannie planowane, a sam sprawca ma o swoich ofiarach wiedzę dużo większą niż my teraz. Dlatego od początku jest kilka, a nawet kilkanaście kroków do przodu.

– Walczyliśmy – odparł Eliasz, wciąż jeszcze nieco nadąsany za zagrywkę w zetemesie. – Czyli co, od jutra orka?

– A słyszałeś sygnał do odwrotu? – zakpił Kmita. – Wracamy na komendę. I choćbym miał tam zdechnąć ze zmęczenia, będę czekał na północ. Dopiero wtedy uznam, że możemy iść do domu, rozumiesz?

– Jak Kopciuszek?! – Sierżant parsknął śmiechem.

– Skończ z tymi żarcikami, dobra? Nie jestem w nastroju.

– No to muszę pana dobić. Sprawdziłem na stronie zakładu usług miejskich, czy na terenie zielonogórskich cmentarzy są groby Małgorzaty i Beaty Radeckich. Małgorzatę znalazłem, więc nie będzie problemu z ewentualnymi dokumentami. Co do Beaty, to nie ma śladu, że pochówek odbył się tu, na miejscu.

– To co, wyparowała?!

– No... nie, ale mogła zostać tylko skremowana albo pochowana w innej miejscowości.

– Wątpię... Córka i matka żyją samotnie, tylko we dwie, a ostatecznie nawet nie są pochowane na tym samym cmentarzu? Szukamy do skutku, przecież musi żyć ktoś z rodziny, kto zajął się pochówkiem Beaty Radeckiej.

Kmita przymknął powieki, odchylił do tyłu głowę i dosłownie wtopił się w oparcie fotela.

– Mam dość, Andrzej. Mam cholernie dość... Nie pamiętam, kiedy byłem tak zgoniony i taki koszmarnie bezradny... – powiedział z zaskakującą, przynajmniej w opinii Eliasza, szczerością. – Dziesięć ofiar, dziesięć ewidentnych morderstw... I wiem, jestem tego pewien na dwieście procent, że to jeszcze nie koniec.

# CZEŚĆ II

*24 grudnia, Wigilia  
dwanaście lat wcześniej*

## 1.

Jeszcze przez krótki moment miała nadzieję, że to nieprawda. Że to, o czym się właśnie dowiedziała, jest tylko snem, zwizualizowaną obawą, czymś, co za chwilę zniknie i nigdy nie powróci. To wciąż byłyby ich kuchnia, te same szafki i niedomagająca lodówka, na ścianie obrazek z rozsypaną kawą, pokryty ceratą w kwiaty stół i dwa krzesła. Nie byłyby tylko tych słów, rozplynęłyby się niepostrzeżenie, a ona by udała, że nawet ich nie pamięta. Przecież już tyle słów tu padło, takich przykrych, bolesnych, ale nic z nich nie wynikało. Jakby nie były faktem, tylko jednym z tych czarnych scenariuszy, które układały się w jej głowie każdego wieczoru, tuż przed zaśnięciem. Rano znów było dobrze. A przynajmniej poprawnie.

Ale nie. To byłoby zbyt proste. On to powiedział naprawdę i teraz chyba czekał jak skazaniec na jej reakcję. A jak mogła zareagować? Żle się stało, że powiedział jej to właśnie teraz. Normalnie by wyszła do pracy, miała spokojny dzień, robiła swoje i nie myślała, że jej świat zawałił się właśnie w Wigilię, w ten najgorszy dzień na przekazywanie takich informacji. Ale stało się i już nie było odwrotu. Siłą powstrzymała wybuch płaczu, przecież po tym, co usłyszała, on nie zasługiwał na jej łzy, rozpacz i strach.

– Ale z ciebie bydlę... – powiedziała powoli, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jak mogłeś być aż takim skurwysynem?

– Nie będziemy w ten sposób rozmawiać! – warknął i zrobił taki ruch, jakby chciał wyjść z kuchni, ale szybko zastąpiła mu drogę.

– W ten sposób? To znaczy jaki? Czyżbym w tej sytuacji powiedziała coś nie tak? – zdziwiła się. – A jak twoim zdaniem powinnam przyjąć taką wiadomość?! I na dodatek w samą cholerną Wigilię?!

Stał naprzeciw niej i oddychał ciężko. Nagle jakoś nie miał nic do powiedzenia. Gapił się tylko na nią wyczekująco. Jakby szykował się do odparcia uderzenia. Tak, powinna go uderzyć, mocno, z całych sił. Bo, kurwa, zasłużył! Boże, ależ go teraz nienawidziła... Okłamywał ją przez tyle miesięcy, grał, manipulował, niemal przeczył faktom, aż wreszcie stało się coś, czego już nie można było dłużej ukrywać.

– Który to miesiąc? – zapytała po chwili, nawet na niego nie patrząc.

– A jakie to ma znaczenie? – Wzruszył ramionami i też odwrócił wzrok.

- Skoro pytam, to jakieś jednak ma - powiedziała zmęczonym głosem. Sama nie wiedziała, dlaczego spytała. Może czuła, że to ich ostatnia rozmowa, bo po czymś takim nie da się już wrócić do czasu „sprzed”. Jedna bolesna rozmowa, takie zamknięcie, a potem już będzie lepiej, łżej. Chyba... - Więc który?

- Trzeci - odparł niechętnie.

- Ile to wszystko trwa? No bo nie zaczęło się trzy miesiące temu, prawda?

- Alina, odpuść sobie, stało się i tyle. Przecież tego nie planowałem. - Wciąż miał odwrócony wzrok, wbity w jakiś odległy kąt kuchni.

- Nie, no oczywiście... - Usiadła ciężko na krześle przy kuchennym stole. - Bo gdybyś planował, wszystko ułożyłoby się inaczej, prawda? - Milczał, więc dodała: - Dlaczego?

- Dlaczego mam romans? - Zdziwił się tym pytaniem i dopiero teraz na nią spojrzął.

- Romans... Ładne słowo. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Nie dorabiaj sobie - prychnęła. - To nie jest romans, tylko zwykła zdrada. Ciekawi mnie tylko, dlaczego ciągnęłaś to tyle czasu? Przecież mogłaś odejść, skoro byłeś aż tak nieszczęśliwy, że szukałeś pocieszenia w cudzym wyrze, ruchając, co popadnie.

Zwęził powieki i wysyczał:

- Właśnie dlatego. To wyłącznie twoja wina! - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Nie rozumiesz? Naprawdę? Bałem się, że wyładuję z deszczu pod rynną. Żeby nie było jak z tobą. Bo żeniłem się z kimś innym, ale po tamtej dziewczynie nie został nawet ślad. - Odwróciła wzrok. - Dziwisz mi się? - zapytał z grymasem złości na twarzy. - Kiedyś byłaś inna, zależało ci, a teraz?! Zobacz, jak ty wyglądasz! Zobacz! - Chwyił ją za włosy. - Zobacz! Zobacz! - Kłuił ją palcem w brzuch i ramiona. - Zaniedbana, śmierdząca papierochami, wulgarna! Rzygać mi się chce na twój widok!

Pewnie, że po tamtej dziewczynie nie został nawet ślad... Podczas gdy on „szukał swojego miejsca w życiu”, ona harowała na dwóch etatach, dźwigała na swoich barkach cały dom, walczyła z depresją, której symptomy nasiliły się po stracie kolejnej ciąży. Dawała radę, a raczej usiłowała dawać radę przez kilka lat, przynajmniej na początku. Ale potem? Było jej już wszystko jedno. Może nawet dlatego stała się najgorszą wersją samej siebie, bo podświadomie dążyła do tego, żeby ten obrzydliwy, cuchnący wrzód wreszcie pękł, żeby wydarzyło się coś, na co ona nie miała siły się zdecydować... Bo nie wiedziała, jak ukryć wstyd, że jej się nie udało. Nie była gotowa patrzeć na twarze rodziców, znajomych... Teraz boli, bo boleć musi. Ale zaraz przestanie. Weźmie po prostu większą dawkę leków i...

- Wyglądasz gorzej niż własna matka. - Pastwił się nad nią dalej, jakby odnajdywał w tym chorą przyjemność. - Ty z ludźmi pracujesz, nie wstyd ci? - rozkręcał się. - Jak sobie pomyślē, że miałbym cię jeszcze kiedyś...

- Przestań - przerwała mu. - Już przestań. Zrozumiałam - powiedziała cicho, wstała z trudem i wyszła z kuchni.

- A ty dokąd? - Zdziwił się jej nagłym brakiem reakcji. Do tej pory świadkami ich kłótni byli chyba wszyscy sąsiedzi.

Odwróciła się w jego stronę i odparła ze spokojem:



– Do pracy. – Sięgnęła po torebkę i telefon. Wyszła do przedpokoju, odprowadzana jego wciąż zdziwionym spojrzeniem. – Mam dyżur do szesnastej, ale w tej sytuacji już raczej nie będę się spieszyć i pewnie zostanę tam do rana. A ty wypierdalaj. Kiedy wrócę, ma tu po tobie nie zostać nawet ślad, rozumiesz?

– To także moje mieszkanie – obruszył się. – Ty się wynieś!

– W takim razie porozmawiasz na ten temat z moim ojcem, od którego pożyczyłam na nie pieniądze... – stwierdziła, z uwagą nakładając buty, płaszcz i czapkę. Zauważyła, że na słowo „ojciec” zareagował nerwowym skrzywieniem ust i spojrzał w bok. – Więc?

Najwyraźniej nie spieszyło mu się do dyskusji z teściem, znanym z tego, że najpierw wyprowadzał cios, a potem tłumaczył, co było tego powodem. Zresztą on sam z przerażeniem obserwował, jak na ich weselu teść złamał nos kuzynowi, który oblał mu żonę. Zrezygnował.

– Klucze zostawię u Marczaka. – Miał na myśli sąsiada mieszkającego przez ścianę. – Po reszcie rzeczy przyjadę po świętach.

Westchnęła głęboko.

– Z pracy zadzwonię do rodziców i powiem, że nie przyjdziemy na wigilię, bo wypadł mi dodatkowy dyżur. Nie chcę im spierdolić świąt... O, przepraszam za wulgarność – zreflektowała się. – Nie chcę im psuć świątecznego nastroju i całą sprawę dokładnie wyłuszczyć w bardziej dogodnym momencie – ciągnęła z wymuszonym uśmiechem. – Oczywiście z całym szacunkiem dla ich uczuć i wrażliwości. I postaram się jakoś wytłumaczyć ojcu, żeby ci odpuścił. Nie jesteś wart tego, żeby narobił sobie kłopotów. Dla mnie w każdym razie temat jest zamknięty.

– Alina, posłuchaj... – Chyba chciał powiedzieć coś, co mogłoby nieco osłabić ohydę całej tej rozmowy.

Nie dała mu skończyć.

– Rozwód będzie bez orzekania o winie. Tobie się spieszy, więc się tym zajmij. – A stojąc już w drzwiach, dodała, kręcąc z niedowierzaniem głową: – Z jakiegoś powodu za ciebie wyszłam. Ale teraz nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego...

Cicho zamknęła za sobą drzwi i poszła w kierunku wind. Z mijanych mieszkań dochodziły dźwięki kołęd i ożywione głosy. Wszyscy niedorzecznie cieszyli się na nadchodzący wieczór, jakby nie rozumieli, że nie ma w nim niczego specjalnego. Bo nawet w takim dniu czyjeś życie rozpada się z hukiem, a jedyne, co wypełnia człowieka po brzegi, to nienawiść i potworny ból.

## 2.

Krzysiek rozejrzał się niepewnie wokół. Władeczek, organizator tej niecodziennej wyprawy, do końca nie zdradził, dokąd jada i po co. Na pace siedziało ich czterech, niewygodnie przyciśniętych do ścian, bo większość przestrzeni zajmowały dziwne pojemniki składające się z plastikowych worków naciągniętych na metalowe stelaże.

Niemal wjechali do jednego ze stawów, gdy bus wreszcie się zatrzymał, a Władeczek wyskoczył z szoferki i podszedł do jakiegoś mężczyzny. Chwilę rozmawiali, a potem Władeczek otworzył tylne drzwi i zarządził wysiadkę. Stali w zimnym i przesiąkniętym wilgocią powietrzu, dopóki nie padło hasło do pracy. Dopiero teraz Krzysiek zrozumiał, do czego miały służyć te worki. Zaklął pod nosem, bo gdyby wiedział, w co się pakuje, w życiu by tu nie przyjechał. Niestety, było za późno na rozterki.

Najpierw Władeczek ze starszym mężczyzną, najprawdopodobniej niezbyt lojalnym stróżem stawów, zagarniali karpie szerokim, o ponad metrowej średnicy, podbierakiem i z wprawą pakowali je pospiesznie do pojemników, a potem już wszyscy razem do wnętrza busa. Trwało to jakieś dwa kwadranse, może odrobinę dłużej.

– Ruchy, panowie! – pógłosem pospieszył ich dozorca. – Zaraz ktoś zauważy, że jest jakiś ruch na stawie.

– Władeczek, nie mówiłeś, że to taka robota będzie! – stęknął Krzysiek, uginając się pod ciężarem żywego ładunku. – Co z nimi robimy?

– Gównno cię to obchodzi. Ładuj – zbył go.

– Nie za późno na ryby? – Krzyśkowi wciąż się coś nie zgadzało. – Ludzie te karpie, co je kupili, to zaraz będą jeść. Gdzie ty chcesz je teraz sprzedawać? I komu?

– Zamknij się! – warknął Władeczek. – Zamówienie było na co najmniej dwieście kilo i nie interesuje mnie, co i kiedy ktoś z tym coś zrobi. Zawieziemy to jeszcze dziś za Dąbie, na ten parking przy stacji benzynowej. Tam ryby klient wrzuci do swoich kontenerów. Musimy się spieszyć, żeby nie posnęły.

### 3.

Seweryn Białek zerknął na podany mu przez księgową wydruk z zamknięciem listopada.

– W ostatnim kwartale spadły nam mocno koszty na materiałach i półfabrykatkach. – Dziubnęła palcem w odpowiednią rubrykę. – Z czegoś zrezygnowaliśmy czy wynegocjował pan rabat? Bo lista kontrahentów się nie zmniejszyła...

Białek uśmiechnął się pod nosem.

– W rozliczeniach wszystko się zgadza?

– Tak, oczywiście.

– No to po co te pytania?

– Przepraszam... – powiedziała cicho. – Z mojej strony to wszystko, grudniowe wypłaty pójda w terminie. – Odwróciła się z zamiarem wyjścia z jego biura, ale ją powstrzymał.

– Moment! – Władczym ruchem przywołał ją bliżej, więc posłusznie podeszła. – Ktoś nam zalega?

Była na takie pytanie przygotowana. Zresztą jak na każde. Białek nienawidził, gdy nie uzyskiwał odpowiedzi od razu, niemal automatycznie, bez namysłu.

– Tylko hurtownia w Wolsztynie. Dostali już drugie wezwanie do zapłaty. Możemy ewentualnie... – zaczęła, ale nie dał jej skończyć.

- Dobra, dobra... - mruknął z niechęcią. - Zajmę się tym - rzucił i wyjął z kieszeni spodni telefon.

Ponieważ księgową stała niezdecydowana, spojrzął na nią wymownie.

- Jeszcze coś? Bo muszę się... windykacją zająć.

- Nie, mówiłam, że z mojej strony to wszystko - odparła, spuszczać wzrok.

Raz, absolutnym przypadkiem, była świadkiem takiej rozmowy szefa z klientem i... wolałaby nigdy więcej tego nie słyszeć. Wszyscy, którzy choć raz przekroczyli granice jego cierpliwości i dobrej woli, wiedzieli, że to się po prostu nie opłaca.

Niemal bezszelestnie wyszła z biura i starannie zamknęła za sobą drzwi. Starła się niczego nie widzieć, gdy godzinę później korytarzem, wprost do biura szefa, szedł rosły mężczyzna. Pewnie jeszcze przed świętami dłużnik uiszcza należność, a zarazem przestanie być klientem firmy.

#### 4.

Wnętrze busa było doszczętnie przemoczone. Widocznie jeden z worków został źle zabezpieczony i przez całą drogę ciekła z niego woda. Smród był koszmarny.

- Masz, wysyp ryż na dno, a na wierzch połóż to. - Władek podał mu torbę pełną czegoś, co przypominało czyściwo, a do drugiej ręki wsadził kilogramową paczkę ryżu. - No? - ponaglił.

- Ale dlaczego w ogóle robiliśmy to dziś?

- Bo dziś nikt by na stawy nie przyjechał, przecież jest Wigilia. Ten stary, co terenu pilnuje, musi tu niezłe lody kręcić... - powiedział jakby do siebie Włodeczek. - Warto mieć taki zamiar w pamięci. - Mrugnął porozumiewawczo.

Kiwnął na pożegnanie kierowcy solówki na niemieckich blachach, a potem wszedł do samochodu i od razu zapalił silnik. Krzyśkowi na myśl o jeździe do Zielonej Góry w tej mieszaninie zapachów ryb i nikotyny zrobiło się niedobrze. Jego żołądkiem wstrząsnął potężny spazm i po chwili chłopak już wymiotował.

- Narzygaj mi jeszcze w busie, to cię zapierdolę! - uprzedził go lojalnie Włodeczek. - Chodź tu - przywołał chłopaka do szoferki. - Napij się, to ci dobrze zrobi. - Wskazał na trzymaną przez siebie butelkę z lekko mętnym płynem. - To od tego starego - wyjaśnił. - Bonusik! - Roześmiał się chrapliwie, a po chwili zaczął kaszleć. - No, młody, dawaj. Ja się teraz nie napiję, ale ty możesz.

#### 5.

Małgorzata, przełamując wewnętrzne opory, weszła do gabinetu szefa. Eryk Grzelak, kierownik jej działu, a raczej team leader, jak głosiła spora tabliczka na drzwiach, wbił w nią niechętnie spojrzenie. Minęło niemal pół roku, ale nic się nie zmieniło - on jej nie cierpiał, ona się nim brzydyla. Zmiana pracy była już teraz zaledwie kwestią czasu, choć ona wciąż

wierzyła, że jest w stanie przejść nad wszystkim do porządku dziennego i po prostu robić swoje. Bez emocji oddzielić życie osobiste od zawodowego. Ale za każdym razem, gdy tylko zachodziła konieczność rozmowy z Grzelakiem, z nerwów zbierało się jej na wymioty.

- Proszę usiąść. - Ton szefa był oficjalny, oschły. Gdy zajęła stojące po drugiej stronie biurka krzesło, kontynuował: - Wezwałem tu panią...

- Wezwałem? - przerwała mu ze zdziwieniem. - Karolina - ruchem głowy wskazała na drzwi, za którymi siedziała asystentka Grzelaka - mówiła wyraźnie, że mnie pan prosi do biura.

- Wezwałem - powtórzył z naciskiem - żeby wyjaśnić temat pewnego... hmm... - zawałał się, ale po chwili dokończył: - Pewnego nadużycia. Pani nadużycia - uściślił z satysfakcją.

- O czym pan mówi? Jakiego... - Z nerwów zabrakło jej powietrza. - Jakiego nadużycia?

- Jeden z naszych klientów bez mojej wiedzy, a tym bardziej zgody, od kilku miesięcy korzysta z rabatu. Jak pani to nazwie?

- Nie rozumiem. - Małgorzata nerwowo poprawiła się na krześle i pochyliła w stronę Grzelaka. - Z jakiego rabatu?

- Rabatu pomniejszającego ustaloną cenę netto o blisko czterdzieści procent, a to, sama pani przyzna, całkiem sporo. - Wciąż patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem, więc dodał: - Różnica między ceną sprzedaży a ceną w umowie jest dla pani niejasna, pani Małgorzato? - mówił z wyraźną kpiną. - Naprawdę mam pani takie rzeczy tłumaczyć? Pan Seweryn Białek z jakiegoś powodu w pani opinii powinien zyskać rabat, okay, tak się robi, w końcu to stały, terminowy i na dodatek wieloletni klient. Tylko dlaczego nie ma żadnego śladu, na jakiej podstawie, od kiedy, na jak długo - wymieniał. - A przede wszystkim kto go zatwierdził.

- To znaczy? - Usiłowała zerknąć na papiery leżące na jego biurku, ale Grzelak się zorientował i szybko je do siebie przyciągnął.

- To pani przygotowywała umowę dla Białka?

- Taak - odparła powoli, wciąż nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. - Sprawdził ją dział prawny, a pan zaaprobował. Potem poszła do zarządu i do klienta.

- No i do tego momentu wszystko jest w porządku. Dlaczego więc na fakturach od co najmniej trzech miesięcy cena jednostkowa netto jest o złoty osiemdziesiąt niższa?

- Słucham?!

Dopiero teraz podsunął jej pod nos fakturę wystawioną na kontrahenta, z którym półtora roku temu podpisywana była umowa. Przy ilościach hurtowych w skali miesiąca strata dla firmy w tym momencie przekraczała kwotę kilkudziesięciu tysięcy złotych.

- Mogę spojrzeć na umowę? - Ponieważ wahał się przez dłuższą chwilę, rzuciła cierpko: - Zresztą nieważne. Mam jej skan w swoich plikach.

Podał jej dokument z wyraźną niechęcią. Małgorzata chwilę wpatrywała się na zmianę to w zapisy umowy, to w rubryki na fakturze.

- Przecież to czeski błąd! - wykrzyknęła z ulgą. Kolejne cyfry, najprawdopodobniej przypadkowo, zostały przestawione i tak z pięciu trzydzieści sześć zrobiło się trzy pięćdziesiąt sześć. - Wystarczy zadzwonić do pana Białka i wyjaśnić sprawę.

- Nie widzę w tym specjalnego sensu - oświadczył Grzelak.

- A to dlaczego?

- Białek na bank stwierdzi, że to wyłącznie nasz problem. I, niestety, będzie miał rację. Nawet jeśli od razu zauważył niższą kwotę, to pewnie uznał ją za jakiś rabat dla stałego klienta. Teraz ktoś musi pokryć różnicę i nie sądzę, żeby akurat on był do tego szczególnie chętny.

- Pan nie mówi tego poważnie... Jak to: nasz problem? To nie jest nasz problem, tylko ewidentna pomyłka!

- Ma pani rację. To nie jest nasz problem. Informuję, że dział prawny wystosował już wezwanie do zapłaty i dalsza współpraca jest niemożliwa - stwierdził lekko.

- W takim razie... - zaczęła i zastanowiła się chwilę - może najpierw porozmawiam z panem Białkiem, spróbuję to jakoś wyjaśnić. Nie jest wprawdzie zbyt uprzejmy, ale terminowy. Szkoda z kogoś takiego od razu rezygnować...

- Miałem na myśli współpracę z panią. Wezwanie do zapłaty jest właśnie dla pani, bo w tym momencie to jest już wyłącznie pani problem.

Do Małgorzaty dotarło, że to, co od kilku miesięcy brała za próby złapania jej na cokolwiek tylko dlatego, żeby się jej pozbyć, stało się faktem. Zagryzła usta i nosem wciągnęła powietrze. Udało jej się powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Ale to nie ja wystawiałam te faktury - odparła spokojnie i wskazała na nazwisko widniejące w miejscu dla wystawcy dokumentu.

- To prawda, ale pani je potwierdzała merytorycznie. Chce pani własną nieudolność zrzucić na koleżankę? Nie najlepiej to o pani świadczy i doprawdy nie wiem, czy ktoś taki jest mile widziany w jakimkolwiek zespole...

Patrzyła na szefa z niedowierzaniem.

- Niczego na nikogo nie zrzucam - zaproponowała. - Wystawiamy miesięcznie faktury dla blisko dwustu klientów. Naprawdę nie jestem w stanie wyłapać niuansów. Zwłaszcza że wielkości zamówień nie są stałe.

- No i dlatego teraz ten jeden przeoczony niuans - uśmiechnął się z wyższością - będzie musiała pani spłacić.

Zrobiło jej się słabo.

- Panie Eryku...

- Proszę się do mnie zwracać zgodnie z moim stanowiskiem - upomniał ją sucho.

- Panie Eryku... - Zdawała się w ogóle nie słyszeć tego, co powiedział, a tym bardziej jakim tonem. Uśmiechała się blado, ale drgający lewy kącik ust zdradzał silne zdenerwowanie. - Proszę dać mi godzinę, sprawa natychmiast się wyjaśni, a strata zostanie wyrównana.

- Okay - prychnął lekceważąco. - Ma pani godzinę.

## 6.

Doktor Jacek Ulewicz, od kilku tygodni dumny zastępca ordynatora, skończył swój nieformalny obchód po oddziale urazowym. Był już mocno zniecierpliwiony, a zarazem

przybity świadomością, że czas nieubłaganie ucieka, a on nic nie może na to poradzić. Czuł, jak w jego kieszeni co i rusz wibruje telefon, i dokładnie wiedział, kto od kilku godzin próbuje się z nim skontaktować. Nawet to rozumiał: czekanie jest dobijające, a w takiej sytuacji czas nie pracuje na niczyją korzyść.

Wszedł do pokoju lekarskiego i dopiero tam odczytał wiadomość: *Pospiesz się. Najbliższa doba będzie rozstrzygająca*. Czuł, że jest w matni. Przecież nie może, ot tak sobie, kazać zebrać zespołu chirurgów i wcisnąć im na salę operacyjną człowieka poza ustalonym harmonogramem. Zwłaszcza dziś... Jedyną opcją była konieczność pobrania organów od dawcy. A jemu potrzebny był dawca spełniający określone warunki. Pozostawało uzbroić się w cierpliwość i monitorować sytuację na pozostałych oddziałach, gdzie potencjalni dawcy kurczowo i wbrew wszystkiemu trzymali się swojego kruchego życia. W odpowiedzi na wiadomość napisał: *Załatwimy to jeszcze dziś*.

Jeszcze dziś...

## 7.

Małgorzata na miękkich nogach wyszła z gabinetu Grzelaka i powoli zmierzała na drugi koniec korytarza, gdzie znajdowało się zajmowane przez nią niewielkie biuro. Po drodze zjrzała od jednego z pokoi i zwróciła się do siedzącej za biurkiem młodej brunetki:

– Kinga! – Gdy tamta spojrzała w jej stronę, dodała ciszej: – Możesz za chwilę do mnie podejść? – Tamta kiwnęła potakująco głową, więc Małgorzata się cofnęła, zamknęła drzwi i odetchnęła głęboko. U siebie łatwiej jej będzie omówić sprawę z pracownicą, która była odpowiedzialna za wystawianie faktur.

Po chwili do pokoju weszła szeroko uśmiechnięta Kinga. Pracowały razem od prawie trzech lat i Małgorzata miała świadomość, że pod tym uśmiechem nie kryje się nic miłego ani sympatycznego. Kinga najchętniej utopiłaby ją w łyżce wody, o czym Małgorzata usłyszała pewnego dnia w toalecie, gdy tamta zwierzała się komuś z jawnej niesprawiedliwości, która ją spotkała, nie szczędząc przy tym Małgorzacie niezbyt wyszukanych inwektyw. To było niemal na początku ich współpracy, ale Kinga – a tego Małgorzata miała pełną świadomość – nigdy nie wybaczyła jej i ówczesnemu szefowi oddziału, że to nie ją, Kingę, awansował na stanowisko starszego menadżera.

Teraz Kinga swobodnie usiadła po drugiej stronie biurka, nonszalancko założyła nogę na nogę i hardo spojrzała Małgorzacie w oczy.

– Co jest?

– Białek – zaczęła Małgorzata. – Seweryn Białek, właściciel firmy z siedzibą na Chynowie... Kojarzysz?

– Tak – odparła Kinga. – Co z nim?

– Słuchaj... – Małgorzata starała się na tyle starannie dobrać słowa, żeby nie urazić koleżanki. Ta sytuacja wymagała choćby śladowego porozumienia, szło przecież o dużą stawkę. – Wiedziałas, że masz dla niego źle ustawione parametry?

- Nie rozumiem... Jakie parametry?

- Kwota jest zaniżona o prawie dwa złote netto. Nie widziałś tego? Błąd się ciągnie od kilku miesięcy.

Odwróciła monitor w stronę Kingi i wskazała rozbieżności.

- O, rzeczywiście - przyznała Kinga po chwili, ale trudno byłoby dopatrzeć się w jej zachowaniu strachu czy zdenerwowania. - No ale ty to weryfikujesz. - Błyskawicznie odbiła piłeczkę. - Obie wiemy, że mówiłam ci o tej rozbieżności wiele razy, ale skoro nic nie zmieniałaś, uznałam, że tak ma być... - Wzruszyła ramionami. - Jeszcze coś? - Zrobiła taki ruch, jakby chciała wstać.

- O czym ty mówisz?! - Małgorzata była pewna, że się przesłyszała. - Po pierwsze, nigdy mi o tym nawet słowem nie wspomniałaś! A po drugie i zasadnicze, to ty zawałaś sprawę, a mnie chcąc zwolnić z pracy i obciążyć! Powinniśmy obie wziąć za to odpowiedzialność.

- Chyba zwariowałaś... - Kinga uśmiechnęła się z wyższością. - Nie dam się wywalić z roboty, bo nie dopilnowałaś swojej działki.

Oburzona tym stwierdzeniem Małgorzata wstała i obeszła biurko. Stanęła naprzeciw Kingi i przyglądała się jej z wyraźnym zaskoczeniem.

- Kinga, nie ja wprowadzam dane klienta do systemu i nie ja ustalam dla niego kwotę! - Wszelkimi sposobami starała się nad sobą panować, ale była coraz bardziej rozdygotana. - Chodź do szefa, wyjaśnimy to! - W akcie jakiejś dziwnej desperacji chwyciła Kingę za rękaw, ale tamta wyrwała się nerwowym ruchem. - Przecież tak nie można!

- Zostaw mnie! Grzelakowi powiem, że o tym doskonale wiedziałaś. Moje słowo przeciwko twojemu. I co z tym zrobisz? - prychnęła Kinga. - Zresztą każda faktura jest z twoją merytoryczną akceptacją, czyli wiedziałaś, że idą ze złą wartością. - Twarz Kingi wykrzywił nieprzyjemny grymas. - No, co tak patrzysz? - zakpiła. - Trzeba było sprawdzać, zamiast podpisywać, jak leci! Chciałaś być managerem, to teraz masz - syknęła i wyszła z gabinetu, ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

## 8.

Bruno Dobiecki wrócił z hali produkcyjnej i ciężko usiadł za swoim biurkiem. Kolejny raz dotarło do niego, że tkwi w nieodpowiednim miejscu, wśród nieodpowiednich ludzi. Rozmawiał na ten temat z żoną wielokrotnie i ona konsekwentnie trzymała się jednego: ma z tym skończyć. Napisać wypowiedzenie albo po prostu rzucić wszystko w cholerę i kolejnego dnia najnormalniej w świecie się tam nie pojawić. Nie odbierać telefonów o absurdalnych porach i maili na prywatną skrzynkę, a także wykonywać zadań, które nigdy nie znalazły się w zakresie jego obowiązków służbowych. Bo praca tutaj zżerała go od środka, utrzymując ciało w stanie przewlekłego stresu. Był zmęczony, potwornie zmęczony i... wystraszony, że musi wreszcie coś przedsięwziąć, zmienić swoje życie, ruszyć do przodu.

Z westchnieniem otworzył nowy plik w komputerze i zaczął pisać: miejscowość, datę, swoje imię i nazwisko, stanowisko, a poniżej nazwę i adres firmy. Nazwisko szefa wybił na

klawiaturowi z organiczną wręcz niechęcią. Na ekranie pojawiło się wreszcie słowo „WYPOWIEDZENIE”, a Dobiecki zajął się internetem w poszukiwaniu odpowiedniego paragrafu, który na tę okoliczność przewiduje kodeks pracy. Był doprowadzony do ostateczności, a wciąż nie wiedział, jak przebiegnie rozmowa z szefem, i ta myśl dosłownie go paraliżowała.

## 9.

Nie było już czasu na przepychanki z Kingą, musiała działać i spróbować jak najszybciej to wyjaśnić. Odetchnęła kilka razy, żeby się uspokoić. Powoli docierało do niej, że praktycznie jest na straconej pozycji, ale nie była w stanie tak po prostu odpuścić.

Sięgnęła po swoją komórkę i chwilę wpatrywała się w nią z zastanowieniem. Ustawiła ją na odpowiednią funkcję i położyła obok aparatu stacjonarnego. Chwyciła za słuchawkę telefonu i drżącą ręką wybiła na klawiaturze numer do Białka. Chwilę trwało, zanim odebrał, jednak była do tego przyzwyczajona – niektórzy klienci potrafili oddzwonić dopiero następnego dnia, a Białek co prawda po dłuższej chwili, ale zawsze odbierał.

Wcisnęła głośnik i w pokoju rozległ się jego donośny, zniecierpliwiony głos.

– Co tam? – zaczął bez zbędnych wstępów. – Tylko niech mi pani nie mówi, że mam jakąś zaległość. Sprawdziałem, wszystko na koniec listopada jest uregulowane – uprzedził.

– Dzień dobry, panie Sewerynie – przywitała się Małgorzata, po cichu licząc, że ten nieco familiarny wstęp złagodzi impet wiadomości, którą ma do przekazania. – Dzwonię w innej sprawie...

– Innej? – zdziwił się. – Kończycie dostawy?

– Nie – uspokoiła go. – Kwestia rzeczywiście dotyczy ostatnich faktur, ale nie chodzi o zaległości.

Gdy już wyjaśniła mu całą sytuację, po drugiej stronie zapadła grobowa cisza. No, może nie grobowa, bo jednak słychać było, jak Białek nerwowo sapie.

– Halo?

– No i czego teraz ode mnie chcecie? – ruszył wreszcie. – Bo nie bardzo rozumiem...

– Na umowie była inna kwota niż na ostatnich fakturach. Skutkiem tego pańskie faktury były nieprawidłowo rozpisane, a pan płacił niższe należności.

– No i?

– Wystawimy notę korygującą, zgodną z zapisami umowy, a ostatecznie kwotę wyrównamy do końca stycznia.

– I pani zdaniem mam się ucieszyć? – zakpił. – Zawaliła pani sprawę, a teraz ja mam do tego dołożyć? W mojej firmie ktoś taki już byłby wywalony na zbity pysk!

– Przecież tłumaczę panu, że kwota obowiązująca została ujęta w umowie. Dostał pan pełnowartościowy produkt, nie było zastrzeżeń ani reklamacji, aby zastosować jakieś obniżki czy rabat. Nic się w tej kwestii nie zmieniło. Może uda mi się dopracować z działem



windykacji jakiś aneks, żeby wydłużyć okres spłaty brakującej należności. Na przykład do końca pierwszego kwartału przyszedł roku? – zaproponowała, siłąc się na spokój.

– A ja pani tłumaczę, że nie mam żadnych zaległych należności – wściekł się. – Faktury zostały wystawione i przesłane, uregulowałem wszystkie zgodnie ze wskazaną wartością. Nie będę płacił za czyjąś głupotę. A jak mnie wkurwicie, to poszukam sobie innego dostawcy!

– Panie Białek... – Wciąż jeszcze wierzyła, że to się uda. – Proszę mnie posłuchać... – Nabrała powietrza i, starając się panować nad coraz bardziej drżącym głosem, powiedziała: – W związku z zaistniałym nieporozumieniem – celowo zaakcentowała ostatnie słowo – chcę mnie zwolnić z pracy, oskarżając o celowe działanie na szkodę firmy.

– No i?

– Proszę pana o możliwość polubownego załatwienia sprawy. Przy odrobinie dobrej woli nasza współpraca ma szansę na ciąg dalszy, a ja postaram się o stały rabat, mimo iż cena dla pana już teraz jest bardzo korzystna.

– A co ty mi załatwisz, skoro mają cię wywalić z roboty?

– Jeśli mnie zwolnią, to zapewniam pana, że ja tego tak nie zostawię. Przede wszystkim dlatego, że w kwestie księgowych zaangażowanych było więcej osób i nie tylko ja powinnam ponieść ewentualną odpowiedzialność. Musi pan mieć świadomość, że jeżeli sprawa trafi do sądu, to niewykluczone, że będzie pan w to w jakiś sposób wciągnięty, bo powołam pana na świadka. Mam wsparcie kogoś, kto doskonale orientuje się w prawniczym świecie. Rozumie pan? A oboje dobrze wiemy, że gdy temat wypłyne raz, skutki mogą być nieprzewidywalne. Grzebanie w fakturach to naprawdę fatalny pomysł...

– Ty... gówniaro! – Białkowi z wściekłości aż zabrakło powietrza. – Straszysz mnie?! – krzyknął. – W pięć minut tam się pojawię i rozmowa będzie inna!

– Nie straszę, tylko próbuję znaleźć rozwiązanie korzystne dla wszystkich. Przecież pan wie, że to była zwykła pomyłka, i możemy to załatwić w sposób mniej drastyczny.

– Powiedziałem, że faktury płaciłem zgodnie z tym, co na nich było. Z niczym nie zalegam – sapał w słuchawkę. – A ty sobie zapamiętaj lepiej, żebyś nigdy żadnego wezwania do sądu nie dostał. Chcesz się całe życie oglądać za siebie? – Groźba nie była nawet zawołowana, najwidoczniej pan Białek często korzystał z nieformalnych i być może niezgodnych z prawem sposobów rozwiązywania swoich problemów.

– Teraz ewidentnie pan próbuje mnie zastraszyć!

– A spierdalaj! – warknął i się wyłączył.

W tym momencie Małgorzata już wiedziała na pewno, że niczego nie ugra, niczego nie wyjaśni... Była sama na polu bitwy, bez najmniejszego wsparcia. Zrozumiała, że ten, kto już od dłuższego czasu zbierał na nią haki, wreszcie dopiął swego.

## 10.

Marian Józefczak wpatrywał się w pusty portfel z uczuciem głębokiego rozczarowania. Był niemal pewien, że powinien tam mieć jeszcze co najmniej dwudziestkę. Jednak nie było ani

banknotu, ani nawet bilonu pozwalającego na uczczenie samotnej wigilii butelką najtańszej wódki. Zaklął pod nosem i systematycznie przejrzał wszystkie schowki, w których żona zwykle kamuflowała jakieś zaskórniaki. Z czasem poznał je wszystkie, więc musiała się naprawdę postarać, żeby cokolwiek uchronić. Raz nawet przykleiła woreczek od spodu kredensu – cholernie sprytnie, musiał przyznać. Ale on był w takiej desperacji, że nawet i to znalazł, a potem całość od razu posłał „na przelew”. Na wiele nie wystarczyło, bo dołączyli do niego kompani, którzy jak zombie wypełzali z każdej dziury, gdy tylko doleciał ich dźwięk odkręcania butelki. Ale była wściekła! Józefczak pomyślał, że to chyba wtedy po raz pierwszy powiedziała mu, że odejdzie... „Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz!” – zaśmiał się jej prosto w twarz. A dokąd niby miałyby iść? Jej starzy już poszli do piachu, więc jak by żyła sama, bez mężczyzny, na dodatek z trójką drobiazgu? A jednak odczekała do momentu, gdy go znów zgarnęli i posłali do Braczewa. Uciekła gdzieś z dziećmi, po cichu, nocą, żeby nawet sąsiedzi niczego nie widzieli i nie słyszeli. Zabrała tylko trochę ciuchów, swoich i dzieci, nie zapominając o tym, co mogła łatwo przetransportować, a przede wszystkim szybko spieniężyć. W mieszkaniu zostały talerze, ręczniki, pościel... Uwinęła się, zanim odrobił cały wyrok. Może szykowała się już wcześniej? Głupia suka! On byłby w domu nawet prędzej, ale na ostatniej sprawie przypalili mu recydywę i tak jakoś... wrócił dopiero tydzień temu. Został puste mieszkanie. Był głodny i zmarznięty, liczył na ciepły posiłek. Zjadłby z apetytem wszystko, a jakże, nawet nie miałby do niej żalu, że go nie odwiedzała przez ostatni rok. Ale niepotrzebnie się spieszył. Mógł pójść na włam jeszcze tego samego dnia, przynajmniej teraz zjadłby jak człowiek i siedział w ciepłym. Dyżurny może by im pozwolił w świetlicy przy kołędach chwilę posiedzieć, pogadać, powspominać czasy, gdy jeszcze mieli wybór.

Ale było inaczej i musiał coś przedsięwziąć. Liczył, że przy takiej okazji jak dziś musi trafić w mieście na kogoś, kto po firmowej, nierzadko suto zakrapianej, wigilii pójdzie piechotą, żeby wypity alkohol szybciej wywietrzał i żeby po powrocie do domu rodzina nie ciosała kołków na głowie. Kogoś, kogo zaraz obrobi. Potem urządzi wigilię po swojemu.

Zarzucił na siebie wysłużoną kurtkę, na głowę wcisnął czapkę i wyszedł z mieszkania. Nie zamykał drzwi na klucz. Nie było takiej potrzeby, przecież wszystkie cenne przedmioty ta kurwa i tak zabrała ze sobą.

## 11.

Kwadrans później Małgorzata, nieznacznie uspokojona, weszła do gabinetu Grzelaka i stanęła przed jego biurkiem.

– Rozmawiałam z panem Białkiem. – Uniosła rękę, w której trzymała komórkę, jakby w ten sposób chciała udowodnić prawdziwość swoich słów.

– Z prywatnego? – zdziwił się.

– Taak... – odparła po chwili zastanowienia. – Bałam się, że ze służbowego nie odbierze, zna przecież numer.

- I co? - Grzelak nawet nie podniósł na nią wzroku, skupiony był na analizowaniu leżących przed nim papierów. - Wyrówna różnicę? - Pytając, był już pewien, jaką otrzyma odpowiedź.

Małgorzata pokręciła przecząco głową.

- Nie. Nie byłam w stanie się z nim porozumieć.

- Mówiłem - powiedział z satysfakcją i dopiero wtedy na nią spojrział. - Na jego miejscu też bym tak postąpił. Pani zawałiła i pani za to odpowie.

- Jak tak w ogóle można? - zapytała z niedowierzaniem. - To tylko błąd. Mój pierwszy błąd. Na dodatek nie tylko ja jestem za niego odpowiedzialna. Pan przecież przegląda miesięczne raporty sprzedaży, równie dobrze pan mógł to wcześniej wychwycić.

- Serio? Tak pani chce uniknąć odpowiedzialności? Oj... - jęknął Grzelak z politowaniem. - Ślabe to... Najpierw winna była koleżanka z działu, teraz ja...

- Przecież ja tych pieniędzy nie ukradłam!

- Ale naraziła pani firmę na straty - odparł. - I chyba nie sądzi pani, że możemy nad tym przejść do porządku dziennego. To tworzyłoby precedens i nagle wszyscy zaczęliby się beztrudnie mylić, a z czasem po prostu kraść. W HR jest przygotowane pani świadectwo pracy i wezwanie do zapłaty. - Była niemal pewna, że wszystko czekało na nią od rana. Było po dwunastej, o sprawie dowiedziała się godzinę temu, a przecież nie było do końca wiadomo, jak uda się to całe zamieszanie wyjaśnić. Uwinął się... - Proszę zabrać z biura swoje rzeczy osobiste i klucze zostawić w HR.

- Może być pan pewien, że ja tego tak nie zostawię. - Czują, że za chwilę się rozpłaczę, ale postanowiła nie dawać mu tej satysfakcji. Wpatrywał się w nią spod zmrużonych powiek i kpiąco uśmiechał. - Tutaj może pan jest wszechwładny, ale są jeszcze sądy - wypaliła. - I tak się zastanawiam, czy wysokość mojego odszkodowania nie przekroczy rozmiaru straty będącej skutkiem błędu. Błędu, a nie, jak pan twierdzi, sabotażu czy malwersacji. Ale to już pańska decyzja.

- Wiesz co? Mam gdzieś, jak to nazywasz. - Odchylił się na swoim wielkim fotelu i uśmiechnął z wyższością. - Pomogłaś mi i sama wpakowałaś się na minę. Wolę mieć w zespole bardziej... - zawałił się - ...chętne do współpracy dziewczyny.

- Czyli gdybym się wtedy, na szkoleniu w Gdańsku, z panem przespała, moja kariera wystrzeliłaby w górę?

- Dałem ci wybór... - Wzruszył ramionami. - W sumie to wystarczyłoby, żebyś mi porządnie obciągnęła. - Na jego twarzy pojawił się oblesny uśmiech. Był odrażający.

- A znalazłeś to, prostaku, w moim CV?! - palnęła. Już i tak było jej wszystko jedno, więc dodała, patrząc mu prosto w oczy: - Tak sobie myślę, co będziesz czuł, dzieląc się dziś z żoną i dziećmi opłatkiem. - Z rozmachem otworzyła drzwi i, już niemal stojąc w przejściu, odwróciła się w jego stronę. - Oczywiście zaraz po tym, jak Kinga ci porządnie obciągnie - sapnęła i wyszła na korytarz.

Domyśliła się, że szef chciał za nią wybiec, bo gwałtownie uniósł się ze swojego gigantycznego fotela, ale ostatecznie dobiegł tylko do drzwi, a potem z furią je zatrzęsła. Wrócił do biurka i szybko sięgnął po telefon.

Małgorzata weszła do swojego pokoju i w pośpiechu spakowała do torebki leżące na biurku rzeczy osobiste: telefon, paczkę chusteczek higienicznych, okulary w skórzanym etui przywiezionym jej przez mamę z czasów w Chorwacji. Od pęku kluczy z zabawnym breloczkiem w kształcie słonia odpięła te do biurka i stojącej w rogu pomieszczenia szafy z dokumentami. Wylogowała się z systemu i wyłączyła komputer.

Klucze, identyfikator i służbową komórkę bez słowa zostawiła na biurku kierowniczką działu HR. Tamta patrzyła na nią ze współczuciem, chyba się domyślała, że to, co się aktualnie dzieje, to efekt ewidentnego „polowania na czarownice”. Grzelak od kilku tygodni z powodzeniem usuwał z firmy osoby, które mu nie sprzyjały. Małgorzata odmówiła podpisania jakiegokolwiek dokumentu, a wychodząc na korytarz, mruknęła tylko niewyraźne „do widzenia”. Dystans, jaki miała do pokonania, żeby schować się w kabinie windy, wynosił kilka, może kilkanaście metrów, ale jej się wydawało, że idzie bez końca pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń ludzi za szklanymi ścianami.

Gdy była już przy windzie, zorientowała się, że kilka kroków za nią ktoś stoi. Odwróciła się i napotkała wzrok Kingi.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała, choć w ciemno mogła obstawiać odpowiedź. I rzeczywiście. Kinga pokręciła przecząco głową. Nie uśmiechała się, ale patrzyła na nią z widoczną satysfakcją. Małgorzata wyjęła z torebki telefon i czegoś w nim szukała. – Po trupach do celu, co?

– Po trupach? Może i po trupach – syknęła Kinga. – To całkiem dobra metoda, prawda?

– To może ja powinnam zadzwonić do żony Eryka i zdradzić kilka pikantnych szczegółów dotyczących tego banału, który uprawiacie tu po godzinach?

– Nie radzę! – Kinga błyskawicznie stanęła obok Małgorzaty. – Bo mogę ci tak zatruć życie, że ta dyscyplinarka będzie zaledwie mało istotnym epizodem – wyszczała. – Wypadki chodzą po ludziach – dodała. – Za pół litra ktoś może ci zrobić z bużki miazgę. Szkoda by było...

Drzwi windy się otworzyły i Małgorzata weszła do środka. Odwróciła się do Kingi i powiedziała ze spokojem:

– Jesteś dziś kolejną osobą, która mi grozi. A te groźby są karalne. – Jej głos był zadziwiająco spokojny, jakby właśnie wszystko poukładała sobie w głowie. – I to też wykorzystam w sądzie, możesz być pewna. – Wskazała na swój telefon. – Sprytne urządzenie, powinnaś nauczyć się je wykorzystywać nie tylko na durne SMS-y. Ty i ten twój kochaś.

Zanim Kinga zdążyła zareagować, winda się zamknęła i powoli zjechała na parter. Dopiero wtedy Małgorzata wybuchnęła głośnym płaczem.

## 12.

Zapatrzonego w smętny i powoli ginący w szarzyźnie wczesnego popołudnia krajobraz Brunona Dobieckiego poderwał dzwonek telefonu. Wyświetlone nazwisko rozmówcy nie pozostawiało żadnych złudzeń – szef. Odebrał z autentyczną niechęcią.

– Tak?

- Dobiecki, zapraszam do biura.

W głosie szefa wyczuł charakterystyczną wibrację, która zapowiadała zawsze ten sam scenariusz. Będzie musiał wsiąść w samochód i pojechać w miejsce, do którego jechać nie chce. Rozmawiać z ludźmi, których wolałby nigdy nie widzieć na oczy. Załatwić sprawę, która z etyką nie miała nic wspólnego. Pilną. Nieprzyjemną. Dobiecki, młody i ambitny absolwent mechatroniki, wciąż nie mógł uwierzyć, do jakiej roli został sprowadzony przez swojego nieprzebiegającego w środkach szefa. Bo tu nie liczyły się jego wykształcenie i umiejętności. Imponujący wzrost okazał się w tej sytuacji przekleństwem. Stojące w drzwiach prawie dwa metry ubitej na siłowni sylwetki wykluczały z punktu jakiegokolwiek dyskusje.

Bruno, trzymając w ręku dokumenty, powoli podszedł do drzwi, na których widniała ostentacyjnie wielka tabliczka z informacją, że tu urzęduje Seweryn Białek, właściciel. Jakby był właścicielem wszystkich pracowników, od pomocnika magazyniera po główną księgową. I w pewnym sensie tak przecież było. Każda drobna uprzejmość czy okazana pomoc była tak naprawdę kolejnym ogniwem solidnego łańcucha, którym Białek ich do siebie przywiązywał, oczekując bezwzględnej lojalności. Jego lojalność kupił niemal od razu, wystawiając mu laurkę z poborami, gdy Dobiecki starał się o kredyt. Przyspieszyła sprawę o dobre kilka tygodni, oczywiście ze skutkiem pozytywnym. A on od pierwszego dnia nienawidził tego mieszkania, bo miał wrażenie, że ściany są wytapetowane kolejnymi poleceniami jako wymierną wzajemnością za okazaną życzliwość. A potem... było tylko gorzej.

Gdy wszedł do biura szefa, ten rozmawiał przez telefon, a przynajmniej tak to wyglądało. Na widok Dobieckiego ruchem głowy wskazał krzesło po drugiej stronie biurka i spojrzeniem nakazał usiąść. Bruno posłusznie zajął miejsce.

- Oddzwonię - zakomunikował swojemu rozmówcy szef, rozłączył się i wbił wzrok w Dobieckiego. - Pojedziesz w jedno miejsce. - Przełożył telefon do lewej ręki, prawą szybko zapisując coś na niewielkim skrawku papieru. - Tu masz adres.

- Nie mogę... - jęknął Bruno. - Błagam, nie dziś... Przecież to Wigilia...

- Wigilia była także w zeszłym roku i będzie w przyszłym - zirytował się Białek. - Poradzisz sobie, zawsze sobie radzisz. To wyjątkowa sytuacja, naprawdę nie mam kogo posłać, „chłopcy” niemal od rana są już w terenie. A ja nie mam czasu. No mówię ci, że to ostatni raz.

- Poprzednio miał być ostatni raz. Obiecał pan, że już nie będę do tego angażowany - przypomniał mu Dobiecki. - Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie.

- Nie zwracaj mi dupy! - krzyknął Białek. - Wszyscy tylko chcą brać pieniądze, ale żeby o nie powalczyć, to chętnych brak! - Był już tak głośny, że Dobiecki odruchowo zacisnął powieki.

- Nie - uparł się. - Ani teraz, ani nigdy więcej, rozumie pan? - Otworzył oczy i wbił w Białka mocne spojrzenie. - Zresztą i tak się zwalniam - zakomunikował i położył na biurku trzymane dotąd w ręku papiery.

- Co to, kurwa, jest?! - Twarz szefa zrobiła się purpurowa, ale szybko się opanował.

- Moje wypowiedzenie - odparł Bruno.

- Nie bądź śmieszny, Dobiecki. - Białek wygodnie rozparł się na olbrzymim skórzanym fotelu. - Wypowiedzenie zawsze możesz złożyć, nawet dziś, ale... - Zerknął na zapisaną w podaniu datę. - Do końca miesiąca jesteś mój, wiesz? Jesteś moim chłopcem na posyłki i właśnie dostałeś kolejne zlecenie. Załatwisz sprawę i wtedy porozmawiamy o zakończeniu

współpracy. A jak będziesz wierzył, przypomnę sobie, gdzie tak naprawdę byłeś, gdy znaleźli tego pobitego studenta... – Wzrok Białka dosłownie przewiercał go na wskroś. – To jak będzie?

Dobieckiemu stanął przed oczami obraz sprzed bez mała pięciu lat. Wieczór w klubie, świętowali drugą rocznicę ślubu. Przypałał się jakiś podpity gnojek i zaczął zaczepiać Asię. Jej spojrzenie mówiło: „Zostaw, to nic takiego...”. A jemu przed oczami stanęła czerwona ściana, pięści same się zaciskały. Ręka tamtego na talii Asi, jego usta tuż przy jej twarzy, gdy dyszał do ucha coś obrzydliwego. Skuliła się, pokręciła przecząco głową i Bruno dokładnie wiedział, że to był sygnał dla niego. Żeby odpuścić, nie dał się sprowokować. Ale było za późno. Wyrwał ją z tego nachalnego uścisku i pospiesznie wyszli z klubu. Mimo protestów i płaczu wsadził ją do taksówki, a potem wrócił na salę. Tamtego dupka nie było, znalazł go dopiero w kiblu. Nic nie pamiętał. Jak zza kurtyny docierał do niego chrzęst łamanej kości, jęk połączony z dziwnym bulgoczącym charczeniem. Czuł coś mokrego i lepkiego, co długo i mozolnie zmywał z siebie po powrocie do domu. Chłopak omal nie zmarł w karetce, a Białek dał mu wtedy żelazne alibi. Łańcuch tego dnia powiększył się o kolejne ogniwo. To najcięższe.

Wstał i niemal wyrwał Białkowi z ręki kartkę z odręcznie zapisanym adresem. Znał to miejsce.

– Ostatni raz – powiedział z mocą i wzrokiem wskazał na leżące na biurku wypowiedzenie. – I będziemy kwita?

Białek kiwnął potakująco głową.

– Jak bardzo? – zapytał, już stojąc w drzwiach.

– Wyjątkowo zawzięta baba, więc zrób sobie święto i pomyśl, że to moja gęba! – Szeł się roześmiał, wyraźnie rozbawiony swoim żartem. Nagle spoważniał i pochylił się w stronę Dobieckiego. – Wypierdalaj – warknął.

## 13.

Spojrzał na zegarek. Było po czternastej. W firmie od paru godzin wszystko było podporządkowane tylko jednej sprawie, nad którą szef wydziału powierzył pieczę właśnie jemu. Był zły i rozczarowany, bo planował wcześniej urwać się do domu. Beata pewnie jest już zmęczona, ale uparła się, że sama przygotowuje całą wieczerzę, i walczyła z menu od wczoraj, choć mieli tę Wigilię spędzić tylko we trójkę. Zaproszony wcześniej przyjaciel z żoną ostatecznie pojechał do teściów, kuzynka Beaty podejmowała bliskich swojego świeżo upieczonego zięcia i tak z co najmniej dziesięciu osób zostali tylko oni.

On sam wołałby teraz smażyć rybę albo kroić warzywa na sałatkę, ale wszystkie plany wzięły w łeb, bo dokładnie na dziś szef ustawił konferencję prasową dotyczącą tej hucpy z ubiegłego tygodnia z udziałem jednego z bardziej medialnych posłów. Bomba wybuchła, gdy w budynku, w którym mieściło się jego biuro, pogotowie miało udzielić pomocy na wpół rozebranej, naćpanej i nieprzytomnej nastolatce, która w ten sposób zakończyła zjazd po sporej porcji amfetaminy. To z kolei poskutkowało pomysłem szkolenia i wdrożenia procedury

postępowania w sytuacjach, gdy świat polityki zbyt aktywnie próbuje brać udział w tymże postępowaniu.

Musieli się z tym uwinąć jak najszybciej, ponieważ o sprawie błyskawicznie dowiedziały się media. Temat był wdzięczny przede wszystkim dlatego, że owa nastolatka okazała się córką właściciela sieci sklepów, który mocno i ofiarnie wspierał kampanię tegoż poła, często i ochoczo pozując z nim do zdjęć. Pół godziny po przewiezieniu dziewczyny do szpitala w prokuraturze i na policji rozdzwoniły się telefony, i to z tak wielu źródeł, że sieć ich wzajemnych powiązań była tyleż ewidentna, co doskonale ilustrująca poziomy korupcji i wstydliwych zależności.

Po ognistej konferencji w prokuraturze, trwającej bez mała dwie godziny, teraz marnowali czas na szkoleniu z bogato ilustrowaną prezentacją multimedialną, kompletnie niewnoszącą niczego nowego do zakresu pracy ani prokuratury, ani policji. A potem to już standard: telefony, maile, próby wydrapania sobie choćby kilkuminutowego terminu spotkania wyłącznie po to, żeby kolejny raz wytknąć funkcjonariuszom publicznym skandaliczną opieszałość, indolencję i ogólny brak profesjonalizmu. Znał to od dawna, trenował wiele razy, więc każdy kwadrans dłużył się w nieskończoność.

Zdziwił się, gdy na ekranie komórki odczytał imię osoby, od której telefonu spodziewał się dziś najmniej. Małgorzata? W jakiej pilnej sprawie dzwoniła właśnie teraz, skoro za chwilę powinna być już w domu? Wyszedł z biura i stanął przy dużym oknie, przez które można było dojrzeć życie normalnych ludzi, szykujących się do wigilii.

## 14.

Firmowa wigilia skończyła się już jakąś godzinę temu, ale Karol Pakot został w biurze dłużej. Żegnając się ze współpracownikami, zapewnił, że on tu po wszystkim posprząta, ale tak naprawdę chciał dokończyć to, co zostało w butelce wina, z której każdy wypił po symbolicznym kieliszku. A poza tym w jego biurku jeszcze tkwiło napoczęte pół litra czystej wódki. Co z tego, że obrzydliwie ciepłej, skoro on i tak właśnie dziś musiał ją wypić, bo obiecał sobie, że już od jutra... nie pije. Jutro było genialnym terminem, bo nigdy nie nadchodziło, zawsze uciekało i tym samym zwalniało go z kolejnych deklaracji, gwarancji, przyrzeczeń... Mityczne jutro. Jutro będzie dobrym człowiekiem, czystym, w elegancko odprasowanej koszuli i pachnącym dobrą wodą kolońską. Uśmiechniętym. Trzeźwym. Ale jeszcze dziś jest „pijaczkiem Pakotem”, któremu każdy współczuje i po cichu się z niego naśmiewa. Gównu wiedzieli! Dopił ostatnie łyki i skrzywił się niemal boleśnie. Gorycz ciepłego alkoholu zdawała się wypalać mu gardło, ale skoro obiecał sobie, że dziś z tym skończy, to musiał dotrzymać słowa. Inaczej nic już mu się nie uda...

Obrócił się na fotelu, do jednej z szuflad stojącego pod biurkiem kontenerka wrzucił opróżnioną butelkę, z głośnym trzaśnięciem domknął nieco zwichrowane drzwiczki i obrócił kluczyk w zamku. Gotowe, można wracać.

- Karol, idziesz wreszcie? - W drzwiach stanął ochroniarz. - Jesteś ostatni, wszyscy już dawno w domu. Tylko nie zapomnij zamknąć biura i odwiesić kluczy - nakazał.

Pakot z ewidentnym trudem wstał zza biurka i nieznacznie się zachwiał.

- Karol... - Ochroniarz podszedł bliżej. - Dobrze się czujesz? - Ostrożnie dotknął jego ramienia.

- Zostaw! - Nerwowym ruchem strząsnął jego dłoń. - Nic mi nie jest - warknął. - Idź do siebie, ja już wyjeżdżam.

- Wsiadasz za kółko? - zdziwił się ochroniarz. - Zwariowałeś?! Poczekaj, wezwę ci taksówkę. - Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po komórkę.

- Daruj sobie. - Pakot zamknął komputer i odłączył od gniazdka listwę przepięciową. Mógł być naprawdę pijany, a jednak nigdy o takich rzeczach nie zapominał. Jeszcze raz rozejrzał się po swoim niewielkim biurze i minął wciąż stojącego w drzwiach ochroniarza. - Wracam do domu.

Do domu... Na samą myśl, że za chwilę wejdzie do pustego, zimnego i ciemnego mieszkania, wychyliłby z przyjemnością jeszcze kilka kieliszków. Od kilku lat lubił Wigilię tylko z jednego powodu - tego dnia mógł pić bez opamiętania, bo potem miał całe dwa dni na trzeźwienie. A jeżeli Wigilia wypadła w połowie tygodnia, to nie tylko trzeźwienie trwało dłużej, ale i samo picie. Jednak to jeszcze tylko dziś te kilka kieliszków, no symbolicznie wręcz, musiał się napić, skoro wszyscy pili. Zostało mu kilka godzin, zdąży wytrzeźwieć. To ostatni raz, naprawdę, no przecież da radę wytrzymać...

Ochroniarz wzruszył ramionami i pokręcił z dezaprobatą głową, a potem cofnął się w głąb korytarza.

Pakot wyszedł z biura na nieco chwiejnych nogach. Zgasił światło i przekręcił klucz w zamku. Wyjął go i chwilę przyglądał mu się z namysłem. W zasadzie to... mógłby tu zostać. Zsunąłby kilka krzeseł w biurze obsługi klienta i tam się przespał. Nie był głodny, toaletę miał na miejscu, przecież nikomu by nie przeszkadzał.

Ale właśnie dziś los dał mu szansę, kto wie, czy nie ostatnią. Był zaproszony na wigilię do córki i jej męża. Mieli być też teściowie. To była idealna okazja, bo w sierpniu urodził się mały Juliusz, pierwszy wnuk. I wtedy Dominika postawiła mu ultimatum: przyjdzie trzeźwy albo niech nie pojawia się już nigdy. A on się napił. Znów... Jak dziesięć lat temu, pięć, jak w zeszłym roku. Co miał robić? Skłonności do alkoholu, rzecz można, wyssał z mlekiem matki, nie dało się inaczej. Wokół chlali wszyscy, on po raz pierwszy spróbował, zanim poszedł do szkoły. Nie smakowało, ale kolejne podejście, kilka lat później, dało już nieco przyjemności. Nagle pił codziennie, często do nieprzytomności. Szwagier załatwił mu tę pracę, nakazując przynajmniej ograniczenia. Nic specjalnego, wydawał odzież roboczą, załatwiał pralnię i takie tam. Przy Marysi, matce Dominiki, naprawdę się starał. Co z tego, skoro zmarła nagle, zostawiając ich tak bez słowa. Alkohol dawał ukojenie, wygładzał myśli, zniczulał. Do następnego dnia. Nawet się nie zdziwił, że córka wykorzystwała pierwszą po temu okazję i wyjechała z zapuszczonego, przesiąkniętego alkoholem domu na studia. Szybko, bo już na trzecim roku, wyszła za męża i nigdy już do rodzinnego domu nie wróciła. A jednak teraz dała mu szansę, ale on ją właśnie zaprzepaścił.



- Wesółych, kurwa, świąt... - powiedział przez ramię do ochroniarza. Tamten pewnie skończył już zaplanowany na tę godzinę obchód, za chwilę utknie w tej swojej kanciapie, ale chyba nie żałował. Może dlatego, że rano wróci do domu pełnego ludzi.

- Karol, nie wariuj! - Ochroniarz znów chwycił go za ramię, ale tym razem mocno przytrzymał. - Jesteś pijany!

- Daj mi spokój!

## 15.

Małgorzata kroczyła ulicą jak lunatyczka. Kompletnie tego nie rejestrując, dotarła do początku ulicy Dekoracyjnej i, niemal nie rozglądając się na boki, przeszła na drugą stronę. Po chwili obojętnie minęła rozgorączkowany tłum, miotający się w przedświątecznym amoku po parkingu przy Biedronce, i tuż za stacją benzynową skręciła w Aleję Zjednoczenia. Szła bardzo powoli, wręcz powłócząc nogami. Zatrąbił na nią jakiś niecierpliwy kierowca i dopiero to wybiło ją z tego letargu.

Zatrzymała się i rozejrzała wokół. Całkiem zapomniała o zaparkowanym pod biurowcem samochodzie, ale przeszła już taki kawałek, że ostatnią rzeczą, na którą miałaby teraz ochotę, było cofnięcie się po auto, a przy okazji, nie daj Boże, spotkanie się na parkingu z kimś, kogo twarzy wolałaby już do końca życia nie oglądać. Zastanowiła się chwilę, rozważając wezwanie taksówki, ale ostatecznie wyciągnęła z torby telefon i wybrała numer oznaczony jako „Tatko”. Połączenie odebrano natychmiast.

- Co jest, córcia? - usłyszała krzepiący głos.

- Tatku... - Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale znów rozplakała się bezradnie.

- Gosiaczku, no co jest? W pracy coś? Czy pokłóciłaś się z Tomkiem? - wypytywał z troską.  
- No mów, dziecko!

Westchnęła głęboko.

- Ale... Ale nie mów nic mamie, dobrze? - zastrzegła. - Wiesz, Wigilia to nie jest dobry moment na takie wiadomości...

- Ale jakie, dzieciaku?

- Oskarżyli mnie o niedopełnienie obowiązków służbowych i świadome działanie na szkodę firmy. Wywalają mnie z pracy dyscyplinarnie. Utrata zaufania! - Była tak wzburzona, że nieświadomie podniosła głos. - Utrata zaufania?! Bo nie wyłapałam błędu, który równie dobrze mogły zobaczyć inne osoby?!

- Co ty mówisz, dziecko?! Dyscyplinarnie?!

Uspokoila oddech i dość nieskładnie opowiedziała mu o sytuacji sprzed paru godzin.

- Boże, przecież ja nic złego nie zrobiłam! To błąd, zwykła pomyłka! - Znów zanosła się płaczem.

- Naprawdę ich nagrałaś? - upewnił się. - Całą trójkę?

- Tak... Ale przecież i tak nie wykorzystam tego w sądzie - odparła z rezygnacją. - Dobrze wiesz...

- To się dopiero okaże – stwierdził. – Córcia, ja tu już powoli kończę. Poczekaj, przyjadę po ciebie – zadecydował. – Nie możesz w takim stanie wsiadać za kierownicę.

- Ale ja już idę piechotą – odparła. – Minęłam parking obok Biedronki i idę w stronę wiaduktu.

- A to nawet jeszcze lepiej – ucieszył się. – Znajdź jakiś lokal po drodze, zamów sobie herbatę, posiedź, uspokój się. O, najlepiej idź do Tesco, tam w pasażu na pewno jest jakaś kawiarnia czy coś... Zadzwoń, gdy podjadę na parking, i razem wrócimy. A całą sprawę na spokojnie obgadamy później w domu.

- W domu? No a mama? – zaprotestowała słabo. – Przecież jest Wigilia...

- Do diabła z Wigilią, teraz ty jesteś najważniejsza.

Małgorzata pomyślała, że ma najcudowniejszego ojczyrna pod słońcem. Nawet najbardziej zagoniony, zawsze znalazł dla niej czas i ratował z wszelkich opresji. Jak choćby teraz, mimo iż była już dorosła, a za chwilę miała się wyprowadzić.

- Nie, zrobimy inaczej. – Siąknęła nosem i niedbale przetarła twarz wierzchem dłoni. – Pójdę do domu pieszo, jakoś słabo teraz się widzę w tym świątecznym tłumie. Jak się uda, to najwyżej zgarniesz mnie po drodze, okay? Spacer dobrze mi zrobi...

- Nie zmarzniesz? – zatroszczył się, jakby wciąż miała dwanaście lat i wracała ze szkoły bez czapki na głowie.

- Nie. – Wreszcie się uśmiechnęła. Słabo, ale jednak. Podziałął głos tatki, a świadomość jego opieki była zawsze rozczulająca, a teraz nawet trochę zabawna. – Zadzwoń, jak już wyjedziesz z pracy.

- Zadzwoń – obiecał i wyłączył się.

## 16.

Zanim skończył rozmowę, już z połowy korytarza widział zbliżającą się do niego energicznym krokiem znajomą sylwetkę. Był to od roku szef jednego z wydziałów, podczas gdy on, w „bratniej instytucji”, dopiero zyskiwał mocną pozycję. Facet był w porządku, miał tak jak on kompletnie wywalone na splendor i nadęcie z tytułu zajmowanego stanowiska, i chyba za to go najbardziej polubił. Szybko awansował, dużo szybciej niż on sam, ale trzeba było przyznać, że w pełni zasłużenie. Nawet nieżyczliwi wróżyli mu niezłą karierę, przede wszystkim ze względu na skuteczność i mocno akcentowaną apolityczność. Praca z nim była czystą – oczywiście jak na jej specyfikę – przyjemnością. Obaj po studiach prawniczych, obaj z zapleczem zawodowym zyskanym na Wyspach, którym niechętnie się chwalili – głównie ze względu na fakt, że w polskich warunkach w tamtym czasie charakter ich pracy nie był szczególnie życzliwie postrzegany. Ale paradoksalnie to właśnie sprawiło, że byli doskonale przygotowani do wykonywanych obowiązków. Często z dziecinnym zacięciem wkurzali otoczenie, kiedy na własne potrzeby, niejako automatycznie, przechodzili na płynny angielski, zapewniając tym sobie swobodę działania, nierzadko z pominięciem uciążliwych i spowalniających procedur.

Gdy tamten stanął obok niego, uniósł w górę lewą dłoń, jakby w ten sposób chciał powstrzymać go przed przerwaniem rozmowy. Rozłączył się po chwili i zapytał z tłumioną irytacją:

- Co znowu? Tylko mi nie mów, że jest jakiś ciąg dalszy... Jest Wigilia.
- Przykro mi, ale główny nas wzywa. Wkurwiony jak diabli. Zdaje się, że poleci kilka głów.
- Mam go w dupie – odparł niezbyt elegancko. – A ja tam po co?
- Mają być wszyscy naczelnicy, i to nie tylko od nas, ale i z policji. Podobno pan poseł już był łaskaw pociągnąć za kilka sznurków, bo sprawa jego sponsora zaczyna brzydko pachnieć.
- Czyli znów przewalimy kilka godzin tylko po to, żeby kolejny piskorz z politycznym poparciem się wywinął – westchnął. – Dobra, idź, zaraz dołączę. Co za dzień...

## 17.

Ten samochód wyrósł tuż przed nim, a przecież tylko na ułamek sekundy wjechał na lewy pas. Pakot był więcej niż pewny, że droga jest kompletnie pusta. I nagle te światła! Resztką przytomności umysłu wyprowadził swój samochód z tego dziwnego poślizgu i gwałtownie przyspieszył, żeby nie pociągnęło go na chodnik. Wyrzeźwiał w jednej chwili.

Dopiero gdy wjechał na ulicę Kupiecką, zdał sobie sprawę, co się stało. Skręcił na parking przy gazowni, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Głowę oparł na rękach złożonych na kierownicy i ciężko dyszał. Po cholere tamtędy jechał?! Pod zamkniętymi powiekami odtwarzała się z nieprawdopodobną wyrazistością scena, którą dostrzegł we wstecznym lusterku. Powinien był się zatrzymać, zareagować, jakoś pomóc... Choćby zawiadamiając policję. Ale musiałby na miejscu złożyć zeznania jako świadek, a zapach alkoholu zdradziłby go od razu. Po co mu kolejne kłopoty? Po prostu uzna, że tego nie widział. Niczego nie widział, nie słyszał, w ogóle go tam nie było. Na Boga, ile po ulicach Zielonej Góry jeździ teraz białych escortów? Po chwili było mu tak duszno, że otworzył okno. Zimne powietrze wpadało do płuc, a każdy oddech przypominał garść drobnych i potwornie ostrych igieł. Nasłuchiwał, czy w jego kierunku nie jedzie nic na sygnale. Zaraz po tym zgromił sam siebie: a niby z jakiego powodu ktoś miałby go poszukiwać, a tym bardziej ścigać?

*Nic się nie stało, przecież nic się nie stało...* – powtarzał w myślach jak mantrę. Nie ma siły, żeby w tamtym momencie ktokolwiek zwrócił na niego uwagę, co więcej, w ogóle zarejestrował, że to właśnie on tamtędy jechał... Więc skąd ten strach?

Ponownie włączył silnik i zerknął w lusterka. Powoli wyjechał z parkingu i po chwili skręcił w Chopina, kierując się stroną dworca. Postanowił, że na razie tam zaparkuje samochód, do domu pojedzie autobusem i na spokojnie postanowi, co dalej. Nie ma sensu teraz się afiszować...

Gdy wysiadł, dokładnie obszedł samochód i dostrzegł po lewej stronie dziwne wgniecenie. Niezbyt głębokie, ale długie, rozciągnięte na szerokość obojga drzwi. Jakby od gwoźdźca albo klucza.

- Kurwa... – mruknął pod nosem.

O coś jednak zahaczył. Wyjął z kieszeni zapalniczkę, a potem przysunął jej płomień bliżej karoserii. Nie jest źle, do zrobienia niemal od ręki. Pod wiaduktem jest tak ciemno, że minie parę godzin, zanim ktoś się zorientuje, co zaszło. Może nawet dopiero jutro? Nieznacznie uspokojony tą myślą, z tylnego siedzenia zabrał teczkę, czapkę i rękawiczki. Zatrzasnął drzwi i zablokował zamki. Nogi miał jak z waty, wciąż nie wiedział, jak w ogóle udało mu się przejechać taki kawał.

Dotarł do przystanku i sprawdził, kiedy odjeżdża najbliższy autobus w kierunku Zachodniej. Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi pojazdu, odetchnął.

## 18.

Józefczak tracił powoli nadzieję. Spacer w niezbyt mroźny, ale bez wątplenia przesiąknięty zimną wilgocią dzień, na dodatek na drugi koniec miasta, pochłonął spory zasób jego gasnącej energii. Był coraz bardziej głodny, zły i rozczarowany. Zwykle, o ile w takim dniu nie odsiadywał kolejnego wyroku, „darczyńcy” niemal leźli mu w ręce. Zabiegani, zaaferowani zbliżającą się wieczszą albo po prostu podpici, a przez to ufni, wręcz sami proszący się o problemy. Otwarta torba, portfel niedbale wciśnięty do kieszeni, rozpięty płaszcz... Ale dziś, jak na złość, przez całą trasę, od Fabrycznej, przez Długą i Aleję Zjednoczenia, nie trafił na żadnego frajera. Albo ci ludzie sporządzili, albo on stracił ten swoisty radar na okazje. Zniechęcony, dotarł aż pod wiadukt i stwierdził, że sprawdzi pobliski przystanek, a jeśli autobusy wciąż jeszcze kursują, to szóstką wróci do domu. Oczywiście, że bez biletu, ale może dziś nawet kanary przemówią ludzkim głosem... Pozostawało mu już tylko pozebrać po sąsiadach, w końcu Wigilia, do domu nie zaproszą, ale choć dadzą coś zjeść.

Chciał skrócić sobie drogę, przecinając niewielki skwer, i stanął jak wryty. Zanim skręcił, dostrzegł pod jednym z filarów wiaduktu ciemną plamę. Sporą, przypominającą znajomy kształt. Ostrożnie zrobił kilka kroków do przodu i zrozumiał, że na poboczu leży kobieta. Rozejrzał się, a potem podszedł jeszcze bliżej. To niemożliwe, żeby aż tak mu się poszczęściło! Musiała być konkretnie nawalona, bo nawet nie drgnęła. Leżała zupełnie nieruchomo i chyba to go ośmieliło. Powoli i wciąż ostrożnie zbliżył się jeszcze o krok i wsłuchał w jej oddech. Był cichy i urywany, ale na pewno słyszalny. Nie wyczuł woni alkoholu. Gdy jego stopy znalazły się tuż przy jej głowie, zerknął na twarz. Nie zdziwiło go, czy w jakiś szczególnie sposób nie zaniepokoiło, że leżąca kobieta miała zamknięte oczy, które pokrywała powoli zastygająca w dość chłodnym powietrzu krew. Wyglądała jak ktoś, kogo brutalnie pobito i wyrzucono z pędzącego samochodu. Wiedział, że w tej okolicy działy się różne rzeczy, i dlatego z rzadka się tu zapuszczał. Wszelkie ewentualne refleksje Józefczaka przytłoczyła jednak świadomość, że kobieta miała wciąż przewieszoną przez ramię torebkę. Widocznie komuś bardziej zależało na przykładnym ukaraniu niż na obłowieniu się.

- Było grubo, co? - zapytał ze zrozumieniem. - Ale chyba towarzystwo nie dopisało... Buźka już nie będzie taka jak dawniej.

Ujął nieprzytomną kobietę pod ramiona i, stękając z wysiłku, przeniósł, a raczej przeciągnął głębiej pod wiadukt. Musiał zniknąć z widoku, żeby móc ją przeszukać. Sięgnął po

torebkę i nerwowym, niecierpliwym ruchem rozsunął zamek. Włożył rękę do środka i wymacał telefon, który szybko ukrył w wewnętrznej kieszeni kurtki. Po chwili dłoń trafiła na coś, co przypominało gruby portfel, taki na dokumenty, karty i pieniądze. Manna z nieba! Z tego też można zrobić użytek. Reszta była zbędna. Nigdy nie brał biżuterii – za bardzo rozpoznawalna, jakieś kolczyki po cholernej prababci albo inna rodowa pamiątka były wyłuskiwane w ciągu kilku dni, bezbłędnie prowadząc do naiwnego w swej głupocie złodzieja. Ale Józefczak był już na to za sprytny i choćby miał żreć tynk ze ścian – błyskotek, poza zegarkiem, nawet nie dotykał.

Uniósł głowę, gdy zorientował się, że od strony Osadniczej zmierza w jego kierunku jakiś samochód. Po chwili dostrzegł busa, którego reflektory wydobyły go z mroku, zanim zdążył się schować. W oknie samochodu mignęła wpatrzona w niego twarz. Musiał uciekać.

Po drodze wyjął z portfela pieniądze, a potem cisnął go w pierwsze mijane krzaki. Postanowił, że telefonem zajmie się później. Chciał go wyłączyć, ale był zablokowany. Starannie wsunął go do kieszeni kurtki. Nie byłoby najlepiej, gdyby aparat upadł, bo z zepsutego czy połamanego nie będzie żadnego pożytku.

Ani przez moment nie pomyślał o leżącej pod wiaduktem nieprzytomnej kobiecie.

## 19.

Gdy wjechali do Zielonej Góry, było już ciemno. Może dlatego, że Władeczek przezornie postanowił, tak na wszelki wypadek, wrócić do miasta z kompletnie innej strony. Krzysiek siedział skulony w szoferce, starając się oddychać ustami i twarz mieć skierowaną na nadmuchy. Oddychał powoli, płytko, jakby obawiał się, że w przeciwnym wypadku smród wnętrza busa osiadzie mu na płucach.

– Co tam, młody? – zagadnął go milczący dotąd Władeczek. – Możesz powiedzieć swojej lalce, że pomagałeś przy sprzątaniu stoiska z żywymi karpami, stąd ten zapach – poinstruował go. – No wiesz, jakby pytała.

– Nie będzie pytała... – mruknął Krzysiek i wbił wzrok w ciemność za oknem.

Ewelina nigdy o nic nie pytała. Czasem nawet wolałby, żeby zainteresowała się tym, co on robi, w jaki sposób zarabia, a przede wszystkim, jak długo będą oboje tkwić w tym zawieszeniu. Od roku mieszkali w wynajętym ciasnym mieszkanku, a raczej niewielkiej części strychu zaadaptowanej na kawalerkę. Ewelina pracowała na jednej ze stacji paliw, jej zarobek był pewny, przynajmniej dopóki nie wpadnie im do głowy postarać się o dziecko. To z tego powodu nie wspominał o małżeństwie. Może dlatego, że nie chciał jej trzymać przy sobie na siłę, wciąż dawał jej wolną rękę, gdyby w końcu jednak straciła cierpliwość i poszukała sobie lepszej partii. Ale ona wciąż, na przekór wszystkim i wszystkiemu, z nim była. Z takim nieudacznikiem, który nigdzie miejsca sobie zagrzać nie może. Gdyby nie to, że Władeczek to stary kolega ojca, nie miałby nawet tej gównianej roboty, w której awansował na pospolitego złodzieja. Brzydził się sobą, tym, co zrobił, brzydził go uśmiech zadowolenia na zarośniętej twarzy Władeczka, który chyba uważał się za króla życia. Krzysiek dobrze widział gryby rulon

zwiniętych banknotów, z całą pewnością euro. Jeden z tych banknotów może, dzięki szczodrośliwości Władeczka, wylądować za chwilę także i w jego kieszeni. Po świętach zaprosi Ewelinę do Focusa, połażą po galerii, ona kupi sobie coś ładnego, dzięki czemu jego wyrzuty sumienia nieco stracą na sile.

Bus zjechał z wiaduktu przy alei Zjednoczenia i skręcił gwałtownie przy wjeździe na Dąbrowskiego. Krzyśkiem zarzuciło i uderzył skronią w szybę. Gdy spojrzął z wyrzutem na Władeczka, w tle, pod jednym z filarów wiaduktu, dostrzegł człowieka kucającego przy jakimś ciemnym, nieregularnym kształcie. W świetle ulicznych latarni wyglądało to jak kłęb porzuconych ubrań. Kucająca postać, w momencie gdy najechał na nią snop światła z reflektorów busa, uniosła się gwałtownie. Krzysiek niemal przykleił twarz do szyby i krzyknął:

- Jezu! Władeczek! Tam ktoś leży...

- I co z tego?

- Zatrzymaj się – nakazał, zaglądając w lusterko. Stojąca postać odbiegła, ale ciemny kształt na poboczu leżał nieruchomo. Władeczek nawet nie zwolnił. – Dlaczego się nie zatrzymałeś? – Znów nerwowo zerknął w lusterko. – Może ktoś potrzebuje pomocy! – Szarpnęła kierowcę za ramię. – No co jest, kurwa! Stań!

- Ochujaleś?! – Władeczek wyszarpnęła ramię. – Bus wali na kilometr i lepiej, żeby nikt do niego nie zaglądał.

- Wystarczy sprawdzić, co tam się stało.

- To pewnie jakiś pijaczyna zaczął wcześniej świętowanie. Przyjedzie karetka, potem policja, zaczniesz się wypytywanie. A kto? A co? Każą się wylegitymować, a potem jeszcze samochód obejrzą z każdej strony, bo nikt ci nie uwierzy, że z dobrego serca się zatrzymałeś.

- Tylko że co?

- Że masz z tym coś wspólnego, tylko chcesz od siebie uwagę odwrócić...

- Boże, ty chyba sobie żartujesz... – Krzysiek był już kompletnie zdezorientowany. Po krótkim namyśle wyjął telefon. – Zadzwoń – zakomunikował. Widząc wściekłą minę kierowcy, dodał: – Przecież nie będę się przedstawiał. Powiem tylko, że chyba ktoś leży na poboczu, jest zimno i... Ten... – Nie dokończył, gdy kierowca nerwowym ruchem wyrwał mu telefon i szybko przełożył go do drugiej ręki. Potem otworzył okno i bezceremonialnie wywalil go z jadącego samochodu na zaspę, powstała po odśnieżaniu ulicy, po drugiej stronie jezdnii.

- Coś ty zrobił?! – krzyknął pasażer. – Coś ty, kurwa, najlepszego zrobił?! Mam tam wszystko, rozumiesz?! Wszystkie numery, ty debilu!

Ledwie dojechali do budynków piekarni, poczuł mocne szarpnięcie i niespodziewanie samochód stanął.

- Wypierdalaj – usłyszał. – No? Jazda stąd, ty tępy chuju! – Kierowca odpiął swój pas, przechylił się na prawą stronę i otworzył mu drzwi od środka. Potem odpiął pas pasażera. – Mam ci pomóc? – warknął.

Wysiadł.

- I żebym cię więcej na oczy nie widział, ty pierdolony konfidencie!

Krzysiek biegiem wrócił na miejsce, w którym powinien leżeć jego aparat. Było już ciemno i naprawdę trudno było dociec, gdzie dokładnie mógł upaść.

- Kurwa mać... - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Co za jebane bydlę! - rzucił w kierunku, w którym oddalił się bus.

Rozglądał się bezradnie dłuższą chwilę. Światła mijających go samochodów momentami go oślepiały, dodatkowo utrudniając poszukiwania. Wreszcie zobaczył niewielkie zagłębienie o dość regularnym, zbliżonym do prostokąta kształcie. Zanurzył rękę w śniegu i z triumfem wyjął swój telefon.

Włączył go i niemal krzyknął z radości. Działał! Szybko wybił na klawiaturze numer sto dwanaście i czekał na połączenie.

## 20.

Trzymając przy uchu telefon, podszedł bliżej i chwilę przyglądał się ciału. Kobieta. Leżała dziwnie prosto, z głową dosłownie w plamie wciąż intensywnie czerwonej krwi. Wyglądała tak, jakby ją ktoś skatował. To musiał być napad, bo mimo błota, śniegu i krwi jej odzież była bez wątpienia staranna, a wręcz elegancka, nawet doleciał go wątyły zapach perfum, którymi przesiąknęło ubranie. Rozpięte poły płaszcza i leżąca obok wyraźnie wybebeszona torebka wskazywały, że ten, kto przy tym ciele stał jeszcze kilka minut temu, z całą pewnością nie próbował udzielić pomocy, tylko po prostu kradł, co się dało. Wiedział, że nie powinien niczego ruszać, więc tylko ostrożnie przytknął dłoń pod jej twarz i z ulgą stwierdził, że wciąż oddycha.

- Numer ratunkowy, słucham? - W słuchawce odezwał się męski głos.

- Pod wiaduktem, obok hurtowni „Jędrak”, leży jakaś kobieta! - niemal na jednym wydechu wyrzucił z siebie rozmówca.

- Skąd pan dzwoni?

- No jak to skąd?! Z Zielonej Góry.

- Wie pan, co się stało? Wypadek, może została pobita? Pijana?

- Nie wiem dokładnie, niczego nie widziałem, ale... Wokół jest sporo krwi, więc...

- Przełączam do oficera dyżurnego policji - poinformował go dyspozytor.

Znów kilka trwających w nieskończoność sygnałów i kolejny głos:

- Drugi komisariat policji w Zielonej Górze, sierżant Ireneusz Błaszczak, słucham.

- Mówiłem już... Pod wiaduktem, na tym zakręcie przy hurtowni „Jędrak”, ktoś leży.

- No i?

- Nie rozumiem...

- Ale co to znaczy, że ktoś leży? Pijany może?

- To kobieta... - zawahał się. - Ciężko pobita, nieprzytomna. Sprawdziłem, że wciąż oddycha. Nie jest pijana, tak przynajmniej mi się wydaje... A przed chwilą widziałem tu kogoś jeszcze, ale uciekł.

- Daj pan spokój, pewnie jakaś pijacka impreza była. Poleży na świeżym powietrzu, zamarznie, to się obudzi i pójdzie do ciepłego. W radiowozie tylko napaskudzi.

- Co pan mówi?! Karetkę trzeba wezwać! Ona jest cała we krwi!

- To proszę wezwać. Tylko jak się okaże, że pijana i nic poza rozbitym nosem jej nie dolega, zapłaci pan za nieuzasadnione wezwanie. Ja i tak nie mam teraz kogo tam posłać, bo wszyscy są w terenie. Jak dyżurny złapie jakiś wolny patrol, to może kogoś podeśle - odparł ze spokojem policjant i się wyłączył.

Krzysztof kilka razy odetchnął głęboko i starał się opanować. Znikąd przyplęnęło wspomnienie jakiegoś lekarza pogotowia, który puścił na YouTube filmik, gdzie zalecał, żeby „po staremu” dzwonić na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Wybił trzy dziesiątki na klawiaturze i wtedy odezwała się dyspozytorka pogotowia. Miał z nerwów suche gardło, a musiał kolejny raz wyłuszczać okoliczności wezwania pomocy. Po chwili zdał sobie sprawę, że zaczyna krzyczeć, a raczej dziwnie charczeć, z coraz większym trudem wyrzucając z siebie kolejne słowa.

- To proszę podejść do tej osoby pana zdaniem poszkodowanej i się upewnić - poleciała zirytowanym tonem dyspozytorka. - Mamy tu urwane głowy, nie będę wysyłać karetki do pijanej.

- Ludzie, co z wami?! Skąd wiadomo, że pijana?! A jeśli nawet, to co, kurwa, z tego?! Ma tu umierać?!

- Jak się pan upewni, to proszę dzwonić. - Ton, jakim dyspozytorka go instruowała, nie pozostawiał złudzeń. Trzeba będzie mocniej się postarać, żeby tego babsztyla przekonać. - Przypominam, że za nieuzasadnione wezwanie pogotowia trzeba zapłacić. Słono - dodała ze zniecierpliwieniem i się wyłączyła.

## 21.

Alina Mazurek z furią trzasnęła otwartą dłonią w blat biurka.

- Odpieprzcie się wszyscy ode mnie! - warknęła w kierunku monitora, jakby tam siedział jej ostatni rozmówca. - Pięć minut spokoju, kurwa, zasrane pięć minut, to tak wiele!

Powinna być opanowana, nie reagować impulsywnie, starać się wyczuć, czy osoba wzywająca pogotowie naprawdę go potrzebuje, ale dziś... nie miała na to ani siły, ani ochoty. Ten jeden raz chciała mieć święty spokój, żeby na chłodno zaplanować choć kilka najbliższych dni. Nawet nie zadzwoniła jeszcze do rodziców, żeby uprzedzić ich, że nie pojawią się z Leszkiem na wigilii. Bo co im powie? „Leszek właśnie kopnął mnie w dupę, będzie miał dziecko z jakimś młodym kurwiszonem”? Ojciec się wścieknie, matka rozplacze. Jedyne wyjście: zwalić to na konieczność dodatkowego dyżuru. A co z Leszkiem? Cóż, w tej sytuacji Leszek pojedzie do brata i tam spędzi Wigilię. Tak, takie wytłumaczenie łatwiej przełkną.

Wstała z zamiarem zrobienia sobie kolejnej kawy, gdy do jej pokoju zajrzał kierownik stacji. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ją szpieguje. Pojawiał się w najmniej spodziewanym momencie, zawsze wszystko wiedział i nie dawał się zaskoczyć. Służbista i formalista. Odkąd tu nastał, wzrosła tylko liczba wypełnianych formularzy, których ona szczerze nie cierpiała. Po kilku godzinach nerwowych rozmów z mniej lub bardziej roszczeniowymi i bezczelnymi ludźmi jedyne, o czym myślała, to łóżko, a nie stos papierów. Nie musiała na niego patrzeć,



żeby wiedzieć, że stał w drzwiach i gapił się na nią bez słowa. Będzie udawała, że nie wie, co akurat tym razem sprowadza, choć w ciemno obstawiała, że usłyszawszy jej wybuch złości, nie mógł sobie darować i przyszedł sprawdzić, czy przypadkiem nie uszkodziła sprzętu.

- Wszystko w porządku? - zapytał wreszcie półgłosem.

- A dlaczego pan pyta? - Zrobiła unik, nawet nie patrząc w jego stronę. Nie chciała pokazywać czerwonej, zapłakanej twarzy. Skupiła się na starannym wysypywaniu do kubka kolejnej porcji mielonej kawy. Czwartej tego dnia? A może szóstej?

- Słyszałem podniesiony głos i... - Nie dokończył.

- Podniesiony głos? - Powtórzyła za nim, jakby się upewniała. - Być może - przyznała po chwili. - Też jestem tylko człowiekiem i mam granice wytrzymałości. Jest Wigilia, a niektórym się wydaje, że powinni chlać już od rana. - Wzruszyła ramionami. - A potem do takiego zachłańca wzywają karetkę, a inny z zawałem czeka w nieskończoność.

- To było takie właśnie wezwanie? - Mówiąc to, ewidentnie podawał w wątpliwość jej ocenę sytuacji. Głupi nadgorliwiec.

Spojrzała mu bezczelnie w oczy i odparła z mocą:

- Tak.

- Dlaczego pani zdaniem? - Jego nieznacznie zmarszczone brwi dodatkowo podniosły jej ciśnienie.

- Bo ja pracuję tu od siedmiu lat, a pan od trzech - odgryzła się, może na wyrost oceniając pytanie kierownika jako próbę zaniżenia jej kompetencji. Ale już i tak było za późno na refleksję. Po dzisiejszym poranku było jej wszystko jedno. Mogą ją nawet wywalić z tej choleralnej roboty. - I doskonale wiem, kiedy sprawa wymaga angażowania ludzi i sprzętu.

- O tym, czy wezwanie jest zasadne, czy nie, powinien jednak decydować lekarz pogotowia - odparł. - Pani zadaniem jest przyjąć wezwanie.

- Proszę mnie nie pouczać! - podniosła głos.

- Co się z panią dzisiaj dzieje? - Wszedł głębiej i ku jej niezadowoleniu usiadł na krześle przy drugim stanowisku. - Jakies problemy?

Niewykluczone, że ten zaskakująco ludzki odruch wywołał w niej kolejną falę płaczu. Bezradnie pokręciła głową i wytarła mokre policzki.

- To chwilowe - odparła, uspokajając oddech. - Jestem po prostu zmęczona.

Zerknął na zegarek.

- Zgodnie z grafiką została pani niespełna godzina. Jeśli to problem, zadzwonię do pani Danusi, może uda się jej przyjść wcześniej.

- Dziękuję, ale... - odparła cicho i odwróciła wzrok. - Nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie.

- Jak pani uważa - odpuścił. - A czego dotyczyło tamto wezwanie?

- Ktoś zadzwonił, bo przy ulicy Osadniczej, no, pod wiaduktem na Zjednoczenia, leży jakiś człowiek. Sam pan wie, jaka tam jest okolica...

Nic nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią w taki sposób, że poczuła się nieswojo.

- Oczywiście zdaje sobie pani sprawę z faktu, że jeżeli ten ktoś zadzwoni ponownie i okaże się, że już pierwsze wezwanie było zasadne, będziemy mieli poważne problemy? - uprzedził.

- Na pewno nie zadzwoni - rzuciła lekko i wzruszyła ramionami. *Nie po tym, jak go pogoniłam*, dodała w myślach, ale... jakoś bez specjalnego przekonania.

## 22.

Ponownie wybił bezpośredni numer do pogotowia i, już nie tłumacząc, od razu przeszedł do rzeczy, gdy tylko znów usłyszał zgłoszenie dyspozytorki:

- Pod wiaduktem, na zakręcie w kierunku ulicy Osadniczej, leży kobieta z rozbitym głową, ktoś ją prawdopodobnie strasznie pobił. - Dyspozytorka próbowała coś powiedzieć, ale nie dał jej dojść do głosu: - Wokół jest pełno krwi, ona jest nieprzytomna i pewnie wyziębiona, więc ruszcie, kurwa, dupy i natychmiast tu przyjeżdżajcie!!! - wrzasnął i się wyłączył.

Chwilę głęboko oddychał, a gdy nieco ochłonął, nogą odgarnął śnieg z krawężnika, a potem na nim usiadł. Wstał dopiero wtedy, gdy z drugiego końca ulicy usłyszał dźwięk syreny, a potem dostrzegł migające niebieskie światła.

## 23.

Posterunkowa Anna Ruczaj wpatrywała się w Błaszczaka z napięciem.

- Coś się dzieje, panie Irku?

- Słyszałaś przecież.

- Nie o to pytam... - odparła. - Od kilku dni jest pan poirytowany, ale dziś to już masakra. Coś... w domu? - zapytała nieśmiało.

Błaszczak spojrział na nią podejrzliwie.

- A co ty taka ciekawa, co?

- Chcę pomóc. - Wzruszyła ramionami. - Może jak się pan przed kimś wygada, będzie lżej?

- Mnie już, dziecko, nie będzie lżej - westchnął po chwili wahania.

Posterunkowa pokiwała głową ze zrozumieniem. Musiało być niewesoło, skoro przełożony po raz pierwszy od blisko roku nazwał ją „dzieckiem”.

- Zrobię herbatę i opowie pan, o co chodzi, okay?

Gdy wyszła do pomieszczenia socjalnego, dobiegł ją głos Błaszczaka.

- Cóрка po Nowym Roku wyjeżdża do pracy...

- To źle? - odkrzyknęła i włączyła elektryczny czajnik. Potem postawiła na stole dwa kubki, wrzuciła do nich torebki z herbatą i sięgnęła po cukier.

- No niby nie, ale ta praca to... - Błaszczak zamilkł na moment i dokończył z wyraźną niechęcią: - ...w Manchesterze!

- E, teraz, samolotem, to żadna odległość! - usiłowała go pocieszyć. - Od nas do Rzeszowa jest też cholernie daleko, a niby w Polsce. Zresztą...

– Aniu, nie rozumiesz?! – Nagle stanął w drzwiach. – Ona wyjedzie i tam zostanie, a my z żoną będziemy tu sami jak kółki w płocie. – Zauważyła, że oczy mu się zaszkliły. – Od dwóch tygodni nie mogę sobie miejsca znaleźć. A jeszcze Terenia – miał na myśli żonę, którą Ruczaj poznała już jakiś czas temu – z tym swoim sercem... Ja też młodszy nie będę. Jak my sobie poradzimy? Myślałem, że dociągnę do emerytury, wysługę zrobię, a potem będę wnuki bawił, ale...

Zanim posterunkowa ruszyła z tyradą pocieszeń, telefon znów zadzwonił.

## 24.

Doktor Ulewicz nabrał powietrza i powoli wypuścił je przez nos. Ponownie przytknął telefon do ucha i wysapał:

– Powiedziałem ci, że nie dam rady. Mówiłem to w zeszłym miesiącu, w zeszłym tygodniu, mówiłem ci to, kurwa, wczoraj. Że nie dam rady zamienić się na dyżury! – wrzasnął. – Wracam jutro po siódmej, przekimam się z godzinę i jedziemy do twoich starych. No czego, do cholery, nie rozumiesz?!

Ze słuchawki popłynął strumień żali i pretensji, które znał niemal na pamięć.

– Posłuchaj... – westchnął ciężko. – Masz rację. Może to naprawdę dobry moment, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Wiedziałaś, na co się piszesz, wiążąc się z lekarzem – dodał. – Trzeba było wyjść za urzędasa, co to siódma-piętnasta, potem zamknie biurko i ma wszystko w dupie do następnego dnia! A ja zaczynam mieć dość tego nieustannego narzekania i bezpodstawnych oskarżeń. – Chciał coś dodać, ale głos w słuchawce mu na to nie pozwolił. Jedyne, co mógł w tej sytuacji powiedzieć, to: – Ty też się wal!

## 25.

Błaszczak nerwowym krokiem wrócił do biurka i niemal szarpnął za słuchawkę. Rozmówca chyba nie pozwolił mu się nawet przedstawić, bo sierżant zamilkł w pół słowa. W miarę słyszanych słów robił się coraz bledszy, a w oczach widać było przerażenie.

– Jasne – odpowiedział po chwili. – Już tam jedziemy – zapewnił i odłożył słuchawkę.

Usiadł ciężko na krześle i rzucił w stronę posterunkowej:

– Zbieraj się. Pod wiaduktem leży nieprzytomna, ciężko pobita kobieta, prawdopodobnie ofiara napadu rabunkowego. Sprawca zbiegł.

Ruczaj sięgnęła po kurtkę, a z wieszaka zdjęła kluczyki do radiowozu.

– Panie sierżancie... – Miała wrażenie, że Błaszczak wpadł w jakieś dziwne otępienie. Patrzył w jeden punkt i oddychał ciężko. – To... To może ktoś znajomy?

Błaszczak wstał i, nawet na nią nie patrząc, odparł:

- Gorzej. To ta sama sprawa, z którą ktoś już tu dzwonił. Teraz mamy wezwanie od dyżurnego, interweniował zespół ratowniczy z karetki... Jest bardzo źle - dodał ciszej. - Bardzo...

- Ale kto po nich dzwonił? - Nie zrozumiała.

- Ten, któremu kilka minut temu odmówiłem podjęcia działania, bo uznałem, że znaleziona przez niego ofiara to jakaś pijaczka... - Dopiero teraz na nią spojrział. - Słyszałaś to, prawda? - Głos zaczął mu się trząść. - Wypierdolą mnie za to... Kurwa, wypierdolą mnie... Jeśli ta kobieta umrze, to... - Przytłoczony świadomością oczywistych konsekwencji, znów usiadł i schował twarz w dłoniach.

- Jedziemy! - zarządziła posterunkowa. - Musimy tam zaraz być, żeby nie zaognić sytuacji - dodała wyjaśniająco. - Po drodze ustalimy, co musi się znaleźć w notatce. No! - Pociągnęła go w stronę wyjścia. - Będzie dobrze, panie Irku, niech pan się na zapas nie martwi. Będzie dobrze...

## 26.

Zbliżała się szesnasta trzydzieści, gdy wpadł do domu z takim impetem, że Beata aż podskoczyła. Wysła z kuchni i przyglądała mu się bacznie.

- Coś się stało?

- Gdzie Małgorzata?

- Małgorzata? - zdziwiła się. - Nie wiem... Zrozumiałam, że wróćcie razem.

- Jak to, zrozumiałaś? - Teraz on się zdziwił. - Rozmawiałaś z Gosią? Kiedy?

- Dzwoniłam do niej, żeby kupiła jeszcze parę rzeczy na stół. Świeczki i takie tam... Mówiła, że będzie mijać tę hurtownię na Osadniczej i pewnie wróci z tobą, ale teraz... - Widząc wyraz jego twarzy, gwałtownie zamilkła.

- Nie mieliśmy wracać razem. Postanowiła, że zostawi samochód na parkingu pod pracą i pójdzie piechotą w stronę domu, a ja miałem ją ewentualnie zgarnąć po drodze. Spotkanie się przeciągnęło i wyliczyłem, że powinna już tu być...

Wyciągnął z kieszeni telefon i kilkakrotnie próbował nawiązać połączenie. Za każdym razem bez rezultatu.

- Co się dzieje? - Beata złapała go za ramię. - Dlaczego w ogóle szła piechotą? Ja nic nie rozumiem...

- Była zdenerwowana, wołała się przejść.

- Przejść? Zdenerwowana? - powtarzała jak w transie, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Co się stało? No mów wreszcie!

Nabrał powietrza i chwilę przytrzymał je w płucach. Wypuścił powoli i powiedział:

- Mówiła mi, że... zwolnili ją z pracy.

- Co takiego?! Kiedy? Za co? Boże!

- Miała iść w stronę Działkowej piechotą. - Z irytacją odsunął aparat od ucha. - Beata, zadzwoń do niej.

- A ty?

- Mam już praktycznie rozładowaną komórkę. Dzwoniłem do niej już chyba dziesięć razy, pisałem na komunikatorach, ale bez skutku. W pracy mieliśmy dziś urwanie głowy, telefon za telefonem...

Beata sięgnęła po swoją komórkę i wybiła numer do córki. Odczekała chwilę i spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie odbiera... - wyszeptwała.

- A jaki jest sygnał?

- Wolny... Boże, musiało się stać coś złego...

- Przestań! - Przytulił ją i pokrzepiającym ruchem pogłaskał jej plecy, choć sam zaczynał odczuwać coraz większy niepokój. - Zawsze panikujesz, a potem się okazuje, że niepotrzebnie i na wyrost. Może jednak zdecydowała się zabrać stamtąd samochód, jedzie i dlatego nie odbiera... - Nie umiał kłamać, przychodziło mu to zawsze z ogromnym wysiłkiem. Ale czuł, że teraz tak właśnie trzeba. Dla dobra ich wszystkich.

## 27.

Ulewicz z trudem zapanował nad wybuchem euforii. W ostatniej chwili pojawił się cień wątpliwej szansy, że dotrzyma słowa. Leżąca na łóżku do przewożenia pacjentów kobieta wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Zadbana, o czym świadczyły starannie opilowane i pomalowane na kolor ciemnego wina paznokcie. Skoro ktoś przykłada wagę do takich szczegółów, a do tego nosi elegancką i niewyszukaną biżuterię, z pewnością się o siebie troszczy. Oczekał na moment, gdy transportujący kobietę pielęgniarki patrzyli na wypisane papiery, i rozchylił jej nieznacznie usta: dziąsła i zęby też były w porządku, poza tym, że w wyniku zdarzenia straciła lewą górną jędynkę. Białka oczu o naturalnym kolorze, skóra miękka, różowa...

Podchwycił wzrok jednego z pielęgniarzy.

- Zdaje się, panie doktorze, że wiele to z nią nie podziałacie - uprzedził mężczyzna Ulewicza. - Już w karetce myśleli, że im schodzi. Paprocki na SOR-ze zdecydował, że mamy ją wieźć tu, więc...

- Wszystko się zgadza, wieźcie ją, panowie, do izolatki. Lepiej, żeby nikt jej w tym stanie nie oglądał - polecił.

Gdy pielęgniarze oddalili się już kilka metrów, przywołał jedną z pielęgniarek.

- Na cito badanie na ewentualne dawstwo - powiedział i ruchem głowy wskazał na kierunek, w jakim zмирzali pielęgniarze z łóżkiem. - Stan obrażeń nie rokuje, szkoda byłoby to zmarnować. Ja zaraz dzwonię do Poltransplantu, że będziemy mieli kilka organów, ale, tak czy inaczej, dopiero operacja pokaże, czy w ogóle nadają się do przeszczepu.

- Nie wiem, czy na chirurgii w ogóle jeszcze ktoś... - odezwała się z powątpiewaniem, ale nie dał jej dokończyć.

- Zadzwoń do Zajdlera, on sam zwoła zespół. Proszę zająć się badaniami krwi.

## 28.

Wybiegł z domu i szybko wsiadł do samochodu. Kilka razy nerwowo przekręcał kluczyk w stacyjce, walcząc z opieszałością silnika. Wreszcie ruszył.

Droga na ulicę Dekoracyjną zajęła mu dosłownie chwilę, a im bardziej się zbliżał do celu, tym większy odczuwał lęk. Wolałby, żeby parking był pusty – wtedy pozostawała nadzieja, że Małgorzata jednak się cofnęła i, zamiast zmierzać do domu piechotą, zdecydowała się pojechać. A jeżeli wciąż będzie tam zaparkowany, to...

## 29.

Ulewicz się zorientował, że w drzwiach pokoju lekarskiego ktoś stoi. Nie odwrócił się jednak, tylko pochylił nad biurkiem, udając, że coś właśnie zapisuje.

– Tak, oczywiście, jesteśmy w kontakcie, panie profesorze – ciągnął z uśmiechem, trzymając telefon przy uchu. – Dziękuję za konsultację, mam nadzieję, że nie zabrałem zbyt wiele czasu. Do zobaczenia – pożegnał się i dopiero wtedy zerknął w stronę drzwi.

Pielęgniarka patrzyła na niego z napięciem.

– No co jest? – zapytał

– Panie doktorze... Co z tą pobitą? – zapytała z niedowierzaniem i wskazała zapisane na karcie pacjentki dyspozycje. – Nie powinna być teraz na OIOM-ie?

Proszę, jaka mądrała... Nie lubił jej. Wręcz nie znosił, i to praktycznie od dnia jej pojawienia się na oddziale. Wtedy wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie jest osobą z przypadku, którą można będzie roztawiać po kątach. Pieprzona feministka! Kilka razy podważała jego decyzje, bezustannie dopytując o szczegóły, którymi podawała w wątpliwość wydane polecenia. Kiedyś nawet w obecności niemal całego zespołu zwróciła mu uwagę, że powinien zrezygnować z protekcyjnego tonu, bo wszyscy tu doskonale znają się na swojej pracy. Potem była jeszcze ta historia z założeniem wenflonu pacjentowi ze złamanym biodrem. Arterie tego starucha były tak zwapniałe, że igła nie miała się w co wbić i końcówka wciąż wypadła, kompletna porażka. A ona jeszcze dodatkowo go upokorzyła, bo ostentacyjnie szybko wbiła ten przeklęty wenflon, praktycznie jednym ruchem, a potem spojrzała znacząco na jego plakietkę z nazwiskiem. Jakby chciała mu pokazać, że lekarze to figuranci. Czekał tylko na okazję, żeby się jej pozbyć.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Ma pani wobec pacjentki inne plany? – warknął. – Bo jeśli dokładnie czytała pani jej kartę, to mogła się pani dowiedzieć, że kobieta ma ostry wylew podtwardówkowy, obrzęk mózgu, jest nieprzytomna, a obrażenia wskazują, że zaraz będzie po wszystkim. Kogo pani chce na OIOM-ie trzymać? Trupa? Jest mało łóżek, a każde miejsce na wagę złota. Jej nawet nie przewieziemy, bo kolejny transport zakończy się i tak w kostnicy. Szkoda czasu i fatygi.

Wciąż miała w oczach niedowierzanie.

- To pana decyzja czy ordynatora z OIOM-u? - zapytała.

- To bez znaczenia, pani ma wykonywać polecenia. I moje polecenie jest właśnie takie, żeby pacjentka leżała w pojedynczej sali. Może być ta monitorowana. - Miał na myśli pomieszczenie z dużym przeszkleniem zamiast ściany dzielącej ją od korytarza.

- Ale przecież ona...

- Co: ona? Zajmujemy się tylko tymi, którzy rokują. „Ona” - mignął palcami obu rąk - nadaje się już tylko na organy. Kolejny raz będzie pani podważać moje decyzje?

- Jeżeli uznam, że tak będzie lepiej dla pacjenta... - stwierdziła. - Nie rozumiem, dlaczego chce pan, żeby tak po prostu konała. Bez najmniejszej pomocy?

- Jak pani tak bardzo chce jej pomóc, to proszę ją sobie zabrać do domu. Nie? - Ponieważ pielęgniarka z oburzenia aż zamilkła, rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu: - To wracajmy do pracy. - Zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. - Laboratorium robi właśnie badanie parametrów na ewentualne dawstwo. - Zrobił taki ruch, jakby chciał ją wyminąć, ale ona stała niewzruszenie. Chyba w ten sposób próbowała wymusić na nim zmianę decyzji.

- O czym pan w ogóle mówi?! Przecież ona wciąż żyje!

- Wegetuje, to po pierwsze. A po drugie, z nas dwojga to pani kończyła medycynę czy jednak ja? - Otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale odpuściła. - No właśnie... - Uśmiechnął się kpiąco, jakby ten argument przesądzał o wszystkim. - Pacjentka ma podpięty kardiomonitor, więc jak „wyjdzie na prostą” - prychnął - niech mnie ktoś zawoła, wypiszemy akt zgonu. Wcześniej pogadam z rodziną o organach, więc pobierzemy, co się da, i niech ją zaraz zabierają. A teraz... - zawahał się i dodał po chwili: - możemy już tylko podawać morfinę, żeby bardziej ją znieczulić. W sumie to nawet tego szkoda, bo i tak najdalej za kilka godzin będzie po wszystkim, prawda?

- *Primum non nocere...* Pamięta pan jeszcze? - Zwęziła powieki. - Zabawa w Pana Boga to kiepski pomysł i w związku z tym zgłoszę to jako nadużycie i celowe działanie na szkodę pacjenta.

- Moje nadużycie? - Roześmiał się. - Ja tylko dostosowuję się do diagnozy lekarza z pogotowia. A ta została na tyle rzetelnie sformułowana, że naprawdę nie mamy zbyt wiele do roboty. Tu już, poza organami, naprawdę nie ma co ratować.

- Ale z ciebie bydlę - syknęła, z trudem powstrzymując się przed podniesieniem głosu.

- A ty już tu nie pracujesz - odparł ze spokojem i wyszedł z pomieszczenia, umyślnie mocno trącając ją ramieniem.

Gdy nieznacznie się cofnęła, ostentacyjnie zamknął za sobą drzwi niemal tuż przed jej nosem.

## 30.

Niestety, samochód Małgorzaty nadal stał na kompletnie opustoszałym parkingu. Zerknął na zegarek - szesnasta trzydzieści. Na ulicach było niemal pusto, bo o tej porze w Wigilię chyba wszystko, może poza sklepami spożywczymi, jest już zamknięte i ludzie raczej myślą o tym, że

za chwilę zasiądą do wieczerzy. Niemożliwe, żeby nic mu nie mówiąc, Małgosia do domu dotarła taksówką. Zawsze uprzedzała o zmianie planów, szczególnie tych uzgadnianych właśnie z nim.

- Niech to szlag! - krzyknął.

Wziął kilka głębokich oddechów i rozejrzał się wokół. Zauważył taksówkę stojącą przy jednym z wjazdów na teren giełdy, znajdującej się w sąsiedztwie biur należących do firmy Małgorzaty.

Zawrócił, zaparkował i szybko wysiadł. Podbiegł do taksówki i zapukał w okno po stronie kierowcy. Szyba zjechała, a w jej miejsce ukazała się męska głowa.

- Zajęty - powiedział szybko taksówkarz, zanim on w ogóle zdążył się odezwać.

- Nie o to chodzi... - Pokręcił przecząco głową. - Przepraszam, ale czy mógłby pan pożyczyć mi na chwilę swój telefon? Mój się kompletnie rozładował, a muszę pilnie zadzwonić do... żony. - Ponieważ kierowca miał wahanie na twarzy, szybko sięgnął do portfela i wyjął dwudziestozłotowy banknot. - Bądź pan człowiekiem, Wigilia jest...

- Dobra. Ale krótko, bo zaraz klient będzie wsiadał.

Podziękował skinieniem głowy i odszedł kilka kroków. Wystraszył się, że nie pamięta numeru do Beaty, ale jak się okazało, wbił go poprawnie już za pierwszym razem, nawet mimo trzęsących się rąk.

- To ja. Dzwonię z czyjegoś telefonu. I co? - zapytał niemal na jednym wydechu, gdy tylko usłyszał charakterystyczny trzask odbieranego połączenia.

Słyszał, jak głośno westchnęła, ale nie było w tym ulgi czy radości.

- Wystraszyłam się, że... No nic, nieważne - ucięła. - W domu nadal jej nie ma. A ty? Coś już wiesz?

- Cholera! Nic nie wiem! - jęknął. - Jej samochód wciąż stoi na parkingu. Jako jedyny zresztą. Nie rozumiem... - Bezradnym gestem dotknął czoła i potarł je w skupieniu. - Dzwoniłaś do niej teraz?

- Dzwonię co kilka minut - odparła. - Wciąż jest wolny sygnał, ale Gosia nie odbiera... Mówiłam ci! - Beata zaczęła płakać. - Mówiłam, że stało się coś złego!

- Spokojnie, zaraz wszystko się wyjaśni. Słuchaj, nie bardzo mogę rozmawiać... Mój telefon się podładował?

Domyślił się, że Beata podeszła do aparatu podpiętego do ładowarki w sypialni, bo przez moment się nie odzywała.

- Tak... Na jakieś pięćdziesiąt procent.

- Dobrze. Wracam do domu. Zabiorę go, będę dzwonił i jeździł po mieście tak długo, aż ją znajdę. Zaraz będę.

Zakończył połączenie i znów podszedł do taksówki. Zastukał w okno, ale tym razem kierowca już otworzył drzwi i spojrział na niego z uwagą.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nieważne - odparł. - Dziękuję za pomoc.

- Drobiazg! - Kierowca się uśmiechnął. - Wesołych świąt - powiedział powoli, bo wyraz twarzy stojącego przed nim mężczyzny wyraźnie wskazywał, że świętowanie jest ostatnią



rzeczą, o której teraz myśli.

- Pomyślności... - Niemal automatycznie odpowiedział taksówkarzowi i zawrócił w kierunku swojego samochodu.

Wsiadł, odpalił silnik, ale zanim ruszył, oparł głowę na kierownicy i kilka razy głęboko odetchnął. Dokładnie teraz stanęły mu przed oczami fragmenty akt spraw, które prowadził: „Zaginął...”, „Znaleziono...”, „Stan ciała wskazywał na...”. Otrząsnął się nerwowo i wrzucił bieg.

## 31.

Raport z laboratorium leżał na jego biurku. Zgodność tkankowa była idealna, nie można zmarnować takiej szansy, pozwalając, żeby organy zaczęły obumierać wewnątrz zaskakująco mocno trzymającego się życia ciała.

Ulewicz uchylił drzwi od pokoju lekarskiego i zerknął na zewnątrz. Odczekał, aż jedna z pielęgniarek wróci do recepcji, a po chwili wahania rozejrzał się po korytarzu i niezauważony wszedł do sali, w której leżała kobieta z wypadku. Jej oddech był krótki i płytki, powietrze niemal zasysała z charakterystycznym głośnym świstem. Patrzył na nią z namysłem. Był pewien, że to w zasadzie agonia, znał ten moment doskonale. Półprzymknięte powieki ukazywały nieruchome gałki oczne, odsłaniając fragmenty blednących tęczówek, usta z rurką do intubacji były suche i wręcz woskowo białe. Na pewno była, tak właśnie: była, silna i zdrowa, same wyniki krwi o tym świadczyły. Oby tylko skutki pobicia nie uniemożliwiły zaklasyfikowania jej jako dawcy. Już mówił Zajdlerowi, ordynatorowi chirurgii, żeby szykował ten sam zespół, co zawsze. Każdemu przyda się parę groszy na koniec roku – zawsze biorą, nie pytając o nic i nie dyskutując.

Wyjął z kieszeni małą ampulkę i strzykawkę z cienką igłą. Wbił igłę w gumowy korek i sprawnie napełnił strzykawkę, a potem całą jej zawartość wstrzyknął do worka z kroplówką, gdzie powoli mieszała się z ospale kapiącym przezroczystym płynem. Ulewicz patrzył na ten proces w skupieniu, jakby chciał ostatecznie się upewnić, że wszystko jest, jak należy. Zmarszczył brwi i zdecydowanym ruchem sięgnął do regulatora, żeby przyspieszyć przepływ kroplówki. Pomyślał, że nie później niż za godzinę będzie mógł spokojnie stwierdzić zgon i odwalić papierologię niezbędną do pobrania narządów. A do tej pory się chociaż odrobinkę wyśpi, potem może nie mieć takiej okazji.

## 32.

Nagle go olśniło – Małgorzata pewnie pojechała do Tomasza. To jasne jak słońce! Przecież o chłopaku, z którym spotykała się od ponad półtora roku, powinien był pomyśleć w pierwszej kolejności. Zwykle w takich sytuacjach szuka się pocieszenia u osoby zajmującej specjalne miejsce w naszym życiu. Teraz już był pewny, że Małgosia właśnie wypłakuje swoje żale w objęciach sympatii.

- Beata, masz numer do Tomka? - Wszedł do kuchni i delikatnie dotknął jej ramienia. - Hej? - Zaniepokoił się brakiem reakcji. - Masz numer do Tomka? - powtórzył. - Sam nie wiem, dlaczego nie zadzwoniliśmy do niego od razu.

Beata podniosła na niego zamglony wzrok.

- Tomek wyjechał z rodzicami na święta do dziadków, do Gorzowa... - powiedziała cicho.

- Skąd to wiesz? - zdziwił się.

- Małgosia mi mówiła... Mieli rozmawiać wieczorem na Skypie, a spotkać się dopiero w drugi dzień świąt.

- Tak czy inaczej daj mi ten numer - zdecydował. - Może do niego dzwoniła i on coś wie. Może w ogóle wie cokolwiek.

Wystukał na ekranie podyktowany numer i chwilę czekał na połączenie. W słuchawce rozległ się zdziwiony głos Tomasza.

- Halo?

- Dobry wieczór, Tomku - zaczął z ciężkim westchnieniem. - Tata Małgosi z tej strony. Przepraszam, że przeszkadzam w taki dzień, ale... - Znów wziął głęboki wdech. - Powiedz mi tylko, czy Małgosia dzisiaj do ciebie dzwoniła?

- Dobry wieczór - odpowiedział chłopak. - Nie, nie dzwoniła. Byliśmy umówieni na dwudziestą pierwszą... - dodał z lekkim wahaniem. - Dlaczego pan pyta? Czy coś się stało?

- A kontaktowała się z tobą w ogóle? - Nie odpowiedział na jego pytanie. - No wiesz, jakaś wiadomość, SMS?

- Nie, zresztą po co? - Tomasz był wyraźnie zdziwiony. - Pytałem, czy coś się...

- Małgorzata zaginęła. Nie wróciła po pracy do domu. - Nie czekał, aż chłopak skończy mówić. - Nie ma z nią kontaktu, nie odbiera telefonu. Wszędzie jej szukamy. Zacząłem od ciebie, potem postaram się dotrzeć do jej znajomych... Zaraz pewnie ruszę na pogotowie i do szpitala.

- Jak to... Jak to zaginęła?! - Głos Tomasza zaczął drżeć. - Jak można zaginać w Zielonej Górze?! O czym pan w ogóle mówi?!

- Najwidoczniej można. Nie przedłużajmy, bo w każdej chwili ktoś może do mnie dzwonić - uciął. - Posłuchaj, gdyby tylko się do ciebie odezwała, w jakikolwiek sposób, od razu każ jej dzwonić do domu. Powiedz, że jej mama tu od zmysłów odchodzi. Ja też.

- Oczywiście - odparł Tomasz. - Będziecie zgłaszać zaginięcie? - zapytał. - Boże, po co ja to mówię? Pan doskonale wie, co trzeba zrobić, zna pan ludzi... - zreflektował się. - Mam tam przyjechać? Nie piłem żadnego alkoholu, więc...

- Nie ma takiej potrzeby. Poza tym lepiej nie robić zbędnego zamieszania, póki nawet nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło - wyhamował go. - Życz wszystkim wesołych świąt i... jesteśmy w kontakcie - rzucił i nie czekając na odpowiedź, szybko zakończył połączenie.

Odwrócił się i spojrzał Beacie w oczy, kręcąc przecząco głową.

- Zrób coś - wyszeptła. - Zrób coś, błagam!

Po raz pierwszy w życiu poczuł się kompletnie bezradny.

- Jadę do szpitala - powiedział. - Teraz już już nieuniknione...

### 33.

Niespełna dwadzieścia minut później wbiegł po schodach i w ostatniej chwili zatrzymał się tuż przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na oddział urazowy. Chwilę temu dokładnie wiedział, dokąd idzie, co zrobi i powie, ale nagle dotarło do niego, że chyba nie chce się upewniać. Lepsza była myśl, że jeszcze nic nie jest ostateczne, przesądzone. Wciąż naiwnie wierzył, że kolejny sygnał przychodzącego połączenia będzie oznaczony imieniem córki. Ale gdy teraz wejdzie na oddział, wszystko stanie się jasne i... nieodwracalne.

Zanim pchnął szklane skrzydło, wyjął z kieszeni telefon i pośpiesznie wybił numer do Beaty.

– Jestem w szpitalu, na urazowym – rzucił szybko, gdy tylko usłyszał jej głos. – Zdaje się, że mają tam młodą kobietę. Na SOR-ze powiedzieli, że pogotowie zabrało ją z ulicy, nawet niedaleko nas. Skierowali ją na oddział urazowy i wezwali policję. Wszystko wskazuje na napad rabunkowy, bo nie miała przy sobie dokumentów ani telefonu – wyrzucił z siebie szybko na jednym wydechu. – To nic pewnego, bo na ten moment nie są w stanie ustalić jej tożsamości, a tym bardziej udzielić mi żadnych informacji. Nie jestem przecież jej ojcem... – Przewornie nie powtórzył Beatcie, czego dowiedział się od dyspozytora stacji pogotowia ratunkowego, że stan kobiety nie rokował, pobicie było wyjątkowo bestialskie.

– Boże... O czym ty mówisz?! Pokaż im swoje dokumenty. Muszą cię wpuścić, na miłość boską! Powiedz im, kim jesteś!

– W tej sytuacji mogę być nawet pierwszym po Bogu, to nie ma żadnego znaczenia, jeśli nie jestem jej rodziną. Beata, za chwilę się upewnię i wtedy do ciebie zadzwonię. Nie ma sensu, żebyś w ciemno jechała do szpitala – zniecierpliwiał się. – Nic nie rób, tylko czekaj na mój telefon, dobrze?

### 34.

Wszedł na oddział urazowy i zaczął pierwszą pielęgniarkę, która szła w jego kierunku.

– Gdzie leży ta pobita kobieta? – zapytał pośpiesznie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko uprzedził jej pytanie. – Wiem, że pogotowie kogoś tu przywiozło jakieś dwie godziny temu. Tak? Młoda kobieta, długie ciemne włosy, dwadzieścia sześć lat...

– Pan jest jej... ojcem? – Pielęgniarka spojrzała na niego z uwagą. – Czy... – zawahała się – mężem?

W odpowiedzi wyjął swój dowód osobisty i pokazał go kobiecie. Uznał, że taki gest rozwieje jej obawy co do jego intencji.

– Ojczymem – uściślił. – A w zasadzie to partnerem jej matki. Jeśli to ona... znaczy osoba, której szukam, tożsamość Małgosi... Małgorzaty – poprawił się – potwierdzi matka.

– Przykro mi bardzo, ale w tej sytuacji nie mogę udzielać panu żadnych informacji. Kobieta, którą do nas przywieziono, nie miała przy sobie dokumentów, została przyjęta na

oddział jako NN. Policja ma nas powiadomić, gdy ktoś zgłosi zaginięcie, wtedy można będzie ewentualnie potwierdzić dane pacjentki.

– Ale ja nie mogę tak tu stać i beczynnie czekać! – rzucił dość nerwowo, ale błyskawicznie się opanował. – Muszę się upewnić, zanim ściągnę do szpitala jej matkę. – Patrzył na kobietę wychekującą. – Proszę... Błagam panią – dodał ciszej. – Błagam...

– Postaram się jakoś panu pomóc. – Ściszyła głos i pochyliła się w jego stronę. – Może zna pan jakieś szczegóły dotyczące osoby, której pan poszukuje? Wie pan, znamiona, tatuaż, blizna po usunięciu wyrostka... – wymieniała powoli.

– Blizny? Tak, tak! – Ucieszył się, że w końcu pojawił się jakiś punkt zaczepienia. – Córka ma charakterystyczną bliznę na czole. Długą na pięć, może sześć centymetrów, tak tuż pod linią włosów. – Z rozpędu dotknął swojego czoła, ilustrując jej położenie. – Jak była mała, spadła z roweru i...

– Dobrze, sprawdzę, ale powiem szczerze, ta kobieta ma tak liczne obrażenia twarzy, że nie wiem, na ile taki szczegół będzie w ogóle możliwy do potwierdzenia. – Pokręciła bezradnie głową.

– W takim razie proszę mnie do niej wpuścić, muszę ją zobaczyć...

Pielęgniarka z namysłem patrzyła mu przez chwilę w oczy, a potem rozejrzała się wokół i nakazała półgłosem:

– Proszę iść za mną.

Kilka metrów dalej stanęli pod przeszkloną ścianą, przez którą było dokładnie widać, co dzieje się na sali po drugiej stronie szyby. Nie musiał nawet wchodzić do środka, bo już wiedział, że leżąca na łóżku nieprzytomna kobieta to jego córka z wyboru, jego Małgosia, ten mały, rezolutny Gosiacek... Miała przymknięte oczy, ale nie sprawiała wrażenia śpiącej. Jej pokryta wybroczynami i otarciami twarz była spokojna, choć widać było, jak walczy o każdy oddech, bo klatka piersiowa unosiła się nieznacznie, za to szybko, urywanym rytmem.

Nerwowym ruchem przetarł czoło, a potem niemal do krwi zagryzł usta, żeby nie krzyknąć. Pielęgniarka delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Wszystko w porządku? Halo! Proszę pana... Źle się pan poczuł?

Spojrzał na nią niewidzącymi oczami i odpowiedział:

– To Małgorzata Radecka. Matka Małgorzaty za chwilę tu będzie i potwierdzi jej tożsamość.

## 35.

Doktor Ulewicz wziął z biurka formularz i przypiął go do tekturowej podkładki, do której przymocował też długopis. W zasadzie był gotowy do rozmowy. Odetchnął kilka razy głęboko i przywołał na twarz ten charakterystyczny wyraz: mieszankę współczucia, empatii i profesjonalizmu. Był w tym naprawdę dobry, a za każdym kolejnym razem przychodziło mu to z coraz mniejszym wysiłkiem. Odchrząknął, ostatni raz zerknął na swoje odbicie w szybie przeszklonego regału z książkami, broszurami i czasopismami medycznymi, niedbale ściśniętymi na niewielkiej przestrzeni, i spokojnym krokiem wyszedł z pokoju.

Starannie zatrzasnął drzwi i rozejrzał się po korytarzu. Stali tam, obejmując się. Dał im dość czasu, za to on miał go coraz mniej.

### 36.

Kątem oka dostrzegł zbliżającego się do nich jakiegoś lekarza. Pierwszego i jak do tej pory jedyne, który w tej sytuacji poświęcił im czas. Gdy spojrział na niego z niemym pytaniem w oczach, lekarz się przedstawił:

- Dzień dobry. Jacek Ulewicz, jestem zastępcą ordynatora i chciałbym zająć chwilę. Państwo, jak rozumiem, są najbliższą rodziną pani Radeckiej? - Beata skinęła twierdząco głową, więc kontynuował: - Przepraszam, że o tym mówię właśnie teraz, ale to z medycznego punktu widzenia najbardziej dogodny moment. - Demonstracyjnie uniósł trzymaną w ręce podkładkę, do której przypięty był jakiś formularz.

Beata nieznacznie się od niego odsunęła i patrzyła na Ulewicza z zaskoczeniem.

- Nie rozumiem... - odparła półgłosem. - Najbardziej dogodny moment... na co?

On rozumiał. Zanim lekarz przeszedł do konkretów, wiedział doskonale, co zaraz usłyszą.

- Stan córki, niestety, nie rokuje. - Boże, jakie to było spokojne, niemal beznamienne. Jakby informacja nie dotyczyła wciąż przecież żyjącej osoby, tylko przedmiotu, który trzeba przestawić w inne miejsce. Przez moment nawet próbował lekarza tłumaczyć, że gdyby ten reagował emocjonalnie w każdym takim przypadku, skończyłby w wariatkowie, a w najlepszym razie w innej pracy. Ale to było naprawdę trudne do zrozumienia, ten chłód i wymuszony uśmiech odrażały. Znał to z pracy, na co dzień rozmawiał z tymi, którzy pozbawieni byli skrupułów, ale nieudolnie grali. Teraz też nie wyczuł w tym nic szczerego, tak zwyczajnie ludzkiego. - Czy w tej sytuacji rozważają państwo zgodę na pobranie narządów? - zapytał wprost lekarz.

- Słucham?! - Beata aż zeszytywniała i spojrzała na niego z bólem. Przymknął oczy, nie mógł, nie chciał na to patrzeć. - Jak tak można?! - krzyknęła. - Ona ich potrzebuje, rozumie pan?! Wciąż żyje i potrzebuje ich wszystkich!

- Cóż... Gdyby córce od razu udzielono pomocy, z pewnością rokowania byłyby lepsze. Wiemy, że ma obrzęk mózgu, a do tego liczne urazy... Gdy zabierało ją pogotowie, była mocno wyziębiona, straciła też dużo krwi. Robimy, co w naszej mocy, ale... - Lekarz odwrócił wzrok i spojrział badawczo na mijającą ich pielęgniarkę. Miała zaciśnięte usta i zmarszczone brwi. - Tak, właśnie... - Znów patrzył to na niego, to na Beatę. - Jest wielu oczekujących, nierzadko chodzi o dzieci... Przykro mi to mówić, ale naprawdę musimy się spieszyć.

Zakreśliło mu się w głowie. Tu już nie ma miejsca na nadzieję. Małgosia jest umierająca... Bo tylko w tej sytuacji rozmawia się o pobraniu narządów. Gdy nie ma już żadnych szans i pacjent zmienia swój status na potencjalnego dawcę. Poczul, jak Beata ściska jego dłoń, niemal miażdżąc mu kostki. Nie przypuszczał, że jest aż tak silna.

- Proszę powiedzieć, panie doktorze... - Wziął głęboki wdech. - Jaki jest jej stan teraz, na tę chwilę?

Lekarz spojrział badawczo na Beatę, a ta skinieniem głowy dała przyzwolenie na udzielenie informacji.

– Mówiąc najprecyzyjniej, to... agonalny, głównie ze względu na znaczne uszkodzenie mózgu. Równie dobrze może umrzeć za chwilę, za kilka godzin, jak i za kilka dni. Chcę, żeby państwo mnie dobrze zrozumieli: z tego się nie wychodzi. Córka nigdy nie odzyska świadomości.

Beata zaczęła się osuwać na kolana, więc przytomnie ją przytrzymał i rozejrzał się za jakimś siedziskiem, ale najbliższe krzesła stały kilka metrów od nich. Wiedział, że nie da rady jej tam doprowadzić.

– Możecie coś jej podać? – Ruchem głowy wskazał na Beatę.

Lekarz w żaden sposób nie zareagował.

– Jaka jest decyzja? – zapytał i stuknął palcem w dokument.

– Pomóż mi, człowieku! – krzyknął i spojrział na lekarza z przyganą. – Ona zaraz upadnie, przecież tu nawet nie ma na czym usiąść!

– Proszę nie podnosić głosu – upomniął go Ulewicz. – To jest szpital. Zaraz kogoś zawołam, a państwo niech się zastanowią. Wróć do rozmowy za kilka minut. – Odwrócił się i spokojnym krokiem odszedł w głąb korytarza.

Po chwili zniknął w jednym z pokoi, za to przybiegła do nich pielęgniarka. Pchała przed sobą wózek inwalidzki, na którym wspólnie usadowili Beatę. Pielęgniarka zbadła jej puls, a później włożyła do ust jakąś pastylkę. Gdy Beata wodziła mętным wzrokiem wokół, on osunął się po ścianie i usiadł na podłodze. Wiedział doskonale, jak to będzie teraz wyglądało: podpiszą zgodę na pobranie narządów, a potem odbiorą zubożone, pokaleczone ciało kogoś, kto już nigdy nie będzie Małgorzatą, tą, która jeszcze kilka godzin temu stanowiła najważniejszy element ich życia. I zostaną z tym wszystkim sami. Zupełnie bez powodu się rozejrzał. Na ścianach i przy niektórych drzwiach wisiały świąteczne dekoracje. Skądś przypląnęły do niego dźwięki kolęd. W obliczu sytuacji, z którą muszą się zmierzyć, wyglądało to niedorzecznie, jakby ustawiono dekoracje z innego filmu, rażąco nieadekwatne. Ucisk w klatce przybrał na sile, a przed oczami zaczęły mu migać drobinki światła. Chciał krzyknąć, chciał wyć, ale nie był w stanie nawet nabrać powietrza.

– Proszę pana? – zawołała pielęgniarka. – Co się dzieje? – Złapała go za przegub i próbowała wyczuć tętno. – Halo, słyszy mnie pan?

Nie słyszał. Nagle wszystko zmiękło, zatracono kształty, a on zanurzył się w nieprzeniknionej ciemności. I wtedy zupełnie po dziecinnemu pomyślał, że nie chce stamtąd wracać.

## 37.

Śmierć Małgosi lekarze ustalili na godzinę dwudziestą drugą piętnaście. Zaraz potem zwieziono ją na salę operacyjną, żeby pobrać narządy. Oni na oddziale chirurgii byli chwilę później.

Beata siedziała skulona na jednej z ławek i ścisnęła pasek torby tak mocno, że kostki jej dłoni były wręcz białe, a palce zsiniały. Uśmiechała się do niego nieśmiało, jakby tłumacząc im obojgu, że to dobrze, że tak powinno się postąpić: uratować życie innego człowieka. Może nawet kilku osób?

Przytakiwał jej nieuważnie, bacznie obserwując, co dzieje się na korytarzu. Operacja jeszcze się nie skończyła, a z zamkniętej strefy już ktoś wyszedł, ostrożnie niosąc charakterystyczny, odpowiednio oznakowany pojemnik dla Poltransplantu. Dobrze wiedział, jak to działa, bo raz odtwarzali tę procedurę na potrzeby prowadzonej sprawy, przygotowując się do wyjątkowo trudnego procesu poszlakowego. Świadek opowiadał, w jaki sposób pojemnik miał być dostarczony z Nowej Soli na lądowisko zielonogórskiego szpitala, a później – już helikopterem – do Poznania, który znajdował się najbliżej. To była formalność. Podczas przesłuchania nawet nie myślał o tym, że jakiś czas temu serce, o którym mowa, biło jeszcze w czyjejś piersi. Było tylko organem, podzespołem, zlepkiem uspionych tkanek. Teraz jednak widok niewielkiego pojemnika okazał się tak bolesny, że w jednej chwili znów zabrakło mu powietrza i zaczął się krztusić. A musiał być silny, choć tak bardzo nie chciał. Wstał, żeby przetrwać ten atak w łazience, i wtedy niemal zderzył się w przejściu z kimś, kto niósł identyczny pojemnik, ale nie skręcił w tę samą stronę, co jego poprzednik.

Do domu wrócili zamówioną taksówką, bo on nie był już w stanie prowadzić. Kazał kierowcy czekać, tłumacząc, że zaraz będzie kurs powrotny do miasta. Wsiadł do taksówki ponownie kilka minut później, kurczowo trzymając w ręku niewielką torbę podróżną. W drodze do szpitala zawiadomił zakład pogrzebowy. Do kostnicy dotarł w niespełna kwadrans.

## 38.

Przemysław Sawicki, właściciel warsztatu samochodowego, nie musiał długo czekać, bo zgodnie z umową laweta z przykrytym brezentem samochodem podjechała pod bramę o ustalonej godzinie, czyli kilka minut po dwudziestej trzeciej. Uruchoił przesuwne przesłono, które cicho i gładko się przemieściło, ułatwiając wjazd, i w tym czasie uważnie śledził okolicę, pilnując, czy nagle na ulicy nie pojawi się ktoś nieproszony, jak na przykład policyjny radiowóz.

Kierowca lawety doskonale wiedział, że ma tylko zaparkować w taki sposób, aby można było bezpiecznie ściągnąć przyprorowadzony wóz na podjazd, a potem wprowadzić go do warsztatu. Wysiadł razem z klientem, zamknął samochód i oddał kluczyki mechanikowi. Bez słowa skinął mu na pożegnanie głową i po chwili dosłownie zniknął w mroku.

– Dziękuję, że zgodził się pan... – zaczął klient. – Przepraszam, że o tej porze, na dodatek w taki dzień, ale to tak jakoś... Nazywam się...

Sawicki uniósł dłoni w geście nakazującym milczenie.

– Nie znam cię, człowieku, i nie chcę o niczym wiedzieć, rozumiesz? – Gdy klient kiwnął potakująco głową, dodał wyjaśniająco: – Auto spuszczę z lawety po świętach, gdy sąsiedzi będą w pracy. Nie ma sensu robić zamieszania. Wolałbym, żeby nie widzieli, że się w warsztacie

światło świeci, bo w tym kraju źle widziana jest praca w Boże Narodzenie... – Obszedł samochód dookoła, a potem uniósł brezent i z uwagą obejrzał uszkodzenie. – Spiesz się panu? – zapytał.

Klient pokręcił przecząco głową.

– Nie, poczekam, ile trzeba – zapewnił.

– To dobrze. – Mówiąc to, Sawicki nawet na niego nie patrzył. Wolał nie zapamiętywać twarzy, bo to raczej trudno zmienić. Co innego kolor wozu albo numery rejestracyjne. A jak mu pokażą zdjęcie czyjejś facjaty, będzie musiał kłamać, wyjdzie przy okazji coś, co wyjść nie powinno... Po co? Jak to mówią: *tisze jediesz, dalsze budiesz*. – Mam trochę roboty, nie wiem, ile to potrwa... Dam znać za dwa tygodnie. – Dopiero teraz spojrzął na nerwowo przestępującego z nogi na nogę, wyraźnie przerażonego klienta. – Niech pan już idzie – polecił.

Gdy mężczyzna wyszedł na ulicę, Sawicki zasunął bramę i wszedł do warsztatu. Nigdy nie chciał niczego wiedzieć. Przecież jakoś trzeba żyć, a takie wypytywanki zepsują mu renomę i straci kolejnych klientów. Podszedł do zamontowanego na końcu warsztatu przepierzenia i przy pomocy sprytnie ukrytego przycisku przesunął je, odsłaniając pomieszczenie wbudowane w bryłę domu. Drugi warsztat. Ten, o którym nikt, poza samymi zainteresowanymi, nie wiedział. Wyjeżdżały stamtąd samochody bez wgnieceń, z nowymi kloszami i zderzakami, bez śladów krwi i fragmentów tkanki. Jak z fabryki. I to była ta cenniejsza część jego miejsca pracy, a przynajmniej ta, która przynosiła mu większe dochody. Utrzymanie tajemnicy ma swoją wartość, więc oprócz kosztów materiałów i robocizny inkasował niemałe kwoty za swoją umiejętność trzymania gęby na kłódkę. Wszyscy byli wygrani, bo poczta pantoflowa bez zarzutu kierowała pod jego adres kolejnych przerażonych desperatów.

## 39.

Trzymany przez niego w ręku wypis był jednoznaczny, podobnie jak zgoda na pobranie narządów. Wpatrywał się w dokumenty z niejasnym przeczcuciem, że tak naprawdę nic, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, ich nie dotyczy. Że to tylko kolejna sprawa, do której został wezwany, ot, tajemnicza śmierć z przyczyn innych niż naturalne, przy prawdopodobnym udziale osób trzecich. Boże, dziesiątki, może nawet setki razy wypełniał dokumenty, na mocy których mogło być prowadzone dochodzenie. Tu imię i nazwisko, tu data i podpis lekarza oraz ciąg informacji przetykanych łańciskimi wtrętami. Sucho, konkretnie, bezosobowo, jakby wszystko to nie było związane z człowiekiem, tylko przedmiotem. Bo właśnie tym stajemy się po śmierci – przedmiotem, nad którym inni mają władzę i mogą z nim zrobić, co chcą. Ale on już wiedział, że nie pozwoli nikomu na nic więcej. Telefon do odpowiedniej osoby skrócił obowiązującą procedurę. Reszta należała już wyłącznie do niego. Nie potrzebował nawet upoważnienia, którego półprzytomna Beata i tak nie byłaby w stanie podpisać.



Westchnął głęboko i podszedł do stołu, na którym leżała Małgorzata. Niepewnym ruchem odsunął przykrywającą ją płachtę, a gdy jego oczom okazała się jej twarz, zawahał się.

- Proszę mi powiedzieć... - Głos pracownika prosektorium był spokojny i cichy. - Nie chcieli państwo sekcji zwłok? Przecież to mogłoby wyjaśnić kilka kwestii związanych ze śmiercią córki...

Popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Ma pan dzieci? - zapytał. Tamten kiwnął potakująco głową. - No to niech pan sobie wyobrazi swoje dziecko zatłuczone niemal na śmierć, z licznymi obrażeniami przewiezione do szpitala i umierające pod okiem lekarzy i pielęgniarek, bo nic się nie da zrobić poza pośmiertnym pobraniem organów... Czy to jeszcze mało? Zresztą obdukcja i raport po operacji pobrania narządów do przeszczepu wyczerpały chyba listę ewentualnych pytań o przyczynę zgonu? - warknął.

- Oczywiście, przepraszam - powiedział pracownik i zrobił krok wstecz. - Przygotuję niezbędne dokumenty dla państwa, teraz proszę pożegnać się z córką. To wspaniałe, że jako rodzice zdecydowali państwo o pobraniu organów, to ważne dla...

Nie dał mu skończyć.

- Nie byłem ojcem Małgorzaty, więc nie ja wydawałem zgodę - zaoponował. - Ale jej matka uznała, że musi być jakiś sens tego, co się wydarzyło. Rozumie pan?

Mężczyzna spuścił wzrok.

- Nie przeszkadzam już - szepnął. - Panowie z zakładu pogrzebowego czekają, zaraz ich poproszę.

Zniknął za drzwiami, a po chwili do sali weszli dwaj mężczyźni, pchając przed sobą specjalny wózek do transportu zwłok. Mieli znudzone miny, wyglądali jak dostawcy, którym jest wszystko jedno, co wrzucają na pakę. Jeden z nich wyjął spod pachy szary worek i rozłożył go mocnym strzepnięciem. A jemu przed oczami stanęły te wszystkie sceny, których był świadkiem w pracy. To raczej nic nie znaczyło, po prostu ktoś musiał przewieźć ciało. Czasem do zetemesu, czasem od razu do zakładu pogrzebowego, bo już na miejscu się okazywało, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, bez udziału osób trzecich. Zwykły ciąg zaplanowanych i realizowanych działań, bez emocji, ot, taka praca. Tylko że teraz szczęk wózka i szelest sztywnej, grubej folii dosłownie wrzynały mu się w mózg. Miał wrażenie, że nawet niemal niesłyszalny dźwięk odchylanego prześcieradła, którym Małgosia była przykryta, odbija się zwielokrotnionym echem od ścian i błyszczących metalowych powierzchni. Zamrugnął kilka razy i wziął głęboki oddech. Delikatnie pogładził jej policzek i odgarnął włosy z czoła.

- Zostaw... - powiedział spokojnie, nawet nie patrząc na mężczyznę, który usiłował całkowicie zdjąć z Małgorzaty szpitalne prześcieradło. - Nie jest jeszcze gotowa.

- Trzeba ją ubrać? - dopytywał tamten beznamietnie. Które to ciało w ciągu tego dnia? Na pewno nie pierwsze.

- Tak - odparł ze spokojem, choć szczęki zaciskały mu się w coraz boleśniejszym skurczu.

- Ubrać, uczesać...

- Da pan nam chwilę, uwiniemy się w...

- Sam to zrobię. - Nie dał mu skończyć. - Dziękuję.

- Ale to naprawdę moment... - Mężczyzna ostentacyjnie zerknął na zegarek. Pewnie miał dyżur, a chciał jak najszybciej wrócić do ciepłego, pełnego żywych ludzi domu, zamiast tkwić bez sensu w zimnych murach szpitalnej kostnicy. Nawet mu się nie dziwił.

- Powiedziałem, że sam to zrobię - oznajmił tonem wykluczającym dalszą dyskusję.

- Ale przecież... - próbował zaprotestować słabo drugi z pracowników zakładu pogrzebowego.

Postawił na podłodze trzymaną do tej pory kurczowo torbę i nerwowym ruchem wyszarpnął z portfela dwa stużłotowe banknoty. Wsunął je do kieszeni tamtego i wzrokiem wskazał na drzwi.

- Czego jeszcze?! - warknął. - Wypierdalać!

Kolejne argumenty nie były już potrzebne. Obaj mężczyźni wycofali się powoli w kierunku drzwi, a po chwili bezszelestnie wyszli na korytarz.

Zaczął wyjmować z torby kolejne części garderoby - bieliznę, rajstopy, sukienkę, którą córka szykowała sobie na wigilię, buty... Wyprostował się i chwilę oddychał ciężko. Dotarło do niego, że nigdy nie widział jej nagiej. Nawet gdy była dzieckiem, starannie dbał o jej intymność. Zawsze pukał przed wejściem do jej pokoju i cierpliwie czekał na głośne „proszę”, a gdy znajdowała się w łazience, nawet nie przechodził korytarzem. Podczas wspólnych wyjazdów na wakacje wszystkie chwile były spędzane we trójkę, chyba że Małgosia sama zaproponowała coś specjalnie tylko dla niej i dla niego. Cieszył się z każdego takiego gestu, który stanowił jawny dowód jej zaufania. Dotykanie córki w tej sytuacji, gdy leżała tu naga i zupełnie bezbronna, było w jego pojęciu świętokradcze, brutalnie łamiące granice tabu, których przez tyle lat przestrzegał.

Powoli, jakby z obawą, odsunął tkaninę do końca i z przerażenia zamknął oczy. Przez cały mostek, od tchawicy aż po splot słoneczny, wiodła wielka, niezbyt starannie zszycia rana. Poczul, że zaczyna płakać, i wtedy dopiero ponownie spojrzął na jej twarz - spokojną, bez jakiegokolwiek grymasu bólu zastygłego z chwilą, gdy serce przestało pompować życiodajną, ciepłą krew. Była starannie umyta, ktoś chyba nawet ją uczesał, a przynajmniej wygładził jej włosy. Gdzieniedzie widać było sinofioletowe podbiegnięcia i nieznacznie zasklepione rany.

Chyba nigdy się nie zastanawiał, co czują ludzie w takich momentach. Żal? Rozpacz? Bunt i niedowierzanie? A może są skupieni tylko na tym, żeby przygotowanie kogoś bliskiego do ostatniej drogi było staranne, dokładne, przepełnione miłością?

Spojrzał na zegar wiszący na jednej ze ścian. Nie musiał się spieszyć. Nie było potrzeby dopasowania się do stężenia pośmiertnego. Znał je doskonale, tyle już razy widywał upiornie zastygnięte ciała, że z obojętnością przyglądał się zmaganiom techników, którzy mimo oporu materii, do niedawna będącej miękkim, ciepłym i elastycznym, a przede wszystkim żywym ciałem, musieli zdążyć, zanim proces zacznie zanikać. Bo wraz z nim zanikały istotne dla śledczych informacje. Ta praca wymagała skupienia i działania pod presją czasu, ale on miał go teraz aż za dużo.

Zdjął płaszcz i marynarkę, choć w pomieszczeniu panował dotkliwy chłód. Po namyśle na niewielkim stoliku położył swój zegarek i wyłączony telefon. To była tylko ich chwila, nikt nie miał prawa jej zakłócać. Był spokojny i skoncentrowany. Ubierał ją z największą delikatnością, na jaką było go stać. Unosił i kładł ostrożnie, z namysłem, jakby była tylko chora, a co najwyżej

śpiąca. Jej ciało poddawało się wszystkim jego zabiegom, posłusznie pozwalając na każdą najdrobniejszą nawet czynność. Momentami miał wrażenie, że Małgorzata patrzy na niego spod niedomkniętych powiek, jakby chciała dostosować się do kolejnego etapu, ułatwiając mu pracę. Gdy skończył, wyszeptał jej coś do ucha, a potem pocałował ją w czoło.

Podszedł do drzwi, uchylił je i gestem ręki przywołał mężczyzn z zakładu pogrzebowego. Przez ten cały czas tkwili na korytarzu uparcie, jakby pilnowali, czy on nie wykręci żadnego numeru i denatka naprawdę trafi do ich zakładu. Weszli do sali bez słowa. Wprawnym ruchem przełożyli ciało ze stołu do worka, a potem ułożyli na wózku. Jeden z nich zasunął zamek, zerknął na kolegę i dopiero wtedy padło pytanie:

– Trumna ma być otwarta czy zamknięta? Bo jeżeli otwarta, to można zrobić makijaż i... – Mężczyzna zamilkł niespodziewanie. Wbity w niego spod nieznacznie zmrużonych powiek wzrok był twardy.

– Zamknięta – odparł po chwili, gdy minął bolesny skurcz szczęk. – Nikt nie będzie jej oglądał – dodał. – Dajcie jej wreszcie spokój...

Gdy już został sam, nogi niespodziewanie odmówiły mu posłuszeństwa. Czując tę paraliżującą słabość, usiłował złapać się czegośkolwiek, żeby utrzymać równowagę. Wybór w ostatniej niemal chwili padł na dziwny dwupółkowy stolik na kółkach, który zamiast zapewnić stabilność, pod wpływem nacisku się przechylił i z hałasem wywrócił razem z nim.

– Co się stało?! – Do sali wpadł wystraszony pracownik kostnicy. – Pomóc panu? – Pochylił się nad nim, a potem umiejętnie podciągnął go w górę i oparł o najbliższą ścianę. Upewniwszy się, że stoi w miarę stabilnie, podszedł do jednej z szafek i wrócił, trzymając w dłoni niewielki pojemnik.

– Proszę to powąchać! – nakazał i podsunął mu pojemnik pod nos.

Silna woń kamfory błyskawicznie przywróciła go do przytomności. Machnął niecierpliwie ręką, odsuwając źródło zapachu, i stanął mocno na dwóch nogach, już bez asekuracji.

– Lepiej? – Mężczyzna przyglądał mu się z troską. – Niepotrzebnie pan to wszystko robił. To cholernie trudne, po co sobie dokładać?

Kiwnął potakująco głową.

– Jest po drugiej... – Pracownik zerknął na zegarek. – Ma pan jak wrócić? Wezwać panu taksówkę? Halo!

Odsunął go niecierpliwie, robiąc sobie przejście. Wyszedł, a raczej wybiegł stamtąd ze świadomością, że jego Bóg umarł tej nocy, jeszcze zanim zdążył się narodzić. A on najchętniej umarłby razem z nim, jednak miał jeszcze coś do zrobienia. Przyrzekł to Małgosi i dotrzyma słowa. Bez względu na wszystko.

## 40.

Gdy Sawicki zasunął za nim bramę, on bez słowa wyszedł na ulicę i chwilę stał niezdecydowany. Nogi miał jak z waty, kręciło mu się w głowie. Teraz najchętniej poszedłby na jakąś stację paliw i kupił piwo albo coś mocniejszego. Ale wiedział, że nie może pod wpływem

alkoholu wracać do domu, a potem znów zasiadać do trwającej przecież wigilii. Rozpętały prawdziwe piekło, choć w zestawieniu z tym, co wydarzyło się zaledwie kilka godzin temu, nic już nie mogło być gorsze.

Dotarł do ulicy Strzeleckiej, skręcił w Fabryczną i szybkim marszem skierował się w stronę centrum miasta. Dopiero na stacji paliw wsiadł do zamówionej taksówki. Jako docelowe podał miejsce odległe od jego bloku o co najmniej dwieście metrów. Musiał jeszcze się przejść, bo całym jego ciałem wstrząsały dziwne spazmy, zapowiadające nieprzyjemną falę torsji. Spacer powinien pomóc...

## 41.

Wrócił do domu przed czwartą. Był już spokojny i opanowany, nie było nawet widać, że przez godzinę siedział w sąsiadującym ze szpitalem parku i z wciśniętą w usta pięścią wył jak okaleczone zwierzę.

Wsiadł z taksówki i zerknął na budynek. W niemal wszystkich oknach paliło się światło, jakby w ten absurdalny sposób Beata próbowała wskazać córce drogę do domu. Drzwi nie były zamknięte na klucz, po cichu wszedł do środka. Płaszcz przesiąknięty zapachem panującym w kostnicy powiesił w przedpokoju, bez najmniejszej potrzeby starannie, jakby kompulsywnie układając i gładząc każdą jego fałdę. Zdjął buty i boso wspiał się po schodach na piętro.

Beata spała mocnym, nieprzytomnym snem mimo panującej w sypialni oślepiającej jasności. Zgasił światło, a potem, w ubraniu, położył się obok niej. Nie poczuła, że ją obejmuje i tak bezradnie próbuje się w nią wtulić.

## EPILOG

Dobiecki pamiętał to doskonale. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Widział każdy szczegół, klatka po klatce. Nadal nie rozumiał, jak to się w ogóle stało? Przecież tego dnia nie było silnego mrozu, a w ciągu ostatnich godzin nawet nie padał śnieg. Dlaczego aż tak go zarzuciło? I skąd się wziął tamten samochód?

Po wszystkim odjechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się tuż przy wjeździe do Falubazu. Trzęsącymi się rękami trzymał kierownicę tak mocno, że jeszcze trochę, a byłby ją zmiażdżył. Siedział tak chwilę, aż wróciła mu przytomność umysłu. Zgasił silnik i powoli obejrzał się za siebie. Nic się nie działo. Nie zatrzymał się żaden samochód, nikt nie szedł w jego kierunku ani nie wzywał pomocy. Przymknął oczy i starał się stopniowo przeanalizować sytuację. Trzeba się stąd jak najszybciej wydostać. Co prawda o tej godzinie już niewiele osób porusza się po mieście, ale... strzeżonego... i tak dalej. Najbliższe sklepy są dopiero na alei Zjednoczenia, a miejsce, w którym on zaparkował, jest wręcz niewidoczne nawet dla przejeżdżających samochodów. Musiał sprawdzić, jak wygląda przód samochodu.

Niemal bezszelestnie otworzył drzwi i wysiadł. Nawet w świetle odległych latarni widać było potężne wgniecenie i stłuczony reflektor, na którego resztkach zastygały w zimnym powietrzu ślady krwi. Po się tak spieszył? Po co, kurwa, tak się spieszył?! Cieszył się, że szef w ostatniej chwili odwołał go z wyznaczonego zadania, wysyłając ten sam „zespół egzekucyjny”, co zwykle. Pędził do domu, szczęśliwy, że to już koniec tego zesłania. Ulga była nie do opisania, może dlatego nie skupiał się dostatecznie... Ale to wina tego, który mu wjechał na pas z naprzeciwka! Tak, to jego wina, to on nie jechał prawidłowo! Nieznacznie ucieszony tą myślą, nagle zrozumiał, że nikt w tę wersję nie uwierzy... Tamten jest już pewnie na drugim końcu miasta, nawet nie zarejestrował, co się stało. Chciał tam podejść, sprawdzić, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i asekuracyjnie wręcz położył się na masce. Nie da rady... Musi się uspokoić, trzeba przecież jakoś stąd wrócić do domu.

Po chwili wsiadł do samochodu i na zgaszonych światłach powoli nawrócił, a potem podjechał pod wysoki płot, parkując przodem. Teraz mógł na spokojnie znów wysiąść i pobieżnie, przy pomocy papierowych ręczników, które zawsze woził w bagażniku, usunąć ślady ze zderzaka i przedniej szyby, a połamane resztki reflektora wyrzucić pod wiaduktem, dokładając do już i tak sporej kupki śmieci.

W końcu wyciągnął telefon i zadzwonił. Najpierw do żony, z informacją, że trochę się spóźni, a potem do jedynej osoby, która mogła mu w tej sytuacji pomóc.

\* \* \*

Dobiecki patrzył na niego już inaczej. Spokojniej. Jakby uleciał z niego strach i był pogodzony z tym, że przecież nie ma na nic wpływu. Trudno powiedzieć, czy płakał. Tak czy inaczej po jego policzkach co chwilę spływały ciężkie łzy, a przerażenie w jego oczach ustąpiło miejsca rezygnacji. Nie musiał mu niczego opowiadać. Zresztą po co, skoro on nie miał zamiaru tego słuchać? To zawsze byłaby wersja Dobieckiego, pewnie naoczni świadkowie widzieliby sytuację zupełnie inaczej. Sędzia nie musi być przecież przy samej zbrodni, aby móc wydać wyrok.

On też dokładnie wszystko pamiętał. Nawet tę kroplę, która przechyliła czarę. Nie było już odwrotu, wydarzyło się zbyt wiele złego.

Przy starannie zaciągniętych zasłonach w sypialni Beata przesyiała kolejny dzień. Przyjęła taką porcję leków, że się na własne życzenie wręcz ogłuszyła. Może i on powinien być coś takiego zrobić? Sprawdził, czy leży przykryta, a potem dotknął jej czoła. Było chłodne, ale pokryte cieniutką warstwą wilgoci. Poszedł do gabinetu i wziął do ręki leżące na biurku teczki. Usiadł w fotelu i nałożył okulary. Potem z jednej z teczek wyjął dokumenty dotyczące obdukcji po przyjęciu Małgorzaty na SOR oraz wypis ze szpitala sporządzony po jej śmierci. Zgodnie z opisem lekarza na SOR-ze Małgosia miała liczne obrażenia głowy, kompresyjne zmiażdżenie trzech kręgów na odcinku szyjnym bez przerywania rdzenia kręgowego, obrzęk mózgu, krwotok wewnątrzczaszkowy, złamaną miednicę i kość udową oraz liczne otarcia i podbiegnięcia. Wszystkie te urazy przypisano pobiciu, które okazało się śmiertelne. Nie zgodzili się z Beatą na autopsję, nie miała najmniejszego sensu. Ale nawet bez niej wiedział, że było inaczej. Tyle że zrozumiał to dużo później, mozolnie i skrupulatnie prowadząc własne śledztwo.

Zagryzł usta. Nie chciał tego, ale przed oczami miał bezwładnie unoszące się ciało Małgorzaty. Najpierw na skutek uderzenia samochodu, a potem odbicia od potężnego betonowego filaru. Siła obu zderzeń była tak wielka, że znalazła się w miejscu, które wykluczało uznanie tego za potrącenie. Była za daleko, starannie ułożona odwrotnie niż kierunek jazdy po sąsiadującej z poboczem stronie jezdni. Czytając to samo raz za razem, niemal słyszał dźwięk zgniatanej blachy i charakterystyczny trzask łamanych kości. Miał nadzieję, że nie cierpiała, nie czuła, co się z nią dzieje, bo pierwsze uderzenie pozbawiło ją przytomności. Gdy już na własną rękę oglądał to miejsce w świetle dnia, domyślił się, że ktoś jej zmasakrowane ciało jeszcze odciągnął kilka metrów, chcąc prawdopodobnie ukryć się przed wzrokiem ewentualnych świadków i na spokojnie ją okraść.

W dokumentacji jako przyczynę zgonu podano śmierć pnia mózgu. obrażenia, które odniosła Małgorzata, były skrupulatnie wymienione w formularzu sporządzonym podczas obdukcji poprzedzającej przyjęcie na oddział. Jedynie ślad po cięciu na jej lewym boku, na wysokości pasa, nie miał żadnego uzasadnienia, ale na to akurat nikt, poza nim, nie zwrócił uwagi.

Oznaczono pobrane organy do transplantacji: serce, wątroba, trzustka. Z tego, co pamiętał z lekcji anatomii, wątroba leży po prawej stronie, trzustka mniej więcej na środku jamy brzusznej, tuż pod mostkiem, a żeby dostać się do serca, nie trzeba otwierać pacjenta z boku... Zrozumiał, że nikt nie próbował jej ratować, bo zgodność tkankowa była wyrokiem. Ktoś opłacił nielegalne pobranie dodatkowego narządu, żeby wszczepić go w inne ciało w miejscu, w którym od procedur prawnej i medycznej większe znaczenie mają pieniądze. Nikt nie zwrócił uwagi na zbyt silne stężenie opioidów we krwi, nikomu nie przyszło do głowy sprawdzenie, dlaczego raport obdukcyjny z SOR-u nie pokrywał się z wypisem denatki. Bo nie była już Małgorzatą Radecką, tylko obitą i wypatroszoną denatką.

Znalazł biorcę nerki, choć w tym momencie nie to było najważniejsze. Pobyt w klinice w Berlinie i opieka tamtejszego lekarza pomogły Gliwie uniknąć niezbędnej rejestracji leków immunosupresyjnych w Polsce. Chłopak nie był temu winny, chciał żyć i pewnie nawet nie zapytał, co się stało z dawcą, a tym bardziej w jakich okolicznościach pobrano narząd.

\* \* \*

– Panie komisarzu! – Eliasz wpadł z impetem do biura. – Sprawa rowerzysty!

– Co? – Kmita oderwał nieprzytomny wzrok od ekranu, na którym po raz chyba setny przeglądał sprawę Małgorzaty Radeckiej. – Teraz jakiś rowerzysta?

– Nie, nie! – gwałtownie zaprzeczył sierżant. – Mówię o tym naszym, z Szosy Kisielińskiej.

– No wiem, już wiem. – Kmicie wróciła pamięć. – Co z nim?

– W warsztacie Sawickiego chłopcy zrobili naprawę szczegółowy przegląd. Znaleźli tam podręczny szrot. Adamski kazał z wymontowanych i chyba czekających na lakierowanie zderzaków i innych elementów pościagać próbki obcego lakieru. No i... – zrobił dramatyczną pauzę – ...jest tam lakier z roweru tego chłopaka!

– Sam zderzak niewiele nam teraz powie... – zasępił się Kmita. – Chyba że Adamski szybko i precyzyjnie ustali markę i model samochodu.

– Ustali, ustali! A potem to już z górki. – Eliasz był wyraźnie ucieszony.

Kmita patrzył na niego z namysłem, a jego oczy robiły się coraz większe. Sierżant pod wpływem tego spojrzenia poczuł się niepewnie.

– Panie komisarzu? O co chodzi?

– To nie było pobicie... – powiedział Kmita takim tonem, jakby właśnie wstawił ostatni kawałek męczącej i z pozoru bezsensownej układanki. – Małgorzata Radecka została potrącona ze skutkiem śmiertelnym.

– Niemożliwe... – bez specjalnego przekonania zaproponował Eliasz. – Mamy przecież dokumentację techników. Robili symulacje na różne sposoby, miejsce znalezienia ciała nawet nie sugerowało wypadku. Sądzi pan, że w tej sytuacji zakres prac pana Sawickiego mógł obejmować także samochód kogoś, kto był zamieszany w sprawę Radeckiej?

– Posłuchaj... Biorąc pod uwagę jej obrażenia i siłę prawdopodobnego uderzenia, jest wręcz oczywiste, że samochód sprawcy też nie pozostał dziewiczy. A to by znaczyło, że właśnie ten warsztat był miejscem, gdzie sprawca mógł doprowadzić swoje auto do ładu. Niewykluczone, prawda?

– Prawda... – zgodził się Eliasz. – Ale jak to teraz udowodnić? Całą dokumentację powinien dostać Cichocki i jeszcze raz się wszystkiemu przyjrzeć. A, jeszcze jedno – przypomniał sobie. – Dzwonili do mnie z dzielnicowego przy Pomorskim. Jakaś rozhisteryzowana kobieta zgłosiła zaginięcie męża.

– Kiedy zaginął?

– Dziś.

– Przyjęli zgłoszenie?

– Przyjęli, ale kazali zaraz się kontaktować, gdyby jednak „zaginiony” zabalował na firmowej wigilii i skruszony wrócił do domu. Spacerem! – zaśmiał się. – Żeby wytrzeźwieć!

– A ty skąd o tym wiesz?

– Po tym lekarzu, Ulewiczu, obdzwoniłem dzielnicowych, żeby każdy odbiegający od normy wypadek mi zgłaszali.

– Odbiegający od normy? Czyli jaki?

– No, nie bijatyki czy kradzieże. Można przyjąć, że takie zaginięcie dorosłego to tu raczej nieczęsto się zdarza.

– Co mówiła żona tego niby zaginionego?

– Że nie ma z nim kontaktu od momentu, kiedy wyszedł do pracy. To znaczy od siódmej trzydzięci. Rano, podczas śniadania, poprosiła go jeszcze o jakieś drobne zakupy. Miał wrócić najpóźniej w okolicach piętnastej. Czekwała ze skończeniem przygotowań do kolacji, ale mąż się nie pojawił.

– Dane?

– Bruno Dobiecki, lat czterdzieści dwa, pracownik firmy deweloperskiej. Wynajmują biura w tym wieżowcu przy Chopina. Myśli pan, że to może być „numer jedenasty”?

Kmita spojrział na niego z rezygnacją.

– Chyba nie mam specjalnego wyboru... Jutro z nią porozmawiamy.

Jerry wyszedł z hangaru i spokojnym krokiem skierował się w stronę rozwalonej bramy. Opuszczony budynek, podobnie jak i inne znajdujące się na posesji, już kilka lat temu przeznaczono do rozbiórki. Z uwagi na koszty właściciel praktycznie czekał, aż wszystko samo się rozleci, potem on sprzedał gruz, resztę rozdrapiał złomiarze i parcela będzie gotowa na sprzedaż. Policja kilka razy znalazła tam ciała narkomanów, o czym zwykle zawiadamiali ich wciąż „utrzymujący się przy życiu” – jak zwykły mawiać Kmita – kompani. Z czasem nawet oni przestali tam zaglądać, bo coraz bardziej szczątkowe mury już nie spełniały funkcji schronienia przed deszczem i chłodem...

Pomieszczenie, w którym pozostawił Dobieckiego, usytuowane było w tej części budynku, która już niemal wtapiała się w ścianę coraz wyżej rosnących krzewów i drzew. Nawet gdyby Dobiecki krzyczał nieprzerwanie przez kilka godzin, nikt go nie usłyszy. Szczególnie dziś. Bo dziś jest Wigilia. Wszyscy mieszkańcy Zielonej Góry siedzą przy wieczerzy i nikomu nie przyjdzie do głowy szwendać się po opuszczonych budowlach. Dopiero bliżej sylwestra dzieciaki mogą zrobić tam sobie strzelnicę. Kto wie, może któryś rozbłysk petardy oświetli teren na tyle, aby odsłonić to, co właśnie zostało tam ukryte? A nawet jeśli znajdą Dobieckiego żyjącego – w co akurat szczerze wątpił, biorąc pod uwagę prognozy pogody na najbliższe dni – on i tak już zrobił, co do niego należało.

Wsiadł do samochodu i z jakimś dziwnym namysłem odpalił silnik. Stał chwilę, czekając, aż wewnątrz samochodu nieco się ogrzeje, i wyjął z kieszeni kurtki telefon. Znalazł odpowiednie nazwisko i nacisnął zieloną słuchawkę. Zanim rozmówca zdążył się odezwać, zapytał krótko:

– Ilu macie?

– Dziesięciu. Słuchaj, ja...

– Czyli zgodnie z planem. – W jego głosie słychać było mieszaninę ulgi i satysfakcji. – Byłeś już u mnie?

– Tak. U Gliwy też. Słuchaj, ja wiem, że się umawialiśmy, ale... Naprawdę wszystko przemyślałeś? Wiesz, że teraz już nie ma dla ciebie odwrotu?

– Jesteś dobrym przyjacielem – odparł. – Poradzę sobie. Ważne, żeby niczego nie znaleźli. Niczego!

– Sprzątnąłem wszystko.

– To dobrze. – Dopiero teraz się odprężył i odetchnął głęboko.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

– Nic. Dziękuję.

– Ale...

– Pogadamy jutro, dziś jestem wykończony.

\* \* \*

– Śpisz? – rzucił komisarz w stronę siedzącego za biurkiem Eliasza. Sierżant miał przymknięte powieki i oddychał miarowo.

Obaj byli już koszmarnie zmęczeni, ale Kmita jeszcze trzymał fason.

Eliasz z trudem otworzył oczy i zamrugał kilka razy, jakby bronił się przed ostrym światłem.



- Co? - odparł nieco nieprzytomnie, a kiedy Kmita uśmiechnął się kpiąco i powoli pytał, sierżant gwałtownie pokręcił przecząco głową. - Nie, panie komisarzu, tak tylko... Jezus, która to godzina? - Zerknął na zegarek i, rozzierająco ziewając, stwierdził: - No i po Wigili. Czekamy czy idziemy do domu, żeby się chociaż przespać? Jest po jedenastej...

- Mówiłem ci przecież, że to jeszcze nie koniec...

Eliasz przeczesał dłońmi włosy i poprawił na sobie zmięte ubranie.

- Może to jednak nie jakieś chore odniesienie do dwunastu potraw na wigilijnym stole i możemy się zbierać?

- Tak mogłem jeszcze sądzić, dopóki Dobiecka nie zgłosiła zaginięcia męża. Za chwilę dowiemy się o kolejnej, tym razem naprawdę ostatniej - zaznaczył Kmita - ofercie tej upiornej zabawy w wymierzanie sprawiedliwości. Problem w tym, że ponieważ ani Dobieckiego, ani kilku innych ofiar nie możemy teraz w żaden sposób powiązać, to dopóki nie dorwiemy sprawcy, nie dowiemy się, co tamtego dnia się wydarzyło i jaką rolę odegrało każde z nich. Dobra - westchnął i sięgnął po czajnik elektryczny. - Idę po wodę, zrobimy sobie jeszcze po kawie i czekamy do północy. Potem, nawet gdyby Burszta miał mnie wywalić z pracy, zarządzam wolne.

Wracał z łazienki, gdy mniej więcej w połowie drogi usłyszał, że dzwoni jego telefon. Przyspieszył kroku, ale zorientował się, że Eliasz odebrał i z kimś rozmawia. Widocznie ten, kto wyświetlił się na ekranie, miał związek z dzisiejszymi wydarzeniami. Nie pomylił się. Wszedł do pokoju dokładnie w momencie, gdy Eliasz odłożył jego telefon i szybko zasiadł za swoim komputerem.

- Co jest? - krótko zapytał Kmita.

- Zdaje się, że właśnie do naszych... - Eliasz zawahał się przez moment - „wigilijnych potraw” dołączyła kolejna. Tuż za Świdnicą nastąpiło czołowe zderzenie z tirem. Zapis z rejestratora w kabinie kierowcy jest dość interesujący.

Kmita zerknął na niego z dezaprobatą.

- Po co mi o tym mówisz? To problem drogówki. - Wzruszył ramionami i podszedł do swojego biurka.

Eliasz podbródkiem wskazał na ekran.

- Ale drogówka właśnie nam przekazała tę sprawę...

- Przekazała sprawę? - zdziwił się Kmita. - A z jakiego to powodu?

- Bardzo konkretnego. - Sierżant wskazał komisarzowi miejsce przed ekranem. - Proszę podejść. Na poczcie mam już nagranie z kabiny tira. Kierowca podobno jest tak spanikowany, że ledwo mówi. Cud, że w ogóle był w stanie zadzwonić na sto dwanaście i powiedzieć, co się stało. Zrobili mu „dmuchanko”, trzeźwy jak niemowlę, że tak powiem.

- I drogówka uznała, że powinniśmy o tym wiedzieć, bo...?

Eliasz wstał i ponownie wskazał na monitor. Komisarz usiadł na miejscu sierżanta i odtworzył przesłane nagranie. Eliasz stanął za jego plecami i teraz już razem z napięciem wpatrywali się w kompletnie irracjonalną scenę uwiecznioną przez kamerkę.

- O, kurwa... - mruknął Kmita i przygryzł wargę. Pokręcił z niedowierzaniem głową i zerknął na sierżanta. - Wiemy, do kogo należał samochód?

- Wiemy... - odparł Eliasz z ociąganiem. - Właśnie dlatego to dostałem.
- No mów! - krzyknął Kmita.
- Nie uwierzy pan...

## Godzinę wcześniej

Jerry skłamał Dobieckiemu, mówiąc, że czekają na niego z wieczerzą. Od kilku lat spędzał Wigilię sam, skutecznie wymawiając się od zaproszeń jednych wizytą u innych. Działo zawsze. Spojrzał na zegarek – za kwadrans dwudziesta druga. To był cholernie długi dzień. Długi i tak strasznie męczący. Ale teraz już może odetchnąć, zrobił to, co obiecał Małgosi. Wyszeptał to potem na ucho Beacie, gdy leżała już w hospicjum. Że jest gotowy. Chyba dopiero to ją uspokoiło i pozwoliło jej odejść, bo zmarła następnego dnia nad ranem. Od dwunastu lat nic nie miało dla niego większego sensu, a po śmierci Beaty w ogóle żył jak w półśnie. Chodził do pracy, nadzorował postępowania, prowadził narady, czasem jakieś szkolenia. Jedynym, co powstrzymywało go przed strzeleniem sobie w prywatnej broni w podniebienie, było poczucie obowiązku. Wszyscy, którzy przyczynili się do śmierci Małgosi, musieli ponieść karę. I wreszcie dopiął swego. To będzie dwanaście wymierzonych kar jak dwanaście wigilijnych potraw. Niemal czuł ich smak, był przyjemnie syty, mimo iż od wczoraj nie miał nic w ustach. No, może tylko tych kilka kubków kawy wypitych w pośpiechu gdzieś na mieście.

Rozpędzał się coraz bardziej, sunąc po pustej drodze. Miał wrażenie, że Małgorzata siedzi obok i patrzy na niego z wdzięcznością i ulgą. Jeszcze chwila i usłyszałby, jak do niego mówi: „Jerry, już po wszystkim, odpocznij...”. Uśmiechnął się. Jerry. Tak go nazwała, gdy Beata po raz pierwszy przyprowadziła go do ich mieszkania. Małgosia zabawnie z dezaprobatą zmarszczyła nos na dźwięk niecodziennego imienia i próbowała je kilka razy wymówić, ale za każdym razem coś przekreślała. Nazwała go więc Jerry. To chyba było z jakiegoś filmu, może z tej idiotycznej kreskówki? Nie liczył na to, że kiedyś powie do niego „tato”, a jednak tak się stało. Pewnego dnia sama zdecydowała, że dotychczasowy „Jerry” stanie się „tatkiem”, i to było dla niego największym sukcesem. Wreszcie miał rodzinę, której potrzebował od momentu, gdy pijany kierowca odebrał mu oboje rodziców. Ojciec zdążył jeszcze wysłać go na studia w Greenwich, gdzie krótko przed dyplomem zaoferowano mu pracę w strukturach, o których nigdy nie mówiło się głośno. Żałował tylko, że ślub wzięli z Beatą dopiero wówczas, gdy jej choroba nie pozostawiała najmniejszych złudzeń. Zawsze to było dla niej ważne, a on niepotrzebnie zwlekał. A teraz nie ma już Małgosi, nie ma Beaty, nie ma nic...

Nie będzie nikomu utrudniał zadania. Kmita i ten jego pomagier, Elias, dobrze się spisali. Teraz już wszystko będzie jasne. Komisarz być może jeszcze dziś połączy kropki, które on, Jerry, ponosił w różnych częściach miasta. Wyszło inaczej, niż zaplanował – tego dnia nad śledztwami miał ślęczeć głównie Chotowski, mniej bystry i niezbyt operatywny, co dawałoby Jerry'emu większą swobodę w działaniu. A Kmita był dobry, za dobry na to, żeby cokolwiek odpuścić albo przeoczyć... Może to i lepiej? Nie będą się z tym pieprzyć bez końca, zresztą on sam zakończy swój wątek szybko i definitywnie. Uśmiechnął się na myśl, że wciąż był w cieniu, ukryty, a jednak niemal na wyciągnięcie ręki. Misterna układanka, której elementy dopasowywał z benedyktyńską dokładnością, nie miała słabych punktów. Przeszłość z Wysp,

gdy katalog moralny i etyczny przesłaniała potrzeba wyższego społecznego dobra, okazała się kluczowa. To, co z czasem szczerze znienawidził, a w konsekwencji stało się motywacją do powrotu do kraju, tej nocy było największym jego sprzymierzeńcem. Nie tylko jazdy na rowerze nie zapomina się do końca życia. Także metod zabijania i zacierania śladów. Wszystko wróciło w jednej chwili, jakby tylko cierpliwie czekało na dogodny moment, żeby znów zawładnąć jego ciałem i umysłem.

Zamiast skręcić w kierunku osiedla Malarzy, pojechał w stronę centrum miasta. Było naprawdę pięknie oświetlone, a przy wciąż spadającej poniżej zera temperaturze cząsteczki zamarzającego powietrza dodatkowo skrzyły się niemal bajkowo. W lokalnym radiu leciały kolędy, głos prezentera był aż nienaturalnie radosny, choć przecież zamiast siedzieć w domu, miał ten koszmarny dyżur. Ale za kilka godzin dołączy do bliskich. Jak on, Jerry.

Śliwiński to naprawdę dobry przyjaciel. I teraz właśnie on się wszystkim zajmie. Obiecał i dotrzymał słowa – zgodnie z umową po znalezieniu co najmniej siedmiu ofiar Śliwiński miał pojechać do jego domu i dokładnie uprzątnąć wszelkie ślady jego trwających niemal dwanaście lat przygotowań. Bo w tym momencie było już pewne, że Jerry robi wszystko, co zaplanował, ale wtedy nie będzie już powrotu do normalnego życia. Zresztą on od śmierci Małgorzaty nie miał już tego, co inni nazywają „normalnym życiem”. Śliwiński to rozumiał, choć przeczyło temu nie tylko jego stanowisko prokuratora, ale i zwykła ludzka przyzwyczajoność. Jednak w tym wypadku nic nie miało już znaczenia i Śliwiński wiedział, że nie jest w stanie temu zapobiec. Przecież oni wszyscy, każda z tych jedenastu osób, to mordercy. Jerry też, bo przecież inaczej nie można tego, co zrobił, nazwać: jest sprawcą jedenastu zbrodni. Jedyna osoba, która się w tej całej popapranej sprawie zachowała jak należy, to ten chłopak, Krzysztof Lutyński. Jemu Śliwiński miał do przekazania coś specjalnego, co pozwoli mu ruszyć z miejsca, opuścić małe mieszkanie na poddaszu przy Topolowej, zabrać ze sobą żonę i dziecko, a potem zacząć żyć jak człowiek. Bo tylko on na to zasługiwał. Śliwiński, jako jedyny spadkobierca Jerry'ego, sprzeda dom i spreparuje jakąś denną historyjkę, żeby duża kwota, która zasilą konto Lutyńskiego, nie wydała się podejrzana i nikt nie szukał źródeł jej pochodzenia.

Na rondzie PCK wybrał zjazd w kierunku ulicy Łużyckiej. Zanim dojechał do skrzyżowania, już wiedział, co za chwilę zrobi. Wyjechał z miasta, kierując się na Wilkanów. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś, przed północą, jego plan powinien się powieść. Chwilę jechał praktycznie sam, bo – pewnie ze względu na godzinę i okoliczności – ruch na drodze wręcz zamarł. Ale kilka minut później się ucieszył, widząc światła nadjeżdżającego z przeciwnej strony samochodu. Po obrysówkach i silnym świetle reflektorów poznał, że to coś dużego, może scania albo man? W każdym razie potężna, mocna maszyna. W ciepłej kabinie siedział pewnie czyjś ojciec, mąż, syn, który chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego domu na spóźnioną wigilię. Być może w szoferce miał prezenty dla dzieci, żony, dla bliskich. Spieszy się, bo wie, że już za chwilę przywita się z domownikami, rozda upominki, a potem z ulgą usiądzie do stołu i zje to, co zostało na wigilijnym stole.

- Przepraszam – powiedział Jerry, choć doskonale wiedział, że nie ma to w tej chwili najmniejszego znaczenia.

Musiał to zrobić, bo nie można wyrządzić zła i nie ponieść tego konsekwencji. Poza tym tak właśnie było lepiej, niemal symbolicznie: dwanaścioro, dokładnie dwanaścioro! Wyjął ze schowka etui ze swoją odznaką i legitymacją, a potem zawiesił je sobie na szyi. Znów był podinspektorem Olgierdem Bursztą, szefem wydziału kryminalnego, gotowym do wymierzenia ostatniego aktu sprawiedliwości. To dzięki Śliwińskiemu i jego mentorowi, Ludwiczakowi, jakiś czas po śmierci Małgorzaty powierzono mu stanowisko naczelnika wydziału kryminalnego. Śliwiński objął w prokuraturze swoją działkę kryminalną odpowiednio wcześniej, dlatego wszystko poszło sprawnie. Miał absolutny dostęp do wszystkich informacji w temacie śmierci Małgosi, w czym był wspomagany przez przyjaciela. To dlatego umorzono śledztwo – w innej sytuacji wszystkie ślady poszukiwań tych „jedenastu” wiodłyby wprost do niego, a jego plan wymagał ukrycia się w cieniu. Teraz już może z tego cienia wyjść, pokazać się, rozwiać wszelkie wątpliwości. Wrzucił do schowka komórkę, której logowanie Tomek, łebski programista, bez zbędnych pytań, na które on i tak nie udzieliłby żadnej odpowiedzi, umiejętnie przekierował setki kilometrów stąd. Nie znajdują go, nie namierzą, zresztą jak mieliby to zrobić? Od kilku lat żyje w Stanach, tu już nie wróci, nie ma po co. Tam ma pracę, rodzinę, swoje sprawy. Dobry z niego chłopak, pewnie stworzyliby z Małgosią wspaniałą rodzinę, gdyby nie... Nerwowo pokręcił głową. To wszystko było już nieważne. Uśmiechnął się do swojego odbicia we wstecznym lusterku. Wreszcie, po tych wyczerpujących latach, patrzyły na niego zmęczone oczy kogoś, kto zamknął ostatnią sprawę.

– Przepraszam... – powtórzył i zerknął na licznik. Mocno przyspieszył, a potem odpiął pas. Wciąż mając szeroko otwarte oczy, gwałtownie zjechał na lewą stronę drogi, z impetem uderzając w przód rozpaczliwie trąbiącego tira.

Ostatnie, co poczuł, to

KONIEC

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

PROLOG

CZEŚĆ I 24 grudnia, Wigilia teraz

Ulica Grunwaldzka, wczesnie rano

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Chopina

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Grunwaldzka

Ulica Żyty, szpital

Ulica Grunwaldzka

Ulica Żyty, szpital

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Braniborska

Ulica Żyty, szpital

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Moniuszki

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Moniuszki

Ulica Żyty, szpital

Ulica Żyty, Zakład Medyczny Sądowej

Ulica Kupiecka

Ulica Żyty, Zakład Medyczny Sądowej

Chynów

Ulica Kupiecka

Chynów

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Chynów

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Towarowa

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Towarowa

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Kożuchowska

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Wrzosowa

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Kożuchowska

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Żyty, Zakład Medycyny Sądowej

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Wrocławska

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Wrocławska

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Zachodnia

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Zachodnia

Ulica Fabryczna

Ulica Partyzantów, Komenda Miejska Policji

Ulica Żyty, Zakład Medycyny Sądowej

## CZEŚĆ II 24 grudnia, Wigilia dwanaście lat wcześniej

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

EPILOG

Godzinę wcześniej